

Z KSIĘGOWNI
D^{ca} WACŁAWA ROSZKOWSKIEGO
BIBLIOTEKA DZIEŁ WYBOROWYCH.
№ 140.

Obrazy Kaukazu

Kartki z podróży

Edwarda Strumpha

z przedmową

Juliana Œchorówieza

(z ilustracjami)



Edward Strumpf



Cena 25 kop

W prenum. 19 1/2

WARSZAWA.

Redakcyja i Administracyja

47. Nowy-Świat 47.

1900.

<http://rcin.org.pl>

K 785

Z KSIĘGOZBIORU
Dra WACŁAWA ROSZKOWSKIEGO

OBRAZY KAUKAZU.

Edward Strumpf.

Obrazy Kaukazu

KARTKI Z PODRÓŻY

z przedmową

Juliana Ochorowicza,

(Z ilustracjami).



PAŃSTWOWE
MUZEUM ZOOLOGICZNE

BIBLIOTEKA

Inw. Nr. K. 484.

Z KSIĘGOZBIORU
Dra WACŁAWA ROSZKOWSKIEGO

WARSZAWA.
DRUKARNIA
A. T. Jezierskiego.
47. Nowy-Świat 47.

3361

Дозволено Цензурою.
Варшава 18 Іюня 1900 года.

Biblioteka Muzeum i Inst. Zoologii PAN
K. 787

1000000000166

PRZEDMOWA.

Autor niniejszej pracy należy do najmłodszego pokolenia przyrodników polskich.

Urodzony w Siedlcach w r. 1873, po skończeniu miejscowego gimnazjum wstąpił (w r. 1891) na wydział przyrodniczy Uniw. War., a następnie studyował nauki przyrodnicze w Juryewie, gdzie po obronie rozprawy „O budowie anatomicznej roślinności górskiej na Kaukazie” otrzymał (w r. 1899) stopień kandydata. (Rozprawa ta drukowana była w XXIX tomie „Prac Petersburskiego Tow. Badaczów Przyrody”).

W tymże roku pod jesień wyjechał za granicę, do Bonn nad Renem, gdzie pracował w dalszym ciągu nad botaniką pod kierunkiem b. prof. Szkoły Głównej, Edw. Strasburgera. Spędził tam dwa półrocza, a wynikiem poszukiwań, w pracowniach Strasburgera odbytych, była rozprawa „Z histologii sosny”, wydana nakładem Akad. Umiej. w Krakowie w r. 1899.

Praca ta, dotycząca drobnowidzowej budowy tkanek sosny, rozjaśnia dwie kwestye: tak zwanych *rurek sitkowych*, komórek pozbawionych jąder i słu-

żących do przenoszenia odżywczych soków roślinnych, oraz pewnych zjawisk w tkankach sąsiednich. Strumpf wykazał, że *komórki przyrurkowe* służą do przechowywania białka przez zimę, odgrywając tym sposobem rolę magazynów względem rurek sitkowych, rozprowadzających soki odżywcze, z chwilą wiosennego pobudzenia żywotności.

Badania histologiczne, to znaczy nad niewidzialną gołym okiem budową anatomiczną roślin, prowadzi nasz autor w dalszym ciągu w pracowni botanicznej Uniw. Warszawskiego.

Oddzielnie ogłosił nadto drukiem popularny zarys ogólnej morfologii roślin p. t.: „Z jakich części składa się roślina i do czego są jej te części potrzebne?” (Skład główny w księgarni Centnerszvera), oraz przekład dzieła Eugeniusza Warminga p. t.: „Zbiorowiska roślinne” (wyd. z zapomogi Kasy Mianowskiego, Warszawa, 1900).

Od r. 1892 jest Strumpf czynnym współredaktorem „Wszechświata” w dziale botanicznym, oraz współpracownikiem przyrodniczym „Prawdy” i „Głosu” — wreszcie w „Wielkiej Encyklopedyi Ilustrowanej” objął obecnie dział botaniki.

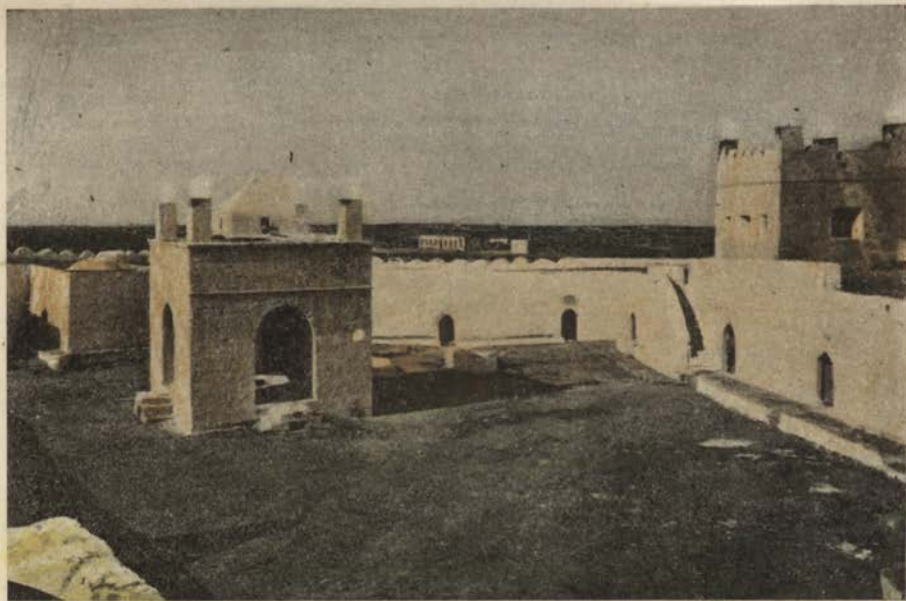
Jako umysł poważny, a zarazem jako literat niepozbowiony talentu pisarskiego, Edward Strumpf może jeszcze nie jednym cennym dziełem zubożać nasze piśmiennictwo.

Pierwszą większą jego pracą popularną, łączącą obie te zalety, są właśnie specjalnie dla nas napisane „Obrazy Kaukazu.”

Julian Ochrowicz.

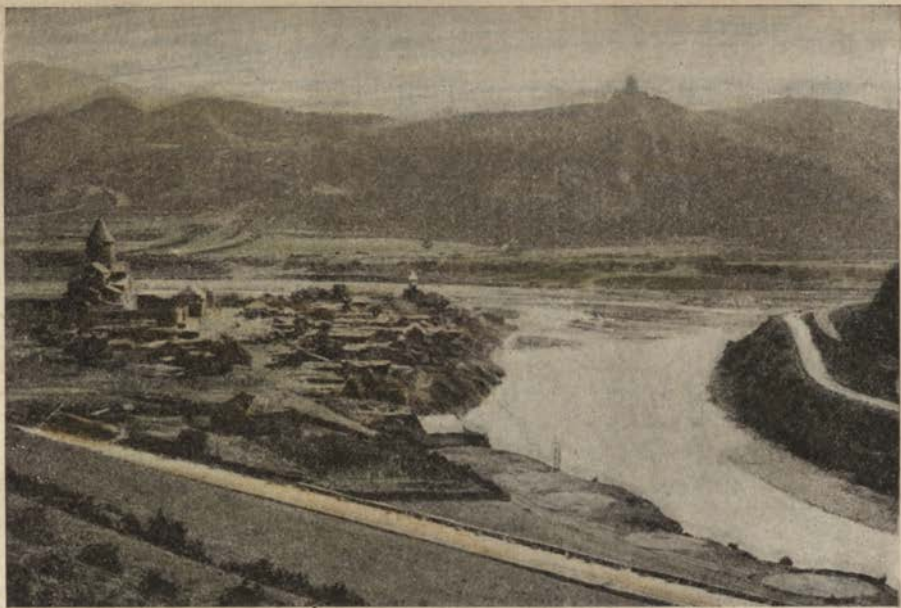


Woziwoda bakiński (do rozdz. IV).



Świątynia Gwibrów (do rozdz. VI).

Z KSIĘGOZBIORU
Dra WACŁAWA ROSZKOWSKIEGO



Mechet (do rozdz. III).



Tyflis. Starożytny zamek (do rozdz. X).

Z KSIĘGOZBIORU
Dra WACŁAWA ROSZKOWSKIEGO

WSTĘP.

Marynarze greccy, obserwując z morza Czarnego ciągnące się w dal nieskończoną szczyty niebotyczne, sądzili, że stanowią one właśnie granicę dwu światów, że u stóp ich jeden świat się kończy, a za niemi rozpoczyna się nowy—Azya.

Starożytne legendy wystawiły złotodajną, słoneczną Kolchidę nietylko jako symbol skarbów materialnych, lecz dóbr kultury bogatej, przemysłu, handlu, sztuki i nauki. W osobie Deukaliona myt wyprowadza ludzkość z gór Kaukazu, a Promoteusz wznieca tam pierwsze zarzewie wiedzy ludzkiej.

Europejczyk, niby przez instynktowny jakiś szacunek ku ludom, tę krainę górską zamieszkującym, nadaje miano rasy *kaukazkiej* wszystkim białym mieszkańcom kuli ziemskiej i imię to z chlubą stosują do siebie wszyscy, którzy podobni są do nich barwą swej skóry.

Niezbyt wielki to kraj, ale doliny ma żyzne, które przy odpowiedniej irygacji mogłyby z łatwością wyżywić ilość mieszkańców, wynoszącą tyle, co ludność Francji całej. Taką była jego ludność niedyś, 2,000 lat temu ¹⁾.

¹⁾ Na Kaukazie w znaczeniu administracyjnem, t. j. we właściwej ziemi Zakaukazkiej, w samym pasie górskim, oraz



Obecnie ruinami jest usiany, a ziemia krwią przesiąknięta.

W początku XIX stulecia Kaukaz zerwał ostatecznie dawne swe stosunki handlowe z Europą. Poszły w zapomnienie trakty, ongi ożywione, między morzem Czarnym a Kaspijskim, uatorowane karawanami Greków, pochodami Rzymian, partyami przedsiębiorczych Genuńczyków i ruchliwych kupców weneckich.

Granica lądowa z Europą podparta jest grzbietem jednolitym, który w miejscu najwyższym przetrnięty jest obecnie szosą wojenno-gruzińską, spuszczałą się ze stoków północnych głębokim wąwozem Daryalskim. Są to znane oddawna „wrota kaukazkie,” lecz zamknięte szeregiem zamków warownych na skałach, przez wieki długie były one niedostępne.

Drugie przejście prowadzi wązkim przesmykiem przestrzeni między morzem Kaspijskim a kończącymi się u jego wybrzeży wschodnimi kresami gór Kaukazkich. „Wrotami” temi (miasto Derbend, co znaczy „wrota wrót”) musiały się prawdopodobnie odbywać główne wędrówki ludów na zachód.

Lecz nie łatwa była to sprawa.

w przyległych doń z północy częściach przestrzeni stepowych południowo-rosyjskich (gub. Stawropolska, oraz obwody: Terski i Kubański) stosunki narodowościowe przedstawiają się pod względem ilościowym jak następuje:

	Rok 1858.	Rok 1880.
Lezginów i innych górali	1,400,000	1,050,000
Rosyan	840,000	1,410,000
Gruzinów	835,000	1,150,000
Tatarów i Turków	825,000	1,330,000
Ormian	520,000	720,000
Persów i Tatarów	75,000	120,000
Innych narodowości.	36,000	90,000
Razem.	4,531,000	5,870,000

Masy całe ginęły z ręki plemion miejscowych, usiłujących tamować ruch wdzierających się hordami mnogimi intruzów. Część ich zostawała w labiryncie wąwozów górskich i tonęła w morzu tubylczem.

Kaukaz był przeszkodą, przez którą filtrowały się lawiny wędrownie; z każdej nieco zostało, a wszystko składało się na mieszaninę o niesłychanej różnorodności etnograficznej. Już starożytni nazywali kraj ten „górami języków,” a Strabon, opisując kolonie na wschodnich wybrzeżach morza Czarnego, opowiada, iż mieszkający w nich kupcy spotykają jeśli nie trzysta różnych narodów, jak chcą niektórzy pisarze, mniej dbający o ścisłość—to w każdym razie przynajmniej 70 plemion, używających różnych języków.

I obecnie lingwiści odróżniają na Kaukazie do 70 języków, które zresztą dają się we wspólne rodziny grupować; tak np. 30 języków dagestańskich¹⁾ można do pięciu sprowadzić.

* * *

Do kraju tego chciałbym wprowadzić czytelnika.

Wszystkich części ziemi kaukazkiej nie widziałem, więc nie mogę dać całkowitego i wszechstronnego jej obrazu. Spisywałem luźne notatki i wrażenia, których tu i owdzie doświadczyłem, notowałem to, com widział, czego zdołałem się dowiedzieć. Czytelnik będzie mógł w zupełności iść śladami mojemu, a pewne wnioski lub opinie ogólniejsze same przez się wypłyną...

Zem więcej miejsca poświęcił ludności tatarskiej, zwłaszcza zaś gruzińskiej, wynika ztąd, iż oko-

¹⁾ Dagestan—wschodnia część centralnego Kaukazu.

lice te głównie zwiedzałem; co się tyczy tej drugiej, pewną rolę odegrały też stosunki osobiste z ludźmi, których gościnność i wysoka uprzejmość będzie mi na całe życie jednym ze wspomnień jaśniejszych.

Żem nic nie pisał o Czerkiesach, których zwykliśmy omal nie za wyłącznych mieszkańców Kaukazu uważać, przyczyną jest ta okoliczność, że Czerkiesów obecnie już niema wcale w górach Kaukazkich. Czerkiesami nazywamy częstokroć wprost kozaków kaukazkich, czyli kubańskich, dlatego, że noszą strój czerkieski, jakkolwiek po za tem z Czerkiesami nic wspólnego nie mają.

Czerkiesi należą do tej grupy narodów kaukazkich, co Gruzini, Lezginini, Czeceńcy; są piękni fizycznie, wysmukli i postawni („otyłość jest hańbą”), a w historyi zasłynęli, jako niezwykle waleczni i wytrwali bojownicy. W r. 1859 było ich na Kaukazie jeszcze przeszło pół miliona; po roku 1864 zostało już tylko 300,000; następnie kazano im się wysiedlić z zajmowanych „gniazd orlich,” wskutek czego prawie wszyscy, z wyjątkiem 70,000, emigrowali, jako muzułmanie, do Turcyi; po r. 1879 znikła i ta drobna resztką.

Nie wspominam również w poniższych opowiadaniach wcale, lub też bardzo mało, o Kabardyńcach, Osetach, Czeceńcach, Lezginach, dlatego, że nie zwiedzałem zamieszkiwanych przez nich okolic.

Z tegoż samego powodu zbyt mało uwagi poświęciłem jednemu z główniejszych narodów kaukazkich—Ormianom. Ponieważ są oni wszędzie rozrzućeni, więc tu i owdzie musiałem wtrącić uwagę przełotną. Jest to wszakże naród, odgrywający istotnie bardzo ważną rolę w życiu kaukazkiem.

Dzieje narodu ormiańskiego sięgają bardzo dawnych czasów, życie jego jest długie, ale wielu też nieszczęść pełne. Armenia była pierwszym krajem, której cały lud przyjął wiarę chrześcijańską; było to w IV stuleciu, za króla Grzegorza I.

Sąsiedztwo wielkich potęg wschodnich i to wczesne przyjęcie wiary chrześcijańskiej nie mogły sprzyjać podtrzymywaniu samoistności politycznej, którą też Ormianie rychło utracili, odzyskując ją następnie od czasu do czasu na okres niedługi. Wszakże zależność bardziej formalna od kultur niższych nie wiele przeszkadzała dalszemu rozwojowi.

Cios straszny rozwijającej się nauce i literaturze ormiańskiej zadał dopiero pogrom Tamerlana w XIV stuleciu. Od lat kilkudziesięciu ruch wśród budzącego się społeczeństwa ormiańskiego, przyjąwszy już szatę europejską, wzmagą się znów na dobre. W r. 1854 w Europie i Azji były 22 drukarnie ormiańskie; w r. 1880 wychodziło w Konstantynopolu 9 pism peryodycznych ormiańskich, w Tyflisie — 5, w Eczmiadzynie — 1, w Wenecyi—1 i jeszcze kilka po innych miastach. Kilka lat temu pism ormiańskich było już przeszło 30, obecnie liczba ta pewnie jeszcze wzrosła. Między inemi, wychodzą następujące gazety: *Ararat*, *Mszak*, („Pracownik”), *Achpiur* („Zródło”), *Ardzagank* („Echo”), *Nor-dar* („Nowy wiek”), *Megu Hajastani* („Pszczola Armenii”), *Warazan* („Szkoła”) i w. in.

Świat cały wie o ruchu Ormian tureckich. Nie jest to ruch, nieświadomy zadań swoich; ma on też poezyę, która różne momenty jego opiewa. Bo w czasach nowszych powstała i poezya ormiańska, a jednym z przodowników jest w niej Rafael Patkanjan, autor znanej „Pieśni matki”—Ormianki:

„Zbudź się dziecię kochane, na które napatrzeć się nie mogę, otwórz oczęta, spędź sen z powiek, obejmij matkę swą i pocałuj... Dość już marzeń słodkich, które ci podczas snu Anieli znosili; słuchaj, a opowiem ci, co się dzieje na świecie szerokim...

„Gdy duży wyrośniesz i jak piękny czynar ¹⁾)

¹⁾ Jawor kaukazki.

wysmukły, duchy Araratu sił ci dodadzą i mężny będziesz... Własnymi rękami wyszyłam ci pas, złotem tkany; na nim zawieszę ci miecz, który sama wyostrzyłam...

„Przed domem koń już czeka i gryzie z niecierpliwości wędzidła. Zbudź się, dziecię; dokądże spać będziesz? Weź miecz ostry... Czy słyszysz, jak płacze biedny twój naród... Ręce i nogi ma zakute w kajdany... Bracia twoi w niewoli... czyż ty spać będziesz...

„O, nie! Rychło zbudzi się syn mój i dosiądzie konia rączego. Osuszy on łzy ludu swego i przerwie jego płacze i jęki... Przyjaciele! uzbrojcie się w cierpliwość; oto syn mój się budzi... pas wdziewa... miecz ostry zawiesił... dosiadł już rumaka karego...”

* * *

Parę uwag powyższych musieliśmy dodać we wstępie. O innych ludach czytelnik znajdzie nieco szczegółów w tekście opowiadań.

I.

Na morzu.

...na Kaukaz, na morza wicher niósł
mnie w szalonym wirze...

(Wysocki. „Zaklęta Iza“).

Wśród ruchu i hałasu piekielnego ładują na statek towary.

Żóraw okrętowy pracuje bez przerwy: hak żelazny opuszcza się z brzękiem łańcuchów, zabiera paki i skrzynie i, podnosząc wysoko, znów opuszcza

je z majestatyczną powagą do głębokich czeluści wielkiego kadłuba statku.

Wszystko to robi się nadzwyczaj szybko: jeden człowiek kieruje maszyną na pokładzie, kilku tragarzów znosi towary ze stojących opodal magazynów, jeden znów zaczepia o nie hak żórawia, a ktoś tam zapewne wyciąga go z pod liny na spodzie okrętu. I z błyskawiczną szybkością topnieją całe stosy pak na brzegu, a kadłub brzemienny, chwiejąc się ociężale, pogrąża się coraz bardziej.

Na przodzie statku rosną znów góry kawonów: ludzie, stojący na galarach, podrzucają je do góry; inni je chwytają w powietrzu i układają na pokładzie.

Wszędzie pełno majtków, opatrujących liny, łańcuchy i żagle.

Postacie marynarzy—to uosobienie zdrowia, czystości i siły fizycznej. Twarze ogorzałe od żaru słońca, osmagane deszczem i wichrem, wyglądają, jak z metalu odlane; a robota tych ludzi—jakże inaczej wygląda, niż analogiczny obraz przygotowań do podróży na kolei żelaznej! Znać, iż taka praca, nawet najcięższa, wśród groźnego żywiołu, hartuje ducha i ciało, zagrzewa i budzi zamiłowanie; dlatego też dać może pewne zadowolenie moralne z własnych wysiłków, podnosząc człowieka—zamiast sprowadzać go do rzędu biernych tylko maszyn.

Szczęśliwi ci, co z morzem w zawody iść mogą!...

Cały ruch w porcie posiada swój charakter odrębny. Tragarze o twarzach brunatnych, z zawojami na głowach, zabezpieczającymi ich od żaru promieni słonecznych, o nagich szyjach masywnych i piersiach potężnych, z siodełkami na plecach, ułatwiają im przenoszenie pak, skrzyń i worków—uwijają się, niby mrówki, znoszące potwornie olbrzymie okruchy. Nie znać na ich postaciach ociężało-

ści; gdy sami nie mają zajęcia, chętnie pomagają towarzyszom.

Od samego rana deszcz pada, dzień jest chłodny i wietrzny; powierzchnia morza staje się coraz czarniejsza, coraz bardziej poszarpana—jak prawdziwie na morze Czarne przystało. Grzbiety fal okrywają się białą pianą. Statki i łodzie, stojące na kotwicy, szarpia się i miotają gwałtownie, jak zwierzęta na łańcuchu. Wiatr pędzi z morza falę za falą, uderzając z łoskotem o brzeg kamienny przystani.

Tymczasem parowiec się zaludnia; wciąż przybywają podróżni, w kajutach i na pokładzie ruch coraz większy.

Pierwszy sygnał. Statek ryknął przeraźliwie, ciągnąc żałośnie; wicher pasował się z tym rykiem, lecz zdławić go nie mógł i poniósł tylko na swych skrzydłach daleko.

Kapitan przepowiada niezwykłą burzę. Wiele osób porzuca statek i odkłada dzień wyjazdu. Po drugim sygnale wszyscy niejadący schodzą na brzeg, gdzie zbiera się znaczna gromadka ludzi. Niektóre liny, zarzucone na ląd, już odwiązano. Statek chwiała się zaczyna. Słowa pożegnania, rady, przestrogi, zlecenia, obojętne rozmowy, głosy matek, ciotek, braci, sióstr, dzieci, rodziców i znajomych—wszystkie urywane i szarpane wiatrem, przenikają powietrze razem z szumem morza i wyciem wichru.

Trzeci sygnał. Parowiec ryknął trzy razy przeciągle; odwiązano ostatnią linę, dwóch majtków wciąga ją na pokład. Zdjęto pomost — ostatni łącznik z brzegiem; zamknięto przerwę w baryerze. Kadłub się mocno zachwiał, woda się pod nim zakołowała—puszczono w ruch w maszynę; lecz wicher, napierając z morza, odbić od brzegu nie daje i dopiero po kilkunastu minutach mocowania się potęga pary zwycięża, statek się wykreca, ruszamy...

Deszcz pada, morze szare, aż czarne, tam na brzegu chustki powiewają, ale świat cały jakiś szary,

ponury, złowrogi. Biegnę myślą na północ, hen nad brzegi Wisły spokojnej, w uszach brzmi zwrotka znanej z lat dziecinnych piosnki irlandzkiej:

Łódź gotowa, trąbią na niej, że odpływać czas,
Nikt nie idzie do przystani żegnać nas;
Porzucamy kraj ojczysty i jedziemy ztąd,
By powitać obce kraje, cudzy ład.

Mijamy już latarnię morską, stojącą u wyjścia z portu na końcu długiej grobli kamiennej. Fala uderza o jej podstawę, lecz tu daleko większa i groźniejsza, niż w porcie, pieni się i wyrzuca do góry strumienie wody, niby chłuszcząc mur biczami fantastycznymi.

Gęsty las masztów ledwie już widać za nami, a na górze niknie Odessa w tumanie zmroku, niknie potężny gmach teatru, panujący nad miastem. Morze rozhukane rzuca statek, jak piłkę; ustać na pokładzie niepodobna. Schodzimy do sali jadalnej na obiad; szkło i porcelanę poustawiano w odpowiednie przegródki, aby nie pospadały. Przy stołach dużo osób, słychać ożywione rozmowy, lecz wszyscy mówią tylko o morzu, a najwięcej o świeżej katastrofie na morzu Czarnem, której ofiarą padł parowiec „Włodzimierz.” Co chwila ktoś umyka od stołu — chwiejba zaczyna działać.

Burza rychło przeszła, mniej groźna, niż przypuszczano, i noc nastąpiła piękna: wicher się uspokoił, niebo się przetarło, wyrżał czysty księżyc.

Czarno wokoło; tylko w jednej stronie lśni smuga świetlana — przestrzeń morza, posrebrzona światłem księżyca; w słabym blasku nie znać ostrych załamów fali i okrytych pianą grzebieni; fala zdaje się przelewać wielkimi płatami, spokojnie i poważnie, a uchwycona w jednym momencie, wygląda niby potok lawy zastygłej lub masy stężącej, z metalu ciężkiego odlanej.

Długo w noc pozostałem na pokładzie, upojony

powietrzem morskiem. Pasażerowie zaczęli schodzić do kajut, została tylko para, może odbywająca podróż poślubną; byli to cudzoziemcy; obecnie gruchali w jednym z ciemnych kącików, za stosem lin okrętowych...

* * *

Promień słońca przedostał się przez małe okienko do kajuty, pozagładał nam w oczy i pobudził wszystkich.

Dzień dziś prawdziwie piękny. Nad morzem błękitna kopuła, wokół równy horyzont. Z jednej strony burty parowca, pod słońce, fale niby z metalu błyszczącego wykute, iskrzą się blaskiem słonecznym, gubiąc swą barwę pod jego ruchliwem okryciem. Po za tem roztacza się ciemno-zielona przestrzeń, usiana tu i owdzie „barankami” — białemi płatkami piany, zjawiającemi się na grzbietach fal rozbujających.

Daleko na widnokręgu majaczy plamka ciemniejsza, wydłużająca się stopniowo w poziomy pas fioletowy — to ląd! *Z jakąż radością witamy już z oddali tego zwiastuna, zapowiadającego grunt stały, na którym bez obawy stawiać można swe kroki!

Po kilku godzinach widać już wyraźnie brzeg, dachy i wieże Sebastopola, oraz siniejące za niemi wierzchołki gór Taurydy. Wśród załogi rozpoczyna się ruch gorączkowy; rozwijają liny i łańcuchy ciężkich kotwic, jeden z majtków wbiega, jak wiewiórka, po drabinie sznurowej na maszt środkowy i rozwija flagę; dziwnie odbija jego czarna sylwetka na jasnym tle nieba, okruszyna drobna, zawieszona między bezmiarami dwóch przestrzeni.

Wjeżdżamy do zatoki.

Na prawo sterczą nad wodą mury fortecy, wprost widać na stoku góry cmentarz pamiętny, na prawo piętrzy się miasto. Roślinności bardzo mało,

wybrzeże białoszare, w charakterystyczny sposób harmonizuje z czystym błękitem nieba i jasną zielenią zatoki. Ta czystość barw robi wrażenie obrazu. Miasto jest pokryte białym pyłem wapiennym, ruch na ulicach bardzo słaby, okna pozastłaniane zielonymi żaluzjami, a dorożki, okryte baldachimami, nadają mu wygląd oryginalny: zdaje się, iż noszą w lektykach dostojników wschodnich. W starej dzielnicy miasta, na górze, dotychczas tu i owdzie napotkają jeszcze można zwaliska domów — ślady znanego w dziejach bombardowania.

Czterdzieści lat temu pancerniki pruły fale tej zatoki, ziejąc ogniem i pluając kartaczami, grzmiał huk armat, loskot walących się murów, rozlegał się świst kul i jęki umierających... A to morze, takie piękne ztąd, z góry, i barwami wesoło grające, kryje w swych głębiach tysiące mogił ludzkich...

Wracamy na przystań. Człowiek jakiś o twarzy wschodniej proponuje na migi czyszczenie obuwia; dogadać się z nim trudno, bo prawie wcale nie rozumie po rosyjsku, zresztą brak na to czasu, bo przy szalonej jego wprawie, operacja trwa niesłychanie krótko—ale gdy go pytam z kąd pochodzi, odpowiada z dumą:

— Jestem Ormianin.

Przedstawicielei tej narodowości spotykamy tu już wszędzie, zaczynając od Odesy; a zajmują najrozmaitsze stanowiska—od bogatych kupców do targarzy portowych i takich, jak ten, specjalistów.

Pokład roi się od ludzi, bo i nowych podróżnych nieco przybyło, i dawni, którzy przez całą dobę chorowali od chwiejby, obecnie powychodzili z kajut. Poznajemy też towarzystwo polskie i siadamy wszyscy na ławce, gawędząc wesoło i przypatrując się barwnej flotyli łodzi spacerowych, uwijających się z powodu dnia świątecznego w znacznej ilości po zwierciadlanej powierzchni zatoki.

Jedna z pań opuszcza nas na chwilę, lecz zostawia na swem miejscu chustkę, aby zaznaczyć, iż jest zajęte. Zaledwie wstać zdążyła, gdy oto zbliża się elegancko ubrany młodzieniec i, odsuwając zostawiony przedmiot, w najlepsze między nas się sadowi. Zwracamy mu delikatnie uwagę, że miejsce to jest zajęte przez panią, która za chwilę powróci, lecz otrzymujemy w odpowiedzi:

— Tu są miejsca nienumerowane!

Ha, cóż począć, skoro nienumerowane, każdemu usiąść wolno; sądownie wyrzucić go nie można.

Jeden z towarzyszków podróży, który mieszka na Kaukazie i obecnie tylko z urlopu powraca, pociesza nas, że tam są ludzie bardzo uprzejmi, że nie tylko tem się kierują, co wolno robić, a zwłaszcza wobec dam są rycerscy, jak dżentelmeni. Zapewnienie takie poprawia nam humor, chwilowo nieprzyjemnie podniecony, i gawędzimy w dalszym ciągu przez siedzącego w samym środku towarzysza intruza, który, mając grunt prawny pod sobą, nic sobie z nas nie robi.

Zaczyna się już pstrokaczna etnograficzna. W tłumie osób, kręcących się po pokładzie, migają tu i owdzie twarze Greków, o dziwnie żywym blasku żrenicy. Jedzie też jakiś Gruzin w uniformie weterynarza wojskowego; podróż odbywa w towarzystwie młodej żony i kilkoletniego synka, ubranego w dziecienny uniform wojskowy, jest to jeszcze młody człowiek, opasły, podczas obiadu głośno opowiada, iż jakkolwiek jest Gruzinem, ale już z Gruzją niema nic wspólnego, oprócz pochodzenia, i wprost wstydy się języka ojczystego. Biedna Gruzja... a może szczęśliwa, że pozbawia się tego rodzaju żywiolów?...

Jedziemy wzdłuż południowego brzegu Krymu, w niewielkiej od niego odległości. Bliższe okolice Sebastopola uderzają szarą martwością i pustką. Dopiero dalej zaczyna się jeden nieprzerwany ogród —

ten wązki pas ziemi między morzem a ciągnącym się z zachodu na wschód łańcuchem górskim, gęsto zaludniony, okryty zielenią lasów, sadów i winnic.

Minęliśmy tak w pewnem oddaleniu Bałakławę, Alupkę, Liwadyę, a o zmroku stanęliśmy w uroczej Jalcie.

Na przystani cisną się tłumy ludzi; wysadzony cyprysami bulwar uderza blaskiem rzeźbione oświetlonych owocarni; z ogrodu spacerowego dochodzą dźwięki orkiestry; na stoku tuż, tuż wznoszącej się góry toną w zieleni porozsiewane na różnych wysokościach wille i pałacyki.

Znów stoimy parę godzin. Światła bulwaru układają się długimi smugami na ciemnej tafli zatoki; ognie Jalty, rozrzucone na czarnem zboczu góry, migają tu i owdzie jak gwiazdy samotne; dźwięki muzyki zlewają się z gwarem bulwaru, szumem morza i nieuchwytnym szmerem ciepłego wieczoru.

Parowiec nasz ma zabrać jakąś pensyę żeńską, czy też internat instytutu, powracający w komplecie z wakacyj letnich do Kierczu. Z wielką trudnością zdolano wynaleźć kilkadziesiąt miejsc wolnych w kajutach i niebawem ujrzelśmy sunący ku statkowi długi sznur pensyonarek, niby wąż, co się gnije i wije, omijając przeszkody. I zaroił się pokład od tych istot ruchliwych i figlarnych, przynoszących z sobą wybuchy śmiechu szczerego i gwar wesołej gawędy. Schodzili się na statek rówieśnicy, aby pożegnać towarzyszek zabaw wakacyjnych. Jeden siadał na ławce koło swego ideału i żegnał go znaczącym uściśkiem ręki; inny szybko przybiegał, podniósł rękę do czapki, podawał rękę wszystkim po kolei na ławce siedzącym, poczem, wykonawszy obrót wojskowy, ruszał z kopyta i krokiem miarowym do innej ławki podchodził, albo na brzeg wracał.

Statek zaczął dawać sygnały. Młodsze pensyonarki skupiły się około ochmistrzyni, mającej pod swą opieką kosze z owocami; starsze zaś rozpierzch-

ły się po pokładzie, gawędząc po dwie lub trzy w ciemniejszych kąciakach i zwierając się wzajemnie ze swych uczuć, smutków i radości...

Wkrótce znikły ognie Jałty; długo świeciło tylko blade światło latarni morskiej, drobne, samotne wśród ciemnej przestrzeni, nęcące ku sobie, jak blask w oknie chaty, co wśród nocy ciemnej, wśród deszczu, śloty i wichru nęci wędrowca, stawiając mu w wyobraźni obraz ogniska rodzinnego, owiany ciepłem tchnieniem serdecznem i zalany blaskiem ognia, buchającego na kominku.

Hej, gdzież te nasze ogniska rodzinne!...

* * *

I trzeci dzień podróży morskiej powitał nas pogodą i blaskiem słonecznym. Im bardziej zbliżamy się do ziemi kaukazkiej, tem mniej słyhać już rozmów o morzu i o ostatniej katastrofie z „Włodzimierzem;” tematów do rozmowy zaczyna dostarczać ów kraj, ze wszech stron bardzo ciekawy. Otóż zgadło się o Kaukazie i jego narodowościach. Największą przemyślnością odznaczają się pośród nich Ormianie, którzy też zagarnęli w swe ręce handel i przemysł.

Siedzimy na pokładzie, a jeden z towarzyszków podróży opowiada:

„Było dwóch podobnych do siebie braci Ormian; jeden z nich założył się ze swym towarzyszem, że prędzej przebiegnie pewną przestrzeń w wyścigu pieszym. Przed rozpoczęciem gonitwy namówił swego brata, aby się ukrył w krzakach koło mety, a sam, biegnąc, niby się przewrócił i znikł w zaroślach. Zapaśnik biegnie dalej, ale zanim dobiegł do mety, zastał już tam brata swego przeciwnika, który spotyka go i krzyczy:

— Ty dopiero biegiesz, a ja już dawno cze-

kam na ciebie, choć upadłem i musiałem się przedzie-
rać przez zarośla!

Bracia byli do siebie podobni, więc nie pozna-
no się na fortelu i Ormianin wygrał zakład.”

W białej miazdze szlaku, ciągnącego za stat-
kiem, pokazują się delfiny, polujące na odpadki ku-
chenne; niejeden wysunie tylko swą głowę, która zai-
skrzy się w blasku słońca—i zniknie pod wodą; inny
da olbrzymiego susa w powietrzu, całem cielskiem
błyśnie i dopiero w toń się zanurzy.

Śruba, obracając się szybko, kotłuje i bałwani
wodę u steru. Od masy piany wydaje się tu ona
nieraz zupełnie biała; niekiedy zaś, gdy piany jest
nieco mniej, przybiera w świetle słonecznem przeje-
rzystą barwę jasno-zieloną, odbijając od otaczającej
ciemnej zieleni morza, a pęcherzyki piany mieniają się
kolorami tęczy, nadając całości szlaku widok fanta-
stycznie piękny. Gdy wpatrzeć się w tę miazgę bia-
łą, widzi się nieraz niby krę rozbitą i topniejącą
i zbite masy piany zanurzają się i przerzucają, po-
dobne do brył lodu w potoku ciepłych roztopów wio-
sennych.

Zbliżamy się do cieśniny Krymskiej; w kilku
miejscach blado rysuje się na horyzoncie pas lądu;
mętny szlak, ciągnący za statkiem, świadczy o płyt-
kości morza; nad masztami uwijają się mewy—Kiercz
już niedaleko! Jakoż rychło zarzucamy kotwicę
w znacznej odległości od brzegu; zbliża się mały pa-
rowiec, aby, kto zechce, mógł na ląd pojechać.

Kiercz, dawna kolonia grecka, przedstawia sza-
ro-żółtą masę domostw, wyciągniętą u podnóża góry
Mitrydata, uwieńczoną murami i kolumnami staro-
żytniej świątyni. Chodzimy po ulicach miasta, wy-
patrując jego osobliwości. Po drodze wstępujemy do
owocarni; kupiec, młody Grek, podaje krzeselka i pro-
ponuje, abyśmy kupione winogrona zjedli na miej-

scu, albowiem nie warto ich nosić; przypuszcza zapewne, iż po zjedzeniu porcyi kupionej, zaopatrzymy się jeszcze w nowy zapas na drogę. Bądź co bądź jednak, propozycyę jego przyjmujemy, ponieważ perspektywa odpoczynku w chłodzie wydaje nam się dość pożądaną.

Gościnnie kupiec, zachęcony naszą znajomością greki i jego historyi ojczystej, wyciąga z pod owoców książkę nowo-grecką, zawierającą opis ostatnich walk o niepodległość razem z portretami wszystkich bohaterów. W Kierczu jest dużo Greków, stanowią bowiem $\frac{1}{3}$ ludności całego miasta; jest też dużo Turków, z którymi wszakże, jak nam nasz Grek opowiadał, współrodacy jego żyją w zgodzie, nie mszcząc się za krzywdy ojców.

Przy jednej z bocznych uliczek znajduje się starożytna świątynia grecka z VI stulecia. Z czasów dawnych został tylko ołtarz i cztery stojące przed nim kolumny z jakimiś zatartemi rysunkami i napisami, których odczytać niepodobna. Inne części gmachu są pochodzenia późniejszego. Świątynia posiada też bardzo starożytne obrazy i rękopisy Pisma Świętego z X stulecia. Wogóle Kiercz obfituje w ciekawe zabytki dawnej cywilizacyi, są one zebrane w miejskiem muzeum starożytności.

Gdyśmy po powrocie na statek kończyli obiad, zauważyłem, iż dwaj siedzący naprzeciwko nas ludzie wschodni szepczą coś z sobą, pokazując nas palcami. Na razie nie zwróciłem na to szczególniejszej uwagi. Po obiedzie jeden z nich podchodzi do mnie i pyta, wymawiając wyrazy z dziwnym jakimś akcentem:

— Pan, zdaje się, jedzie z Siedlec?

Skamieniałem. Zkąd tu, na morzu Czarnem, zjawia się ktoś i mówi o Siedlcach, w dodatku jeszcze nie Europejczyk, zkąd on wie, że ja jadę z Siedlec, zkąd wie, że istnieją Siedlce? Okazało się, iż

pan ów jedzie z Warszawy i widział mnie w Siedl-
cach, gdym się żegnał i wsiadał do wagonu; przez
pierwsze dwa dni podróży morskiej chorował i nie
wychodził wcale z kajuty, przeto dopiero dziś mnie
zobaczył.

Jest to Ormianin, pan D., kupiec z Baku; ra-
zem z towarzyszem swoim, Grekiem, mieszkańcem
Batumu, jeździ dwa razy do roku po zakupy do
Warszawy. Pierwszy z nich, to młody mężczyzna,
zapewne nie mający jeszcze trzydziestu lat, rosły,
dobrze zbudowany, o ciemnych włosach, obfitym
ciemnym zaroście, czarnych oczach, orlim nosie,
wogóle twarzy typowo ormiańskiej; dźwięki mowy
rosyjskiej, zwłaszcza zębowe, oraz niektóre końcówki,
wymawia z charakterystycznym naciskiem, szczerząc
zęby i robiąc niekiedy głową, a nawet tułowiem ruch
odpowiedni, znać, iż musi przewycięzać organ gło-
su, przystosowany do dźwięków odmiennych. Jest
to człowiek inteligentny, otarty w świecie, posiada
 pewne sympatyje szersze i opinie.

* * *

Ciepła, miękka noc księżycowa. Na spotkanie
ku nam biegnie świeży morski wiaterek. Ciemno
wokół; w jednym tylko miejscu przerzyna ciemność
smuga srebrzysta, łącząca bok statku z linią hory-
zontu, oddzielającą ciemne koło od jaśniejszego co-
kolwiek nieba.

Pyszne, niezmacone koło horyzontu; nietylko
widzę, lecz czuję to koło, czuję, że w jego środku
jest nasz parowiec.

Pierś żelazna pruje toń morską, fale przelewają
się, pienią i szumią, układając się w dwie smugi,
pod kątem zwartym rozchodzące się z pod przodu
statku. U steru wodę pieni śruba potężna; widzę

za nami szlak lśniący, widzę smugę ciemną z boku, słyszę szmer i szum, słyszę plusk fali rozkołysanej i uderzającej miarowo o burtę parowca, i głosy te, dziwnie melodyjne, łagodne, miękkie, uspokajające, zlewają się w jeden szmer, czy szept tajemniczy.

Przed chwilą byłem na przodzie. Siedzi tam majtek, którego obowiązkiem zawiadamiać dyżurnego oficera o wszystkim, co tylko, oprócz nieba i wody, zobaczy. Przód statku, wysunięty i wyniesiony nad powierzchnię morza, zdaje się być zawieszony w powietrzu — punkt w przestrzeni.

Pod nami księżyc srebrzy spienioną wodę. Gdy fale nieraz się rozstapiają, ukazują się tam gdzieś w głębi niby przestrzenie, oświetlone światłem fantastycznym, siedziby potęg i duchów morza, pałace kryształowe. Rozumiem dlaczego fantazyja ludowa najpiękniejszym swym kreacyom kazała żyć w wodzie.

Gdzieś daleko, daleko na widnokręgu pokazało się blade światelko; wartownik uderzył w dzwon trzy razy; rozległy się miękkie dźwięki metalu i gładko rozplynęły w przestrzeni. Dyżurny oficer z wysokiej strażnicy już bada przez szkła intruza, jest to światło latarni morskiej na dalekim brzegu, więc spokojnie jedziemy dalej.

I znów cisza. Statek pruje fale z szumem miarowym. Takie tu wszystko na morzu niezmacone, pełne, czyste, ogromnie szerokie i wolne, i pozbawione śladu zohydzającej świat połowiczności...

* * *

Ostatni dzień podróży morskiej. Jutro o tej porze będziemy już na ziemi kaukazkiej. Pogoda wciąż dopisuje, a dziś wyjątkowo pięknie. Wiatr prawie ustał, morze się uspokoiło, nawet „baranków” nie widać, jedziemy jak po jeziorze. Tafla, którą kraje-

my, gra dziwnymi blaskami od słońca, tylko, że serce chce wołać za poetą:

Choć Ty mi niebo tak złocisz i morze,
Smutno mi Boże...

W powietrzu czuć tchnienie uroczego Kaukazu. Jutro o świcie ujrzemy góry, oddzielające Europę od Azji.

Jakoż wczesnym rankiem zbliżaliśmy się do obszernej zatoki ożywionego fortu batumskiego. Miasto tonie w powodzi zieleni, dalej góry, pokryte lasami, za nimi wyższe, a później łańcuchy o jeszcze wyższych szczytach, ginących w tumanach mgły porannej, a cały obraz, przesiąknięty ciemnym kolorytem, przyjemnie uderzającym wzrok po suchych, jednostajnie szarych widokach odeskich, krymskich, i azowskich.

Statek zwalnia bieg, mijamy liczne okręty, stojące w porcie na kotwicy; skrzydła śruby po raz ostatni zakotłowały toń morską i zamaryły. Stanęliśmy. Zarzucono liny na brzeg i przywiązano nas do ładu, do ziemi kaukazkiej — na długo!

II.

W dolinie Rionu.

Batum — to miasto tureckie, które po ostatniej wojnie przeszło pod panowanie rosyjskie.

Znaczną część jego mieszkańców stanowią Turcy; oprócz tego mieszka tu dużo Greków, przedstawicieli różnych plemion gruzińskich i innych narodowości kaukazkich, oraz sporo Europejczyków i Francuzów, Niemców i innych.

W porcie batumskim spotkać można statki niemal ze wszystkich krajów kuli ziemskiej, a to dzięki wielkiemu handlowi naftą i produktami jej dystalacji, nadchodzącymi koleją żelazną z przeciwległego krańca ziemi kaukazkiej — z Baku.

Z portu udajemy się wprost na dworzec kolejowy. Przebywamy pogrążone w śnie głębokim uliczki, puste, ciche i ciasne, gdzie czuć zgniliznę, widać brudy, kałuże błota i gromady śmieci. Z dworca otwiera się widok na góry, taki jak z morza, tylko wyraźniejszy, bo słońce już mgły rozproszyło, i bliżej jesteśmy.

Ruch nie do opisania. Kaukaz odrazu występuje w swej pełni i tylko Kaukaz widać. Guryjczycy, Abchazowie, Mingrelczycy, Imeretyni ¹⁾, wszyscy w strojach narodowych, przeważnie długich sukmanach czerkieskich z ozdobnymi *gazyri* ²⁾ na piersiach, z suto upiękzonymi srebrem i złotem pasami, u których wiszą kindżały o wykładanych srebrem rękojeściach, pistolety i długie krzywe karabele. Zamiast czapek lub kapeluszy, noszą lekko zarzucone na głowę czarne *baszłyki* wełniane, niektórzy zaś okręcają nimi swe głowy w kształcie zawoju, wypuszczając na plecy dwa długie jego końce. Biedniejsi okrywają głowy własnego wyrobu kapeluszami wojłokowymi o skrzydłach olbrzymich. Na nogach mają *czewiaki*, szyte z cienkiej skóry, bez obcasów, chodzą przeto cicho, jak duchy. Taki rodzaj obuwia jest jedynie możliwy w kraju, gdzie do *aulu* ³⁾ piąć się trzeba po krętych i spadzistych ścieżynach górskich, gdzie od jednego postawienia nogi zależy nie raz życie człowieka.

Przedstawicielei plemion pojedynczych trudno na

¹⁾ Pojedyncze plemiona gruzińskie.

²⁾ Ładownice.

³⁾ Wioska kaukazka.

pierwszy rzut oka odróżnić; bardziej różnią się od innych tylko Guryjczycy, nie noszą bowiem długich sukman czarnych, ubranie mają krótkie, obcisłe, za zwyczaj ciemno-żółtej barwy, a na głowach zawój z *baszłyka* lub chustki czarnej; opasują się nie rzemieniem, lecz szalem szerokim, za którym tkwi kin-dzał i pistolet; na ramieniu strzelba się zwiesza.

Piękne są te postacie, o członkach harmonijnie rozwiniętych; bije z nich zręczność i zwinność tygrysa, mięśnie świadczą o sile, a twarz kształtna ma wyraz dumy szlachetnej. Istni górale.

Z Guryjczyków składa się przeważnie milicya miejscowa, oddziały strzelców, których obowiązkiem jest konwojowanie poczt, pociągów, urzędników państwowych i t. p. Strzelcy ci chodzą w ubiorach narodowych, a od reszty współrodaków różnią się tem, że mają naszyty na ramieniu pasek czerwonego sukna.

Kolej Zakaukazka ma odrębny charakter. Na innych drogach żelaznych widać wagony z najrozmaitszemi napisami, z różnemi nazwami miast dalekich i blizkich; szczegóły ten uzmysławia rolę, jaką te arterye odgrywają w życiu społeczeństw i narodów, rolę ich łącznika. Kolej Zakaukaska, biegnąc od morza Czarnego do Kaspijskiego, nie łączy się z żadną inną i odcięta jest od świata grzbietem gór nieprzebytych; przeto widzisz li tylko jednostajne szeregi zupełnie podobnych do siebie wagonów, jednakowy ich kształt, wielkość, kolor i jednakowe na wszystkich litery.

Jesteśmy na zachodnim krańcu linii. Droga otwarta przed nami tylko na wschód, wciąż dalej i dalej. Przez pierwszą godzinę jedziemy tuż nad brzegiem morza, wzdłuż podnóża grzbietu o stromym stoku, porośłym lasem gęstym.

Chaty krajowców zbudowane na czterech wysokich palach pionowych—dla zabezpieczenia od nadmiaru wilgoci, oraz owadów i innych zwierząt nie-

bezpiecznych i nieprzyjemnych; wioski otoczone gęstą zielenią ogrodów, wokół plantacye kukurydzy, gomi i prosa, a dalej, lasy i zarośla, drzewa figowe, orzechy, grusze i jabłonie, posplatane pnączami winogrodu, wszędzie „potęga roślinności, przechodząca niemal w rozpustę”.

Przecinamy biegnące do morza potoki górskie, pieniające się, gdy kamień stanie na przeszkodzie, z wodą czystą, jak kryształ, inne znów mętne, w zależności od pokładów, po jakich toczą swe wody. Od morza ciągnie chłodny wiaterek i wpada przez okna do wagonu. Na stacyach pełno winogron, brzoskwiń, *inżynów*¹⁾.

Niezwykła żywotność przyrody tchnie z każdego atomu tej ziemi. Jakoś oddychasz tu inaczej, czujesz przyływ energii i siły. Jest to niby zjawisko mimetyzmu psychicznego: człowiek przystosowuje mimowoli swój nastrój duchowy do stanu otaczającej natury, kierując się czy to instynktem harmonii, czy też czci bałwochwalczej dla wszechpotężnej przyrody.

Podobnie liszka, aby ukryć się snadniej od wzroku ptaka drapieżnego, powoli z szeregu pokoleń mnogich przybiera kształt i barwę suchej gałązki lub liścia, tak dobór naturalny, bez udziału jej woli, przystosowuje ją do otoczenia...

Rychło wpadamy w przestrzeń równą i szerszą, obramowaną wzgórzami i piętrzącymi się za nimi szczytami wyższymi, aż do tych, co giną w obłokach. To dolina Rionu, dolina uroczej Kolchidy, gdzie Jazon zdobywał złote runo, gdzie zwyciężył smoki i pokochał piękną Medeję.

„Złote runo” Argonautów ma wyobrażać w przenośni niezwykle bogactwa tej mlekiem i miodem płynącej krainy. Żyzna ziemia, oraz klimat ciepły i wil-

1) Figi świeże.

gotny wytworzyły tu niesłychaną siłę wzrostu i egzotyczną „rozpusztę roślinności“: w nieprzebytych lasach walczą z sobą o promień jasnego słońca grusze, jabłonie, czereśnie, śliwki, wiśnie, orzechy włoskie, kasztany słodkie, brzoskwinie, morele, granaty, bukszpany, drzewa figowe, morwowe i oliwne, wszystko powiązane siecią wijących się gałęzi krzewu winnego. Istnieje przypuszczenie, iż te okolice ziemi zakaukaskiej są ojczyzną winogrodu, w takiej ilości pełni się on tu wszędzie dziko, bez najmniejszej pomocy człowieka.

Lecz z drugiej strony, też same owoce i rośliny, stanowiąc bogactwa wielkie i niestychanie się rozmnażając, gniją olbrzymimi masami w przesyconych ciepłą wilgocią i nie przepuszczających promieni słonecznych gęstwinach leśnych i zarażają powietrze miazmatami zabójczej febry. Warunki po temu są bardzo odpowiednie, bo kraj, zasłonięty od zachodu i północy, otwarty jest dla południowo-zachodnich wiatrów morskich, które zalewają go często potokami deszczu; a ciepło zwrotnikowe szalenie przyspiesza procesy gnilne.

Wiele przyczyniają się też w tym względzie plantacje ryżu, t. zw. *czaltyki*. Roślina ta wymaga niezwyklej wilgoci; pole, zasiane ryżem, przedstawia też szeregi niewielkich o okopanych brzegach kwadratów, zalanych wodą, w której gnije krzewiące się tu obficie zielsko. Mieszkańcy wiosek, znajdujących się w pobliżu *czaltyków*, emigrują z dobytkiem na lato w góry, uciekając od tych źródeł zaraży, cuchnących i rojących się od owadów, robaków i płazów.

Przy plantacji zostaje dozorca-wyrobnik, który, straciwszy w tem piekle postać ludzką, jak cień wyżółkły suwa się po kwaterach plantacji, okopując je łopata, aby woda nie uciekała. A gdy zmniejszą się upały, pole podeschnie i ryż zacznie dojrzewać, wte-

dy powracają gospodarze do swych siedzib, aby zebrać plon obfity.

Oprócz darów flory i fauny, kraj zawiera też bogactwa mineralne, a w tej liczbie złoto, którego ziarna drobnutkie unosi w swym pędzie mętny Rion do morza. W celu otrzymania złota krajowcy puszczają wodę Rionu na rozciągnięte skóry owcze: cząsteczki lżejszej materji uciekają razem z wodą, ciężkie zaś złoto zatrzymuje się w gęstej sierści, tworząc prawdziwe złote runo. Więc nietylko w przenośni pojmovać je można.

O dawnych dziejach tej krainy i dramatach przedhistorycznych zdaje się mówić cisza poważna, przerywana tylko przelotnym szumem pędzącego po ciągu, oraz widok natury, niezmaconej obrazem człowieka i siedziby ludzkiej. Wrażenie ciszy uroczystej odbieramy zawsze w miejscach, upamiętnianych pomnikami lub wspomnieniami zamierzchłej przeszłości, i dlatego też cisza częstokroć wydaje nam się tak wymowna.

Niemniejsze wrażenie w miejscowościach historycznych sprawiają góry; są to pomniki potężne, olbrzymy, nie zbudowane ręką marnego człowieka; stoją setki wieków, niewzruszone, gdy wokoło wszystko się zmienia, rośnie i ginie. One mogą świadczyć o przeszłości... Gdybym był bałwochwalcą, czciłbym góry, jako wcielenie bóstwa potęgi niezwycięzonej.

„Was Hände bauten, können Hände stürzen,
„Das Haus der Freiheit hat Gott gegründet“¹⁾

mówi wolny Szwajcar, a tą „świątynia swobody”, której nikt zniszczyć nie potrafi, są góry niebotyczne jego ojczyzny.

Wokoło ścielą się nad Rionem przestrzenie,

¹⁾ „Wilhelm Tell”: Co ręce zbudowały, to mogą i zniszczyć; gmach wolności jest nam wzniesiony przez Boga.

okryte jasną roślinnością zielną, usiane tu i owdzie ciemnymi kępami drzew i krzewów.

Radbyśmy wyskoczyć z wagonu, biedz ku tym istotom zielonym i zapuścić się w głąb państwa wyłącznie tu panującej Flory, przyzwyczajony do obcowania z jej dziatwą w krainie dalekiej, na zachód północny za morzem rozciągniętej. Wiem, iż w tym tłumie na rozkosznej ziemi gruzińskiej znalazłbym dużo znajomych, których braci znam nad Wisłą, Bugiem, Liwcem, Narwią, Nidą, Skrwą, Barką i Prądnikiem, ale spotkałbym i nowe istoty, widziałbym je tu w naturalnem otoczeniu, mógłbym obserwować ich stosunki z sąsiadami—już to walkę zaciętą, to znów na zasadzie kooperacyi zawarte przymierza dla wspólnej obrony i walki ze wspólnym wrogiem...

Pociąg wciąż pędzi. Jesteśmy już na moście, przerzuconym przez „rzekę złotodajną”: pod nami Rion, co wyrwał się z wąwozów górskich i rozlał w dolinie, biegnąc korytem szerokim do morza i zasypując wybrzeże piaskiem i mułem. Oto i stacya Rion. Mamy się przesiąść do innego pociągu, aby za kilkanaście minut pojechać krótką boczną do Kutaisu...

* *

Domki małe, przeważnie parterowe, otoczone ogrodami i ogródkami. Bruków niema. Wiatr wzbija obióki kurzu i ciska w oczy.

Rodacy, z których gościnności korzystamy, mieszkają przy ulicy, idącej równolegle do brzegu Rionu; szmer potoku wartkiego słycać w mieszkaniu.

Kutais — to typowy, cichy, spokojny, sympatyczny zaścianek.

Oprócz kilku świątyń z kamienia ciosanego, niema w nim żadnych gmachów, godnych widzenia. Ale domek każdy otoczony zielenią; tu strzela do góry ciemny cyprys, tam znów kołyszą się ociężale

szerokie liście drzewa figowego, przerzuca się przez parkan jędrna gałąź krzepkiego winogrodu, albo też wychylają się z za płotu usiane ognistymi kwiatami gałęzie drzewa granatowego.

Centrum grodu Imeretynów stanowi skwer, obficie zadrzewiony. Nosi on tu miano bulwaru (?) i jest najbardziej uczęszczanym miejscem spacerowym, zwłaszcza w dzień, kiedy gra tu orkiestra wojskowa. Obok skweru są t. zw. bazy, czyli szeregi sklepów, gdzie koncentruje się handel całego Kutaisu.

Dalej znów są ulice rzemieślnicze. Tu szereg kowali, ślusarzy, tam—krawców, szewców, piekarzy. Wszyscy mają swe warsztaty otwarte od ulicy i w tej samej izbie frontowej mieszkają, pracują i sprzedają swoje wyroby, a w braku miejsca, wynoszą się na ulicę. Z ulicy widać, jak piekarz wyjmuje z pieca pieczywo i układa obok siebie na stole, którego brzeg przeciwległy jest już dobrze wysunięty na ulicę.

Za ulicą kowali i blacharzy zaczyna się kręta droga na górę Arcybiskupią.

Mijamy domy, zawieszane na spadziści, i po dobrych kilkudziesięciu minutach docieramy do szczytu, uwieńczonego zwaliskami fortecy i katedry kutańskiej, wysadzonej w powietrze przez króla Salomona. Tu i owdzie stoją wielkie kawały murów, wszędzie pełno porzrzucanych głazów, kolumn i płyt z napisami gruzińskimi.

Pamiętam jedno okno, zębem czasu nie tknięte—długie i wąskie, zadziwiająco pięknie wyciosane, o równiutko wyciętym łuku maurytańskim; hen, wysoko w kącik wcisnęła się kępka bluszczu, który, zwieszając się przez framugę bujną girlandą, spogląda ciekawie na rozrzucone we wnętrzu gmachu potężne zlepy płyt ciosanych: istna winieta do utworu romantycznego...

A z pod stóp tego okna roztacza się obraz

szeroki; z trzech stron, niby ramy, obejmują obraz szczyty, ciemnym lasem pokryte. Na lewo, u ujścia wąwozu, co rzece drogę toruje, gromadka domków, które łańcuchem rozpiezchłym przerzucają się na drugą stronę Rionu i ciągną dalej, korzystając z przestrzeni otwierającej się tu doliny. Domy i ulice toną w morzu zieleni, bawiącej oko różnaitością odcieni i kształtów. Z drugiego końca miasta smuga wążka kolei żelaznej ciągnie w dal, w dolinę, ku morzu, do świata. Ot widać sznur wagonów i kłęby białej pary, zwijającej się na czarnem tle gór, które echem głośnem świst odbijają. Witaj potężny smoku! co dnia przebiegasz wąwozy ciemne i ludzi do świata odwozisz i nowych ztamtąd zabierasz — kiedyż mnie odwieziesz?...

Przybysz mógłby nazwać Kutais miastem owoców. Istotnie, w składach, sklepach i sklepikach wszędzie napotyka się góry gruszek, jabłek, pigw, brzoskwiń, kawonów, melonów, dyń, tykw, fig, granatów, winogron; lecz wszystkie te owoce nie odznaczają się wybitnemi zaletami, ile że zrywane bywają zazwyczaj przed dojrzaniem, w przeciwnym bowiem razie, z powodu warunków klimatycznych, nie dają się zupełnie przechowywać, nawet przez czas najkrótszy.

Winę starano się zwać w całości na klimat. Tymczasem zdarzały się przypadki, iż cudzoziemcy, biorąc się umiejętnie do rzeczy, otrzymywali bardzo smaczne owoce. Przyczyny szukać tedy należy w braku odpowiedniej kultury, a tego znów w pewnych właściwościach charakteru mieszkańców, którzy — zapewne pod wpływem ciepłego i wilgotnego klimatu — nie odznaczają się zbytnią pracowitością.

Weźmy, naprzykład, dwa powiaty gubernii Kuttaiskiej: Leczcumski i Ratszyński. Pierwszy, zachodni, otwarty na wpływ morza Czarnego, ma klimat wilgotny; mieszkańcy jego są typowi dla tej okolicy.

Drugi, wschodni, oddzielony od zachodu nieznacznym łańcuchem Horibolo, posiada warunki klimatyczne wręcz przeciwne. Ludność jego jest pracowita, dostarcza rzemieślników nie tylko dla Imeretyi, lecz i dla Mingrelii (bliżej ku morzu), wyrabia wino, zbliżone do kachetyńskiego, jednego z najlepszych na Kaukazie.

Natura daje tu bardzo dużo, a mogłaby dać stokroć więcej, lecz mieszkańcy zadawalają się tem, co mogą otrzymać bez nakładu pracy. Hodowla bydła znajduje się w stanie pierwotnym, bo wymaga systematycznej pracy, dozoru, zachodu i t. d. Masy nieprzebrane owoców, których nikt nie zbiera, opadają z drzew i gniją, zarażając powietrze, a nikt nie pomyśli o tem, aby zużytkować te bogactwa, gdy tymczasem w Kachetyi nie marnują się nawet skórki jagód winogronowych, idąc na wyrób okowity.

Niesłychanie szybki wzrost roślin, wobec skłonności ludności tutejszej do pieniactwa, staje się niekiedy nawet przyczyną nieporozumień. Charakterystyczne jest opowiadanie o dwóch Mingrelczykach¹⁾, którzy mieli w sąsiedztwie swe winnice. Jeden z krzewów winogrodu zdołał się mocniej rozwinąć i wypuścił wiele gałęzi, z których najsmielsza (a rósł krzewów w pobliżu granicy sąsiedzkiej) przeszła granicę plantacyi, rozpostarła się na gruncie sąsiednim i, przylgnąwszy do ziemi, zapuściła tam swe korzenie.

Po niejakim czasie spostrzeżono ów zabór i powstał wtedy spór wśród właścicieli, kto ma zbierać owoce z krzewu, rosnącego na obu plantacyach. I byłby się wszczął proces zacięty, gdyby na pomoc nie przybyła sama natura, przeciąwszy węzeł gordyjski w sposób, zaiste godny Aleksandra; oto razu pewnego powstał wichur i przerwał w środku fatal-

¹⁾ Mingrelia znajduje się na zachód od Imeretyi, bliżej ku morzu Czarnemu.

ną gałąź — każda połowa odbiegła na swoją stronę i spór został zakończony.

Tak, do pracy wytrwałej najmniej nadają się ci ludzie.

Kobiety tutejsze noszą szaty wyłącznie czarne: na głowie — zręczne aksamitne bereciki (*tassakrawi*) z gwiazdką srebrną na czole i spuszcającym się delikatnym białym woalem. Budowy są smukłej, o wiotkiej, jak *czynar*¹⁾, kibici. Twarzy widzi się wiele pięknych, o drobnych, prawidłowych rysach, o aksamitnych oczach, okolonych długimi rzęsami, pięknej cerze i kruczych włosach.

Pieśni ludowe w sposób następujący przedstawiają ideał urody kobiecej: piękna Grażinka winna być wysoka i smukła, jak *czynar*, biała, jak wapno, jagody mieć rumiane, jak wino, włosy czarne, jak smoła, oczy błyskawice ciskające, chód spokojny i miarowy, małomówność, skromność, wierność, usłużność, oraz „język jaskółki” podczas biesiady.

Gdy się jednak widzi te piękne postaci, zwłaszcza na ulicy, czuć w nich piętno jakiejś innej cywilizacji, czuć kobietę wschodu, co, wyrwana z zamknięcia domowego, lęka się odchylonych zasłon, lęka świata szerokiego. Jeszcze jej z tem niezręcznie.

Mężczyźni są też wysmukli i postawni. Dumne spojrzenie oczu czarnych, spokój twarzy ściągłej, okolonej długą czarną brodą, ruchy pełne godności, i oręż, nieodstępny towarzysz — nadają ich postaciom coś rycerskiego. Są to typowe natury wschodu i południa: powolni i flegmatyczni, przy lada okazji zapalają się burzą namiętności; rzecz najdrobniejszą gotowi uważać za śmiertelną obelgę i bez namysłu chwytają za kindżał, aby cios zadać temu, kto odważy się honor ich kłać.

¹⁾ Jawor kaukazki.

Zresztą to wygórowane, a nieraz płytkie poczucie honoru, na śmiech ich często naraża lub skutki sprowadza tragiczne; zadanie ran ciężkich w przystępie gniewu jest rzeczą zwyczajną.

Gruzini są narodem lekkomyślnym i wesołym, umieją się też bawić, przodując w tej dziedzinie innym ludom kaukaskim. Kaukaz, jak zresztą wschód cały, jest krajem ceremonij; ujmują one w swe karby wszystkie strony życia, nie wyłączając nawet tych chwil, kiedy człowiek jest nie pracą zajęty, nie spełnianiem swych obowiązków, lecz rozrywkom oddany; więc i uczyty podlegają ścisłym przepisom etykiety, a zwyczaje gruzińskie są w tym względzie powszechnie przyjęte na Kaukazie.

Współbiesiadnicy wybierają ze swego grona t. zw. *tulum-baszę*, na którego pieczy specjalnie znajduje się proces picia i użytku, co jest z piciem wina związane. Więc obowiązkiem *tulum-baszy* pilnować aby wszyscy mieli podostatkiem wina i aby nie uchylali się od picia; nieposłusznemu grozi kara, polegająca na przymusowem wypiciu zawyrokwanej ilości puharów nad normę. Nikt niema prawa uchylać się od „kolejki”, albo nie wypić duszkiem, jeśli toast tego wymaga.

Tulum-basza jest wreszcie panem toastów; on jeden ma je prawo wznosić lub wyznaczać innym, a nieprawne wzniesienie toastu karze podlega; natomiast zwyczaj nakazuje odpowiedzieć toastem każdemu współbiesiadnikowi, na którego cześć toast wznoszają. Pije się zaś zdrowie wszystkich po kolei, wszelka uczta ciągnie się przeto niesłychanie długo, pochłaniając masy wina, w czem Gruzinki zdają się niekiedy nie wiele ustępować mężczyznom.

* * *

Pamiętam wycieczkę do klasztoru Moca-Mety, znajdującego się w odległości kilku kilometrów od

miasta. Szliśmy ścieżyną przepiękną. Wszędy góry, lasem okryte; wąwozy z szemrzącymi na dnie strumykami.

Klasztor zbudowany na skale nad urwiskiem, którego ściana bezpośrednio przechodzi w ścianę budynku, nad nim się wznoszącego; mały kościółek i przylegająca siedziba wyglądają niby ze skały wyrosłe, organicznie z nią zespolone w całość nierozrwalną.

Klasztor zewsząd otoczony przepaścią bezdenną; tyłem z jednej strony przedostać się doń można po gziemiu, w wązkim przesmyku skały wykutym i dla piechura, lub zaledwie jeźdźca konnego dostępnym.

Nad głową masz tu zwieszające się poszarpane głazy kamienne, o krok—urwisko, ziejące głębią bezdenną. Tak dochodzisz do bramy; tuż za nią domek mały. Ciemny korytarz prowadzi do wewnętrznego podwórka, czystego i schludnego, cegłą równo wyłożonego: z jednej strony—wejście do kościółka, z drugiej — ganek, okalający mieszkania zakonników, resztę zajmuje niziutki murek, wzniesiony na skraju urwiska.

Słońce ma się ku zachodowi. Szczyty gór zacierają się w mgle wieczornej; ziemia, niebo, góry i lasy — wszystko zalane ciemnym fioletem, a przepaść wydaje się istotnie bezdenną, bo na dno już noc zstąpiła. Na tle tem odbijają swą czystością białe ramy, okiennice i firanki w oknach u zakonników, oraz jasne mury świątyni.

Cisza panuje urocza, mówić nie śmiesz, a słowo każde wydaje się intruzem i razi, jak kamień, wrzucony ręką brutalną do toni jeziora o zwierciadlanej powierzchni, zalanej równem światłem zachodzącego słońca.

Stanęły mi w myśli obrazy klasztorów średnio-wiecznych, w których odcięci od świata zakonnicy rozwiązywali zagadnienia filozoficzne i niezgłębione

tajniki wiedzy przyrodniczej i w których, jak ktoś powiedział:

Czar wieków, wieków średnich wiara
Powiewa... w kamienie zaklęta...

Taką wydała mi się właśnie ta ustrój Moca-Mety z swem otoczeniem majestatycznym i atmosferą, dającą spokój i równowagę.

Gdyśmy wracali, wypłynęła tarcza księżyca. Znikł fiolet; stoki gór i wąwozy kąpały się w aksamitnej, przesyconej oparami czarności, a ich szczyty ciemne układały się na tle księżycowego nieba. Z ostatniej wyniosłości ujrzelśmy Kutais; dachy domów były blaskiem srebrzystym; zapasy z nim toczyły czarne cyprysy, grożące światłu, niby ciemne maczugi potężne. W taką noc miał śpiewać Eliasza Czawczawadze ¹⁾:

W smętym blasku księżycowej nocy
Śpią doliny mojej Gruzji drogiej,
I nad niemi, w nieba wysokościach
Lśnią lodowce w swej jasności błogiej.

Cicho... Nawet mnie, synowi swemu,
Nic nie szeptem ma rodzinna niwa,
Śpiący Gruzini tylko przez sen jęczy,
Gdyż mu śni się dola nieszczęśliwa.

Sam tu stoję. Cień tych gór wysokich
Zda się stróżem być tej długiej nocy,
O kraino! kiedyż się przebudzisz
Z tego snu i ciężkiej swej niemocy?...

¹⁾ Artur Leist. „Szkice z Gruzji.”

III.

Przez wąwozy ku stepom.

To góry moje, to góry rodzinne,
 Tu przeigrałem dzieciństwa czas;
 Ach, za te wszystkie wspomnienia dziecinne,
 Lube me góry, tak kocham was.
 Sercem i duszą kocham swój kraj,
 On dla mnie miłszy, niż obcy raj!

Tak mi są drogie te dzikie urwiska,
 Te czarne skały, ten lodów blask,
 Że żadne szczęście zdaleka, czy zblizka
 Ztąd nie wywabi tysiącem łask.
 Sercem i duszą kocham swój kraj,
 On dla mnie miłszy, niż obcy raj!

Choćbyście dali mi w obcej kreinie
 Bogactwo, stawę i pyszny dwór,
 Wolę ubóstwo tu w swej dolinie,
 Wolę ja chatę wśród moich gór.
 Sercem i duszą kocham swój kraj,
 On dla mnie miłszy, niż obcy kraj! ¹⁾

W te właśnie góry, o których śpiewał poeta gruziński, Rafał Eristawi, wjechaliśmy zwężającą się coraz bardziej doliną Rionu.

Gdy się jedzie przez kraje gruzińskie, co od morza Czarnego aż za Tyflis się ciągną, na każdej stacyi rzuca się w oczy obfitość owoców. Sprzedają je chłopcy, spuszczaający się z wiosek, zawieszonych nad wąwozem, biedni, nędznie odziani, obdarci. Dostrzeżasz ich już zdaleka, zanim pociąg stanie na stacyi, jak wyciągniętym sznurem stoją z obu stron plantu, obładowani koszyczkami, w których mają grona winogradu, meszkiem nietkniętym okryte, brzoskwinie

¹⁾ Pieśń Chewsura—„Szkice z Gruzji.“

rumiane i figi leśne wprost z drzewa. Koszyczki te sami plotą z zielonych, liśćmi umajonych gałązek, i razem z owocami oddają. Gdy pociąg stanie, widzisz wyciągnięte zewsząd rączyny ogorzale i słyszysz:

— *Szaury, szaury, szaury!*... — co znaczy pięć po gruzińsku: pięć kopiejek chcą za koszyczek brzoskwiń, fig, lub pęczek świeżych gron winnych.

Pociąg po chwili mknie dalej. Ci, którzy pozbyli się słodkiego brzemienia, umykają szybko pod górę, radośnie podskakując i ściskając w piąstce otrzymane dziesiątki; ci zaś, którzy sprzedać nie zdążyli, zostają ze smutnie spuszczonej głowami, patrząc w ślad za wrzynającym się w wąwóz pociągiem. Z góry, z za drzew i krzaków, dolatują ucieszne krzyki szczęśliwszych, a ci powracają wolnym krokiem do domu, bo na nowy pociąg tyle godzin czekać trzeba i rzadki to bardzo gość w wąwozie.

W krajach górskich jedynie środkami komunikacji są doliny i wąwozy; a że dają one zwykle łożysko rzece lub strumieniowi, przeto jedzie się zawsze w towarzystwie potoku wartko pędzącej wody.

Tak też i teraz; choć dawno już porzuciliśmy brzegi Rionu, który skręcił w nieodpowiednim dla nas kierunku — na północ, wnet uchwyciliśmy się płynącej wzdłuż głównego grzbietu kaukazkiego zwinnej Kwiryły¹⁾ i z nią się ścigamy. Rzeka wiję się, omijając przeszkody oraz kamieni występy, to środkiem wąwozu płynie, to do ściany jednej lub drugiej naprzemian podbiega.

A ciasno tu bardzo, więc kolej stosować się do tych kaprysów jej musi; gdy pod ścianę podbiegnie, dla plantu miejsca już niema i przerzuca się wtedy pociąg na brzeg drugi, a ztamtąd wyparty, znów na dawną stronę powraca. I wciąż tak bez przerwy.

¹⁾ Dopływ Rionu.

Dziko tu ogromnie. Ze stron obu wznoszą się ściany pionowe, wysokie, ponure, krzakami pokryte, to znów głazami nagiemi sterczące lub rumowiskami skalnymi zasypane. Na zakręcie widać nieraz piętrzące się daleko szczyty o ostrych zarysach, częstokroć zwaliskami zamków warownych uwieńczone.

Zdaje się, iż te baszty zębate i mury poszarpane wyrastają wprost ze skały, iż zapuściły w jej twarde łono swe korzenie i dlatego wieki przetrwały, uragając potęgóm żywiołów. Obecnie, owiane wichrami, tyłu deszczami zmoczone, nie różnią się barwą od skały, zarysy swe zlały z jej zarysami i dlatego sprawiają wrażenie nie płodów znikomych pracy ludzkiej, lecz dzieł natury potężnych i tajemniczych—niby wcielenie żywiołów.

Jeszcze wczesna godzina, a słońce tu już zaszło — nie pod ziemię, nie w morze się zapadło, jak na równinach, lecz hen wysoko za głazami czarnymi zawisło. Czasem tylko mignie w perspektywie wąwozu szczyt daleki, blaskiem słońca zalany, a taki jakiś inny, taki odmienny od tła otoczenia, niby jasne, promienne wspomnienie dawnej przeszłości, co nieraz staje przed oczami duszy w barwach i kształtach wyraźnych, cielesnych.

Lecz to trwa tylko chwilkę. Pociąg się wykręca na swym torze, jak wąż się wijącym, znika szczyt promienny, a w okno wagonu wpada chłodny wicher, hulający w wąwozie. A ma gdzie hulać, bo choć ciasno, ale też pusto tu bardzo; zrzadka tylko dojrzyysz gromadkę przylepionych, jak gniazda ptasie, chat góralskich, oraz samotny domek dróżnika, z kamieni sklecony i pod ścianę wąwozu wciśnięty.

Więc wyczekujesz stacyj, ale i te ci nie wiele dają pociechy. Oto np. Molita: samotny domek piętrowy, oparty o zwieszające się ze ściany wąwozu głazy kamienne, przed nim naczelnik stacyi i paru ludzi służby stacyjnej.

Dzwonek. Echo roznosi po wąwozach poszar-

pane, ostre dźwięki świstu lokomotywy, ogłaszając skalom i lasom, iż pociąg w ślad za nim wyrusza. Na platformie został człowiek, stoi i ciągnie wzrok za odchodzącym pociągiem, może tęsknota go dławi, chciałby pojechać z nami w świat szerszy, lecz musi zostać do dzwonka przykuty... Gdyby pociąg pędził w kierunku przeciwnym, na zachód, mogłby zazdrościć...

Natura mieszkańca równin dopomina się o swe prawa. Zdaje ci się, że już nigdy nie wyjedziesz z tego twardego wąwozu, iż ta droga kręta nigdy na świat nie wyprowadzi, iż te ściany, z obu stron sterzące, zstąpią się nad głowami naszymi, za nami i przed nami, i zamkną nas tu na wieki.

Zapadający zmrok potęguje wrażenie, jak gdybyśmy do wnętrza ziemi pędzili... Wiszary otaczające przygniatają swym ogromem piersi i całą istotę. Zjawia się nieprzeparte uczucie ciekawości: co jest tam, za tą ścianą wysoką? jak tam kraj wygląda? czy widać tam ludzi?

I oto wybiegasz myślą po za granicę wąwozu, przelatujesz z jednego wierzchołka na drugi i zatrzymujesz się na szczytach, zwaliskami twierdz uwieńczonych. Te zajmują punkty najwyższe. I rozkoszujesz się wielkim, ogromnie wielkim widokiem: słoczony masy gór niższych, rozległe płamy stoków mniej i bardziej pochyłych, labirynty dolin i wąwozów—na tle dalekich królów grzbietu głównego.

I widzisz ztamtąd w ciemnym, głębokim wąwozie dwie wstęgi: jedną—czarną, niby wąż olbrzymi, drugą—srebrzystą, iskrzącą się; obie się wiją zygakiem łamanym, wciąż się spotykają, krzyżują, przecinają, zbliżają i oddalają od siebie, lecz, jakby związane, wciąż sobie towarzyszą...

We wnętrzu olbrzymiego płaza, który pełźnie na dnie studni, zapadającej się gdzieś pod ziemię — my siedzimy...

Krajobraz się zmienia. Wąwóz stał się szerszy, ściany się rozstąpiły; tor kolejowy zaczyna się nieznacznie pięć pod górę, gubiąc pod sobą łożysko rzeki-towarzyszki, która tu ma już zaledwie postać nikłego strumienia. Zjawiają się już przeszkody: więc napotykamy od czasu do czasu drobne tunele. Zamiast ścian jednostajnych, widać wokół malownicze grupy szczytów.

Zbliżamy się do grzbietu Suramskiego (3,015 stóp wysokości), który leży wpoprzek drogi, wyciągnięty z północy na południe, stanowiąc wododział zlewiska morza Czarnego i Kaspijskiego i łącząc system głównego grzbietu kaukazkiego z wyżynami t. zw. Kaukazu Mniejszego, czyli Antikaukazu.

Z początku kolej żelazną przerzucono przez przełęcz Suramską, lecz pchanie pociągów na taką wysokość było zbyt uciążliwe, więc postanowiono przebić przeszkodę tunelem, który też kilka lat temu ukończono; prawie cztery wiorsty się ciągnie; czeka nas 10 minut zupełnej ciemności, więc służba zapala świece w wagonach.

Wąwóz znikł już bez śladu. Jedziemy wprost na górę; nad ziemią widać mały, czarny krążek, ledwie dostrzegalny na tle ogromu spiętrzonej nad nim masy góry; tam wjedziemy — pod ziemię. Wszyscy rozglądają się w wagonie, mimowoli chcąc utrwalić w pamięci położenie otaczających przedmiotów; wkraczamy do świata zupełnej ciemności, uzbrojeni w jedną tylko świeczkę, palącą się płomieniem migotliwym. Drzenie to płomienia ujawnia jego słabość i pozbawia resztek zaufania, jakie względem niego mieć można.

Urwany świst lokomotywy. Wjeżdżamy. Na szybie okna widać tylko odbity płomień świecy, palącej się w wagonie. Pociąg pędzi z ogłuszającym szumem i loskotem.

Z najwyższą radością witasz wreszcie na ścianie tunelu smugi blasku bladego; staje się on coraz

mocniejszy; kilka sekund i mamy wyraźne światło
dienne — wyjechaliśmy. Za nami pozostała wielka
góra z czarnym krążkiem nad ziemią—tam byliśmy.

Nareszcie widok rozległy. Przed nami ściele się
szeroka równina Kartalinii—od grzbietu Suramskiego
aż pod wzgórze okolic Tyflisu. Oko stęsknione po-
biegło z ochotą szukać dalekich punktów oparcia, nu-
rzać się w bezmiarze lubym żywiołu—w wolnej prze-
strzeni.

Wkrótce zajmiemy brzeg Kuru, który właśnie
tu się z wąwozów ciasnych wyrывa, i razem z no-
wym towarzyszem dążyć długo będziemy, daleko,
wiorst setki—ku stepom.

* * *

Mchhet! drobna stacya. Stoimy parę minut i ru-
szamy. Przy świetle księżycy widać gromadkę do-
mów skupionych u stóp olbrzymiego gmachu świą-
tyni, świetnie panującej nad otoczeniem z prawdzi-
wym majestatem królewskim.

Nędzna ta miejscina, którą mijamy, była niegdyś
stolicą¹⁾ państwa gruzińskiego; położona jest przy
ujściu Aragwy de Kuru (po gruzińsku: Mtkwari), tej
Aragwy, o której śpiewa poeta Czawczawadze:

Tyś droga mi, Aragwo, piękna rzeko!
Ty życia Gruzji świadku nieodmienny!
Na brzegach twoich, nad twą falą lekką,
Kwitł niegdyś świat wspaniały i promienny.

.

O ileż razy na twym brzegu stałem
I w ciężkim smutku, załamując ręce,
Na lśniącej w słońcu fale twe patrzałem,
Nie mogąc znaleźć ulgi w swojej męce²⁾.

.

¹⁾ W r. 1193 została przez króla Wachtanga przeniesio-
na do Tyflisu.

²⁾ Artur Leist: „Szkice z Gruzji.“

Miasto Mcchet założone zostało przez Scytosa, jednego z pierwszych królów gruzińskich, jeszcze za czasów pogańskich. Tu mieszkała apostołka Gruzji, św. Nina; tu szczepła wiarę chrześcijańską, obalała balwany i stawiała krzyże. Tu przyjął chrzest Miriam i wybudował pierwszą świątynię chrześcijańską. Tu znajdują się groby wielu królów i patryarchów gruzińskich.

Wspaniała katedra wybudowana była w V stuleciu; w roku 1318 prawie do szczytu zniszczyło ją trzęsienie ziemi; odbudowana przez Jerzego VI, uległa zniszczeniu podczas napadu Mongołów; później jeszcze kilka razy Mcchet pustoszony był przez Lezginów.

Tak ginęły załoty przeszłości.

Raz do roku ożywia się pusta i spokojna miejscina; dnia 13 października odbywa się tu wielka uroczystość relikwii, przechowywanych w katedrze. Wtedy, kto żyw, zjeżdża tu ze wszystkich krańców Gruzji, wtedy tu świetnie i wesoło, śpiewy, muzyka, tańce i uczyty trwają bez końca.

Patrząc z okna wagonu na znikające w mroku nocnym zarysy katedry mccheckiej, musisz dać wodze rozmyślaniom o znikomości spraw ludzkich. Bo czyż trzeba bardziej rażącego przykładu? I brzmia w uszach smutne żale Czawczawadzego, lecz zapamiętać nie mogą, bo oto przypominają się strofy innego pieśniarza gruzińskiego, Akaki Cereteli:

Nie, jeszcze nie umarła ma kraina,
Lecz tylko śpi i kiedyś znów się zbudzi;
Kto jej na zawsze głuchej śmierci życzy,
Tylko się próżno tem życzeniem ludzi.

Choćbyśmy wszystko przez nią utracili
I tylko torba została żebracza,
Ubóstwo takie będzie nam rozkoszą,
I jeszcze lekki ciężki los tułacza...

Za kilkanaście minut byliśmy w nowożytnej stolicy—Tyflisie.

Stolica Gruzji nie znajduje się w środku kraju; ku wschodowi rychło zaczyna się już ukraińska — rozległe włości i rozrzucone wśród nich wioski ormiańskie i tatarskie. I charakter kraju się zmienia: dolina Kuru staje się coraz szersza, zlewając się powoli z przestrzeniami stepów zakaukaskich; i rzeka nie posiada tu nazwy Mtkwari (Słodka), lecz z tatarską Kurem ją zowią. Z początku widać jeszcze nagie wzgórza bezleśne, lecz i te się wkrótce niwelują, a pasma górskie ciągną się ze stron obu, ale już w odległości wiorst kilkunastu.

Więc pędzimy taką doliną szeroką, w piękne ramy rozległe wtłoczoną, które ku wschodowi rozstępują się coraz bardziej. I rzeka już tylko rzadka na chwilkę nam się pokaże.

Świat tu zupełnie inny. Razem z wiatrami południowo-zachodnimi, które mają obecnie dostęp do morza Czarnego zamknięty, zniknęła też bujna roślinność.

I zniknęły cienkie, czarne sukmany gruzińskie, a ich miejsce zajęły niezdarne, wypłowiałe, bezbarwne jakieś kubraki, w pasie ściągnięte i drobno faldowane; zamiast zręcznych „czewiaków” gruzińskich, ludzie noszą tu na nogach ogromne jakieś pantofle z grubej skóry, lub sznurami powiązane niby łapcie, z wysoko podniesionymi, cienko wydłużonymi i zawiniętymi nosami, jak u łyżew holenderskich. Na głowach ciążą im olbrzymie czapy baranie, ze zwieszającymi się długimi kosmykami, a twarze grubo są wyciosane, pozbawione szlachetnej delikatności rysów, choć, zresztą, nie odrażające, chyba brudem, który je pokrywa, i wonią sadła baraniego, którą czuć od nich zdaleka.

Są to Tatarzy aderbejdżańscy, zamieszkujący cały wschód ziemi zakaukaskiej: na zachodzie — w sąsiedztwie z Gruziniami, na południu — z Ormianami, na południowym wschodzie — z Persami, na północy — z góralami Dagiestanu (Lezginami i in.). Są to

właściwie Turcy, a raczej przedstawiają owe plemiona, które wyłoniły z siebie Turcyę współczesną. Mówią narzeczem aderbejdzańskim, które jest powszechnie znane w całej Azji zachodniej.

Tacy ludzie wsiadali na stacyach. Było ciasno i duszno w wagonie, więc wyszedłem na balkon. Owionęło mnie świeże, chłodne powietrze i stałem wpatrzony w dal nocy ciemnej, światelkiem najmniejszym nie rozdartą!

Pusto, i życia niema wokół, a jam tyle dźwięków słyszał; tuż koło mnie cisza dzwoniła pieśń swą tajemniczą i nieuchwytną; pieśń tę tłumił turkot szarpany pociągu; towarzyszył mu plusk spadających potoków deszczu, co spadł gwałtowny, a wicher wył żałościwie, że mu pociąg drogę przecina i bujać w niezmiernych przestrzeniach stepów przeszkadza; bo te stepy na południe daleko aż do gór perskich się ścielą i na wschód — do morza Kaspijskiego; a za morzem znów step takiż i wicher w swych zapasach szalonych aż u płaskowzgórz wysokich Azji środkowej znajdzie przeszkodę—o nią dopiero uderzy.

I wyje tu ten wicher od czasów niepamiętnych, wył podczas pierwszych wędrówek rodzaju ludzkiego, wył za potężnych czasów perskich, usypiał strudzone wielkimi marszami zastępy Aleksandra Macedońskiego, w obozie do spoczynku ułożone, zawodził pieśń smętną żołnierzom Pompejusza, zwracając ich serca tęsknotą szarpane ku krainie ojczystej, zkąd ich wyrwał dźwięk trąby bojowej i zapędził na wschód daleki, na walkę śmiertelną, na podbijanie świata; wicher ten towarzyszył wrzaskom hord Czyngishana i Tamerlana, roznosił wreszcie huk armat i salw karabinowych...

Słuchałem tej pieśni wielkiej. I widziałem przesuwające się obrazy ginącej w pomroce dziejów przeszłości, czułem w tym zimnym wicherze żar bitew, słyszałem w śmiertelnej ciszy stepów niezmiernych

jęki nieszczęśliwych pokoleń, skargi ofiar tych wszystkich tyranów...

Późno w noc już wszedłem do wagonu i wkrótce ukolysała mnie ta pieśń natury wolnej, walcząca z brutalnie wdzierającym się hukiem i łoskotem pędzącego pociągu!

* * *

Obudziłem się już nad morzem Kaspijskim.

Był brudny, przejmujący zimnem i wilgocią świt dnia dzisiejszego.

Wokoło leżały roztoczone jakieś szare, martwe, pozbawione zdziebelka zieleni wzgórze, między którymi udało się tu i owdzie dostrzedz skrawek zbałwanionego morza — brudno-zielony, jak szkło butelkowe. Takie morze, i brudno - żółta ziemia, i niebo ołowiane... Jedziemy niby przez krainę umarłych, a cel podróży — Baku, grobem się wydaje dla skazanych na śmierć za życia.

A tu wciąż bliżej i bliżej. Pociąg ominął wzgórze, stanowiące zachodnią granicę miasta; zatoczywszy półkole, wtargnął na półwysep Apszeroński i teraz już w prostym kierunku, aż z północnego wschodu, dąży do Baku.

Wkraczamy w krainę nafty. Oto widać na horyzoncie czarną smugę lasu wież wiertniczych. Im bliżej jesteśmy, tem bardziej widać i czuć naftę, widać szklane kałuże ropy, rury żelazne, przebiegające w różnych kierunkach; w końcu — szeregi wielkich rezerwoarów, a za nimi „Czarne miasto” — gród zakopconych rafineryj, buchające kłęby pary, chmury dymu, huk, stuk i turkot.

Stajemy.

.

IV.

Nad morzem Kaspijskiem.

Był dżdżysty wieczór zimowy, do szpiku kości przejmujący wilgocią i wichrem północnym. Zapiąwszy szczelnie ubranie, bieglem znużony z portu do swej izdebki zacisznej, przeskakując kałuże wody, która od trwających przez kilka dni deszczów zalewała zagłębienia powierzchni nierównej ulicy.

Przechodząc przez jedną z najbardziej ruchliwych arteryj miasta, spojrzałem przez okno do wnętrza drukarni miejscowej gazety codziennej. Uwijało się tam wielu ludzi, zecerzy stali przy szafkach, znoszono stosy papieru — słowem, wrzała praca pośpieszna.

Wśród ruchu tego uwagę moją zwróciła stojąca przy jednej z maszyn pochylona postać: był to Tatar perski, w wypłowiałym podartym kubraku i perskiej krymce na głowie, biedny, nędzny, przytłoczony, we dwoje zgięty—stał i apatycznie obracał korbę maszyny drukarskiej.

Dziwny los istoty ludzkiej: pracą swą krwawą przyczynia się do wytwarzania świstków, dla niego niepojętych, w których drwią i szydzą z niego i nad tem, jak go gnębić radzą... A on nie domyśla się tego wszystkiego, stoi i jak maszyna ruchem swych mięśni w ruch wprowadza, a kiedy swoje zrobi, wówczas zapłatę mu dadzą i puszcza na ulicę...

To jest Baku—miasto, rzucone na progu Azji, na kresach północnych dawnej Persyi, tego „kraju kontrastów;” i tu też uderzy cię kontrast milionów i nędzy, kontrast szumowin cywilizacyi i dziewiczej epoki barbarzyństwa, kontrast zamkniętego morza i ścielących się wokoło bezbrzeżnych oceanów ste

powych, kontrast wilgoci morskiej i najsuchszego powietrza łądów, ciągnących się wielką równiną od Chin do Kaukazu i od „Dachu świata” do lodów oceanu Północnego.

Dwadzieścia kilka lat temu była to drobna, kilkutyśięczna mięścina muzułmańska, u stóp panującego na wzgórzu dworca chańskiego skupiona i otoczona krzepkimi murami.

Cicho tu wówczas było. Ciszę przerywał tylko głos muezzina, wzywający z wysokiego minaretu trzy razy dziennie — w południe, o wschodzie i zachodzie słońca, wiernych na modlitwę.

I spokojna była zatoka morska, której tafłę rzadko pruł czarną pierśią żaglowiec perski; a wokoło czciciel ognia zapalał na wzgórzach „święte ognie” i budował świątynie, do których schodzili się pielgrzymi ze stron dalekich.

Dopiero razem ze świdrami i potokami nafty zjawił się nowy bóg, co błyszczy i brzęczy, i pociągnął zastępy wyznawców.

Zgasły ognie święte, znikły świątynie dawne i powstały nowe, gdzie miejsce modlitw zastąpił turkot maszyn, stuk młotów i huk świdrów potężnych

I wokoło murów starożytnych rozlało się nowe miasto, ulice wytknięto naprędce, domy jakotako klecono, aby dać chwilowy przytułek ludziom, co szukać bogactw przybyli; i stworzono olbrzymią kaskadę kamieni, spadającą z szarego wzgórza ku brzegowi morza i w gromady tu i owdzie spiętrzoną.

Kaskadę tę widzisz przed sobą, kiedy do portu z morza się zbliżasz. Kolej zaś żelazna omija te wzgórza, co Baku ku morzu spychają, i wprost do miasta się wdziera.

Jak wszędzie w pobliżu dworców kolejowych, tak też i tu napotykasz wiele zajazdów i *duchanów*¹⁾;

¹⁾ Duchan—szynk na Kaukazie.

każdy ma swoją nazwę — od miast rosyjskich i różnych miejscowości kaukaskich, a nad jednym z nich widać nawet wielkimi literami namalowane „Warszawa.”

Dalej ciągnie się rozległe miasto o przeszło sto-tysięcznej ludności, ulice wąskie, ponure, długie, kręte i puste, choć ciasno zabudowane niskimi domkami.

Blżej ku przystani morskiej więcej znajdziesz Europy.

Tu koncentruje się handel, ruch, hałas, turkot i bieganina; lecz takich ulic jest kilka zaledwie. Na innych zobaczysz rano przesuwających się szybko ludzi, dążących do składów i kantorów; w okolicach meczetów spotykać będziesz w pewne dni tłumy szczelnie zakwiefionych kobiet; po za tem chyba woziwoda przejedzie na ośle, obwieszonym zwieszającymi się z boków dzbanami z wodą, węglarz poniesie wór węgla lub przejdzie nacierz, dzwigający na plecach wielką bańkę blaszaną.

Wszystko to wyrosło raptownie wokół pierwotnego labiryntu uliczek wschodnich, otoczonego murami warownemi; pozbawione harmonii i chaotyczne, posiada piętno jakiejś tymczasowości, a domy wschodnie o dachach płaskich wywierają dla oka nieprzyzwyczajonego wrażenie budowli niedokończonych.

Domostwa szare, kształtu pudeł sześciennych, styl maurytański budowli dawniejszych, czyste łuki maurytańskie w karawan-serajach, minarety strzeliście, do świec olbrzymich podobne, zwierciadlana powierzchnia pięknym łukiem roztóczonej zatoki, wysokie, niby ptaki czarne, kontury okrętów perskich, mieszkańcy, odziani w płaszcze perskie, z czerwonymi od henny ¹⁾ brodami, niewiasty, szczelnie w cza-

¹⁾ Henna albo alkanna — farba czerwona, otrzymywana z wywaru liści rosnącego na wschodzie krzewu *Lawsonia* (ro-

dry owinięte, mury i kopuły dworca chańskiego, panujące nad domostwami starego miasta i otaczające je ściany warowne—oto Baku.

Treść życia tutejszego stanowi nafta i jej sprawa. Żyje się tu prawdziwie, jak za morzami i górami; echa wypadków dziejowych słabem odbijają się echem, ale niech zato uderzy wytrysk ropy niezwykły, niech kto tranzakcyę niebywałą załatwi — będą to kwestye dnia najżywotniejsze i wszystko wobec nich błednie. Wszyscy myślą tu o tem, aby jak najprędzej umknąć do świata, więc czasu i chęci do niczego innego nie mają.

Jeśli będziesz w biurze pocztowem, zauważysz tłumy ludzi, cisnących się do urzędnika, który przyjmuje do wyekspedyowania listy pieniężne, gdy tymczasem wieczne pustki świecą przy stole, gdzie się pieniądze wydają.

Tu nikt nie odbiera pieniędzy, tu przyjeżdża się tylko na zarobek... A w tym tłumie, co się do do urzędnika ciśnie z kopertami w rękach, dostrzeżesz brodatych chłopów rosyjskich i odzianego w europejskie szaty eleganta i świecącego czerwoną brodą Tatara, i Persa, panującego nad otoczeniem wysoką czapką baranią, i chytrego Ormianina, i jasnowłosego syna krain północnych, kobiety, wyrostków, starców i młodzieńców.

Ludność tedy miasta składa się z najrozmaitszych żywiołów.

W świecie przemysłowym pierwsze miejsce zajmują Szwedzi (Tow. braci Nobel), następnie—Żydzi

dzina Lythraceae — krwawnicowate). Muzułmanie malują nią sobie na czerwono paznogie u palców. Starcy farbują nią siwe włosy.

francuzcy (Rotszyld), Niemcy, Rosyanie, Polacy, znajdziesz nawet Włochów, Greków, Anglików i Dalmatyńców, nie mówiąc o przedstawicielach wszystkich narodów i plemion kaukaskich. Ludność tubylczą stanowią Tatarzy aderbejdzańscy, Tatowie (mieszkańcy północnej Persyi), oraz Ormianie.

Tragarze portowi, majtkowie i prości robotnicy u źródeł nafty rekrutują się przeważnie z północnych prowinyj Persyi, z kąd wypędza ich na obczyzną głód wieczny i nędza.

Dobroduszni to ludzie, potulni, mało wymagający: trochę chleba i zieleniny (sałaty, rzeżuchy, cebuli) wystarcza im za pokarm całodzienny. Spokojni, z siodelkami na plecach, wylegają się na belkach w porcie, grzejąc na słońcu swe ciała nagie, jak z bronzu wylane i wyczekując pracy.

* * *

*Martwy to kraj, bo zupełnie pozbawiony szaty roślinnej, która rozwinąć się nie może ani na warstwach solą przesyconej gliny, ani na przestrzeniach nagich wapniaków, niegdyś w twardą skałę na dnie morza zbitych.

Jedynie tylko w zimie, podczas pory deszczowej, tu i owdzie plama pojawi się zielona; zazielenią się też, koło rzadko rozrzuconych wiosek, drobne łany pszenicy i jęczmienia. Lecz słońce majowe już spali roślinność, zboże dojrzeje, reszta zwiędnie — a czerwiec martwość przyniesie.

Kiedy nadejdzie wiosna, budząca wszędzie naturę z uspienia, kiedy jej tchnienie przedziwne koi utrapienia, kiedy wszystko żyje wszędzie inaczej, myśli żywiej, czuje lepiej — tu próżno wyczekujesz jej przybycia, a dusza rwie ci się do pól, łąk i lasów, do gajów i strumyków, i uczuć więźnia doświadczać; a przez te wzgórza nagie, co otaczając miasto półkołem, odbierają ci szerszy widok lądowy, jeszcze bardziej zamknięty się czujesz.

Odwracasz wówczas oczy od ich grzbietów, uwieńczonych krzyżami i ukośnemi płytami kamiennymi cmentarzysk chrześcijańskich i muzułmańskich, i biegniesz ku morzu, co prawie podwaliny domostw zalewa.

Tu, na przystani portowej, szukasz zapomnienia — wśród ruchu łodzi i okrętów, wśród bieganiny uwijających się ludzi, ryku parowców, stosów skrzyń, pak i najrozmaitszych towarów, z Europy i Azji zwiezionych.

Tu szukasz powietrza świeżego po dusznej atmosferze miasta azyatyckiego, przesiąkniętego wyziewami austeryj perskich, herbaciarni tatarskich i szynków chrześcijańskich; tu wśród nocy cichej gwarzysz z szumem fali morskiej, a w dzień szukasz przestrzeni wolnej.

Wśród nocy chodzisz, wpatrzony w dal ciemną, świecąca tu i owdzie drobnemi latarkami stojących w zatoce okrętów, wreszcie siądziesz zmęczony na głazach kamiennych. Wiatr morski chłodzi ci czoło, co zdaje się pękać od nawału wspomnień, a myśl buja bez przeszkód w przestrzeni, zamglonej oparami nocy.

Z pod stóp dochodzi szum ciągły i widzisz przy blasku księżyca srebrzące się grzbiety fali spienionej: biegnie jedna za drugą, przelewając się w tej gonitwie, niby rwąc się do biegu, aby o brzeg twarde uderzając. Uderzą—i skruszą cząsteczkę milionową opoki, i powracają już spokojniejsze po spełnieniu zadania, i grzbiety schylają, ażeby po swej powierzchni dać drogę nowym zastępom, co wściekle, spienione, rwą się dzieło rozpoczęte dalej prowadzić...

Nieraz, gdy zbliżasz się ku morzu, zdala dobiega cię już szum głośniejszy, niezwykły. I morze miewa różne chwile w swem życiu.

Gdy wicher dmie mocny, burzy się wówczas, a jego granice, choć bardzo, bardzo szerokie, ciasne

się stają i ruch fali rozbującej krępują. Więc głośniejszy wtedy szmer jego, bardziej namiętny i niespokojny; więc fala szybciej jedna za drugą nadbiega, mocniej o brzeg uderza, do góry pryska i ziemię zalewa.

Nieraz odpoczywa znów morze, spowite w zasłony z tumanów, niby w objęciach rozkosznych złożone. Cicho tu wówczas i szmeru niema; tylko czasem, czasem pluśnie leciuchno fala spokojna i marszczka miękka przebiegnie, niby drzenie radosne upojonej rozkoszą istoty. Nieuchwytny jego oddech niesie tchnienie, przesycone ciepłą, aż obezwładniającą wilgocią aromatyczną, a na zwierciadlanej powierzchni układają się długie, spokojne smugi świetlane, jak gdyby, zatrzymane w swym ruchu, choć wiecznie iskrzące się, nie śmiały obecnie przerywać tego ogromnie zupełnego spokoju.

A w dzień, przy blasku słonecznym, igra to morze, jak dziecko swawolne, to szatę jaskrawą, iskrzącą się od światła, przybiera, to się przyobleka w pancerz mosiężny, to pod ciężką powłoką ołowianą ukrywa, to złocistemi upiększa blachami, to znów smugi różnobarwne rozpościera na swej powierzchni...

Nieraz, zupełnie spokojne i oparami przesłonięte, zlewa się z niebem gdzieś w przestrzeni, tworząc dal jedną bez granic, konturów i kształtów. Wówczas wszystko, co jest na morzu, wyraźne czarne ma zarysy, a statki zdają się nie po wodzie płynąć, lecz w tem przestworzu jednolitem bujać; wszystko niby z bajki fantastycznej wyjęte...

Nieraz poszarpana powierzchnia morza przybiera twardą barwę błękitną, obramowana smugą granatową na horyzoncie. Żagle lśnią wówczas śnieżną białością—i wszystko światłem słonecznym zalane, odbija barwami od ciemnego tła toni.

Więc chodzisz nad morzem, przesiadujesz nad niem, patrzysz godzinami, codnia brzeg jego odwie-

dzasz, niby przyjaciela najszczerzego — i codzień odnajdujesz tu nowe obrazy, coraz to nowe wrażenia.

I przywiążesz się do tego morza, co „jest rzeczą dziwną i ogromną — i od wielkich większą,“ pokochasz je, tęsknić nad niem będziesz — i żalujesz tylko, że fale na wschód zimny ciągną, ku stepom, gdzie grób Tamerlana się wznosi, i że westchnień twych nieść nie mogą na zachód, ku tej krainie dalekiej...

V.

W państwie nafty.

Głównem siedliskiem przemysłu naftowego na Kaukazie jest półwysep Apszeroński, ów cypel wązki, mający 50 wioś długości, o największej szerokości, wynoszącej u jego podstawy 20 wiorst, wrzynający się w morze Kaspijskie i stanowiący najbardziej na wschód wysunięte zakończenie łańcucha gór Kaukazkich.

Ukształtowanie powierzchni półwyspu jest nader monotonne; tylko w środkowej jego części znajduje się kotlina, a w niej małe jezioro słone, na którego brzegach wegetują dwie wioski tatarskie. Zresztą cały półwysep pokryty jest piaskiem ze znaczną zawartością soli lub też przedstawia przestrzenie, pokryte zbitymi płatami wapniaka.

Roślinności niema prawie żadnej; monotonię szarych obrazów przerzynają tylko rzadkie rośliny, właściwe stepom słonym, zresztą też szare, nędzne, kołace — niby życia pobawione.

Krajobraz ożywia się nieco w czasie deszczów, które są rzadkością. Od czerwca do października prawie ani kropla deszczu nie orzeźwia spragnionej

wilgoci ziemi. Wielkie upały i ciągle wiatry dopełniają miary.

Wody słodkiej, zdatnej do picia niema na całym półwyspie. Nawet w Baku trudno jej dostać; wytwarzana sztucznie przez dystylowanie wody morskiej, stanowi poniekąd prawie przedmiot zbytku. Miejska dystylarnia wody na wielką skalę istnieje dopiero od lat kilku; przedtem musiano z konieczności używać wody słonawej ze studzien.

Od niepamiętnych czasów Pers kopał w okolicach Baku niewielkie dolki, w których zbierała się obficie wyciekająca ciecz ciemna i gęsta, o mocnym charakterystycznym zapachu. Zbierał ją ztamtąd brudną, z wodą słoną zmieszaną, rozlewał w worki skórzane i rozwoził na wielbłądach po wioskach okolicznych.

Ceniono ciecz tę jako środek przeciw bólom reumatycznym, przy których nacierano nią skórę; używano jej też potrochu w charakterze substancji światłodajnej, paląc w lampkach glinianych, tak zw. *czyrakach*, które i dziś jeszcze często spotkać można u tubylców.

W wielu miejscach ropa naftowa sama sączyła się na powierzchnię ziemi, gdzie lżejsze jej części składowe się ulatniały, reszta zaś tężała, przesycając ziemię i tworząc masę woskową, używaną obecnie do wylewania chodników i dachów niektórych placów i ulic w Baku.

Jak tu, na półwyspie Apszerońskim Persowie, tak na Kaukazie zachodnim znali naftę oddawna Czerkiesi, a w Pensylwanii — Indianie Ameryki północnej. Wzmianki o oleju skalnym (petroleum) znajdujemy też u pisarzy starożytnych — Herodota, Arystotelesa, Plutarcha, Pliniusza, Strabona; w Egipcie używano go razem z wielu innymi substancjami do balsamowania ciał ludzkich; w Chinach i Japonii też znano go od wieków.

Grunt półwyspu Apszerońskiego składają zmieniające się kilkakrotnie w kierunku pionowym trzeciorzędowe warstwy piasku, gliny i piaskowca, nakryte z wierzchu piaskami i glinami formacyj uralo-kaspjskich. Nafta nie tworzy, jak to sobie wielu wyobraża, jezior i rzek podziemnych, lecz przesiąka warstwy piasku, zawarte między dwoma nieprzepuszczającymi cieczy pokładami gliny.

Kwestya pochodzenia nafty jest jeszcze ciemna i niezupełnie rozstrzygnięta. Jedni usiłują dowieść jej organicznego pochodzenia, inni mineralnego.

Wiadomo powszechnie, że zewnętrzne warstwy skorupy ziemskiej zawierają pierwiastki lżejsze; żadnego z tych pierwiastków nie spotyka się tu w związkach, których ciężar właściwy przewyższałby liczbę 4 (większość około $2\frac{1}{2}$), gdy tymczasem obliczony średni ciężar właściwy kuli ziemskiej wynosi aż pięć.

Wynika ztąd, że we wnętrzu ziemi muszą się znajdować ciała daleko cięższe od tych, które stanowią jej skorupę. Jest to pewnik, stwierdzony wielu drogami i wynikający też, między innymi, z praw mechaniki, zastosowanych według teoryi Laplace'a o pochodzeniu naszej planety, jako oderwanej cząstki masy słonecznej.

Powstaje teraz pytanie, które z ciał znajduje się we wnętrzu ziemi w przeważającej ilości? Musimy się zgodzić, że pierwiastek ten powinien się spotykać też i na powierzchni ziemi i w znacznej ilości wchodzić w skład słońca. Nie może nie przyjść nam na myśl żelazo: ciężar jego właściwy, większy nieco od 7, razem z ciężarem stosunkowym skorupy ziemskiej, daje właśnie liczbę do 5 zbliżoną, taką, jaka wynika z teoretycznych wyliczeń.

W jakiej postaci znajduje się żelazo we wnętrzu ziemi?

Porównajmy roztopioną kulę ziemską z piecem huty żelaznej. W ostatnim przy stapianiu rudy że-

laznej z węglem otrzymujemy główną masę, przedstawiającą związek tych dwu pierwiastków i zbierający się na wierzchu żuzel; ostatni jest zbliżony do zewnętrznych warstw kuli ziemskiej.

Związek zaś metalu z węglem powstać może tylko w nieobecności tlenu; w piecu huty żelaznej tlen odciągają lżejsze pierwiastki, stanowiące żuzel, a osobliwie krzem i wapień. Toż samo stosuje się do tych wielkich reakcyj, które zachodziły w roztopionej kuli ziemskiej; oprócz tego, należy przypuszczać, że tlen, jako pierwiastek lekki, jest i był zawsze we wnętrzu ziemi w ilościach bardzo niewielkich. Węgiel zaś jest bardzo mało lotny, ciężar właściwy jego pary znaczny, oraz budowa cząsteczki złożona — zawsze przeto trzymać się musiał bliżej środka roztopionej masy.

Tak tedy skład chemiczny żelaza, znajdującego się we wnętrzu ziemi, jest zbliżony do żelaza lane-go: część węgla przedstawia w nim domieszkę mechaniczną, część jest związana chemicznie. W takim też stanie spotykamy żelazo w meteorytach.

Przez szczeliny i rozluźnione pokłady skorupy ziemskiej, zwłaszcza u stóp łańcuchów górskich, woda przedostaje się do warstw głębszych, napotyka-jąc tam roztopione masy żelaza. Skutkiem zetknięcia tego metalu się utlenia, a wodór daje z węglem węglowodory, które podnosząc się szczelinami w postaci pary do góry, zgęszczają się tu w ropę naftową i skupiają w warstwach dziurkowatych, przesiakając je w mniejszym lub większym stopniu.

Taka jest w ogólnych zarysach hipoteza mineralnego pochodzenia nafty. Oprócz niej, istnieją też inne, w różnym stopniu częściowo tylko uzasadnione hipotezy, usiłujące dowieść, że nafta powstała z resztek organizmów roślinnych lub zwierzęcych, drogą długich procesów rozkładowych pod wpływem wysokiej temperatury.

Choć nie wiadomo, jak i kiedy, ale w każdym

razie należy przypuszczać, że nafta wytworzyła się we wnętrzu ziemi; gdyby powstała na powierzchni, ulotniłaby się, zostawiwszy woskową masę, która nie mogłaby się przedostać pod ziemię; również niemożliwe jest przypuszczenie, aby wytworzyła się na dnach głębin wodnych, albowiem, jako substancja lżejsza od wody, wypłynęłaby na jej powierzchnię i tu znów podległa działaniu atmosfery.

Okoliczności, wśród których nafta znajduje się zarówno w Ameryce, jak i na Kaukazie, dowodzą, że powstać ona musiała w warstwach bardzo głębokich.

Bardzo ważną wskazówkę daje fakt, że naftę znajdujemy zawsze w pobliżu gór: w Pensylwanii przemysł naftowy ciągnie się linią u stóp gór Allegańskich, tu zaś źródła nafty ciągną się pierścieniem wokół łańcucha Kaukazkiego.

Góry przedstawiają fałdy powierzchni ziemi; każda wyniosłość tworzy się kosztem odpowiedniej wklęsłości. Wskutek tych wygięć skorupy ziemskiej pokłady rozsuwają się lub rozluźniają w niektórych miejscach, tworząc mniej lub więcej wyraźną szczelinę, ku górze się rozszerzającą; utworzenie wklęsłości wywołuje znów linię złamanego oporu, rozszerzającą się ku środkowi ziemi.

Przez te ostatnie właśnie nafta wydostaje się z głębin niedoścignionych i wędruje do góry, a napotkawszy po drodze pokład najbardziej gościnnie, t. j. w dostatecznym stopniu dziurkowaty, wsiąka wewnątrz, tworząc warstwę naftową.

* * *

Przemysł naftowy koncentruje się głównie w odległości dwu mil na północo-wschód od Baku, w pobliżu wulkanu błotnego Bogo-Boga, w okolicach wsi Bałachany, Sabunczy, Romany, Bulbuli, zajmując przestrzeń przeszło 10 wiorst kwadratowych.

Do miejscowości tej dochodzi odnoga kolei żelaznej z Baku. Nie dojeżdżając jeszcze na kilka wiorst od stacyi Sabunczy, widzi się z okna wagonu czerniejący na horyzoncie las wieżyc wiertniczych, zlanych ropą, zakurzonych i zakopconych.

Dziwnie rażąco odbija ta czarna ściana na jednostajnie szarem tle równego stepu i ta chmura wiecznie unoszącego się dymu, mącąca piękną i czystą harmonię niezmiernych przestrzeni ciemno-błękitnego nieba południowego.

Wzdłuż plantu kolejowego widać ułożone na powierzchni ziemi rury żelazne, już to biegnące równolegle, już krzyżujące się, różnych wielkości, grubsze i cieńsze; rurami temi sprowadzają ropę do rafineryj w Baku.

Jest to wielkie udogodnienie; kilkanaście lat temu przewożono surowy produkt beczkami na wozach. Ile czasu kosztowało transportowanie, ile kłopotów i kosztów pociągało!

Obecnie dzień i noc pracująca pompa parowa przez jedną dobę przelewa dziesiątki tysięcy pudów, napelniając w jednej chwili kotły i zbiorniki rafineryj. Nieraz psują się te rury i ropa wycieka, tworząc brudne, żółte kałuże, które zalewają pola okoliczne, niszcząc resztę siły życiodajnej w tej martwej, żarem słońca spalonej ziemi, gdzie wichry ciągle i tak prawie wywiały słabą iskrę tlejącego w niej życia.

Przyjeżdżamy na stacyę.

Nad słońcem jeziorem, obficie zatłuszczonem ropą, która rozlawszy się na powierzchni cienkimi warstewkami, mieni się w blasku słońca barwami tęczy, roi się to mrowisko, gdzie przesycone ostrym zapachem nafty i podziemnych gazów powietrze drży od huku setek maszyn parowych.

Jedna obok drugiej, cisną się tu tysiącami wieże czarne, ropą ociekające; w jednych wre praca, huczy maszyna, leje się ropa; inne już spełniły swe zadanie i wydały owoc obfity—pusto i cicho w nich

teraz. Inne znów stoją nieruchome w wiecznym odpoczynku, wiecznie opuszczone, przeklęte, jałowe: zamiast oczekiwanych bogactw wydały tylko zawiedzione nadzieje, bankructwa i przekleństwa.

Wieże stoją blisko jedna koło drugiej, bo miejsce tu drogie, ogromnie drogie — i pozostałe między nimi wąskie przejścia tworzą zawikłany labirynt, w którym trudno się oryentować. Wszędzie widać góry piasku, wielkie wały i olbrzymie doły, przedstawiające zbiorniki ciemnej, gęstej cieczy.

Gdzieniedzie tylko napotyka się szerokie drogi, przecinające ostremi liniami tę ziemię, usianą wysoko sterczącymi czarnymi szkieletami; a przy drodze widać czasem domy mieszkalne i kantory, te skromne i niepozorne przybytki potentatów.

* * *

Wchodzę do wieży wiertniczej.

Jestto budynek drewniany, sięgający 7 — 8 sążni wysokości, mający 3 sążnie kwadratowe u podstawy i zwężający się do 1 kw. sążnia górnej platformy.

Przez wprawiony u sufitu blok przerzucona jest gruba lina, do której przymocowane są przyrządy, służące do wiercenia. Przyrządy owe wprawiane są w ruch przy pomocy maszyny parowej, znajdującej się w budynku, przystawionym do jednej ze ścian wieży i z nią się komunikującym.

Po obraniu pewnego miejsca i wzniesieniu wieży, przed przystąpieniem do wiercenia wykopuje się z początku otwór od 3—10 sążni głęboki, nieco szerszy, bo mający w średnicy około $1\frac{1}{2}$ stopy. W otwór ów wprawiają pierwszą, najgrubszą rurę, dającą początek szachtowi.

Sam proces wiercenia podlega częstym zmianom i ulepszeniom, stanowiąc obszerny dział techniki i zwracając na siebie uwagę wielu specjalistów, którzy wciąż nad udoskonaleniem jego pracują.

Niezmienna zasada jego polega na następującem: do liny, czy łańcucha, przerzuconego przez blok, przywiązana jest sztanga, czyli wielki (3 — 4 sążni) drąg żelazny, do którego końca przymocowywa się olbrzymie ciężkie dłuto. Spadając z impetem na dno otworu, dłuto kruszy pokłady, wciąż się bardziej zagłębiając; szybkość jego dochodzi 40 — 45 uderzeń na minutę.

Pokruszoną ziemię wydobywa się w postaci gęstego błota przy pomocy czerpaczki, przedstawiającej wielki cylinder żelazny z klapami, uchylającymi się tylko w jedną stronę, jak u pomp wodnych.

W warstwach miękkich, piaszczystych, miejsce dłuta, którego praca byłaby tu zbyt cenna, zastępuje żelazny cylinder z podłużną szparą w swej ścianie; opuściwszy ów przyrząd, obracają sztangę żelaznymi kluczami, i w ten sposób ziemia nabiera się do cylindra, a następnie wyrzuca nazewnątrz.

Oprócz tego istnieje jeszcze jeden sposób wiercenia. Sztangi są tu zastąpione przez bardzo mocne rurki o małym otworze i grubych ściankach. Rurkami temi pompują wodę, która, dostając się do dna szachtu, rozmywa pokruszoną ziemię i następnie zabiera z sobą, wychodząc nazewnątrz sztangi i wylewając się na powierzchnię ziemi pod parciem nowych mas wody.

System ten, zwany „amerykańskim”, dogodny, bo znacznie skracający proces czyszczenia szachtu, nie może tu być stosowany z powodu braku wody. W lipcu i sierpniu beczka wody kosztuje 30 — 40 kop., tak, że cena puda wynosi $1\frac{1}{2}$ — 2 kop., co przewyższa cenę ropy naftowej.

Na dno otworu opuszcza się rury żelazne. Razem z pogłębianiem szachtu nowe rury ustawiają się na tych, które już przedtem opuszczono i które w taki sposób wciąż się dalej w głąb posuwają. Lecz po dojściu do pewnej głębokości zbierająca się ziemia zaczyna tamować ruch tych rur najniższych,

i wtedy nie dają się więcej wdół posuwać, aby ustępować miejsca nowym, z wierzchu przybywającym.

Wówczas bierze się rurę cokolwiek cieńszą i opuszcza wprost na dno, aby znów ją upychając z postępowaniem wiercenia nowy szereg wytworzyć, zaczynający się od końca poprzedniego, koncentrycznie go obejmującego i dotykającego się swoją wewnętrzną do jego zewnętrznej ścianki.

I w taki sposób, wciąż otwór pogłębiając, kilka razy zmieniać trzeba średnicę rury.

W centrum przemysłu naftowego, gdzie warstwy są wyczerpane, głębokość szachtu przekracza już nieraz 1,000 stóp, zresztą nie wszędzie jest ona jednakową. Warstwy te bowiem, jak wogóle wszystkie pokłady, czy to we wnętrzu, czy na powierzchni ziemi, czynią wiele zagięć w poziomej i pionowej płaszczyźnie, a w niektórych miejscach zapewne nawet się przerywają.

Z tego też powodu zmuśna i ciężka praca wiercenia nie zawsze wieńczy się dobrymi rezultatami; nieraz szacht obdarza właściciela tylko stertami wydobywanego piasku, ziemi i błota.

Ukazanie się nafty poprzedza zwykle słona woda, żółtawej barwy, o kwaśnej reakcji, zawierająca na 1,000 części swej wagi około 36 części soli kuchennej, 2 części chlorku potasu, oraz trochę związków magnezu, żelaza i fosforu; woda ta wszakże nie zawiera zupełnie siarczanów, czem zasadniczo różni się od wody morskiej.

Oprócz wody słonej, nafcie towarzyszą zawsze gazy węglowodorne, wydostające się nieraz w wielkich ilościach i sprawdzające straszne wybuchy, oraz pożary. Gazy te, zwłaszcza gaz błotny, są produktem rozkładu naturalnego nafty. Gaz błotny częścią wchłaniany bywa przez naftę, częścią zaś wypierany przez ciecz, zbiera się nad przesyconemi naftą pokładami.

Kiedy pokruszona ziemia, wyrzucana czerpaczką

z dna szachtu, staje się w znacznej ilości zmieszana z ropą, wówczas przerywa się wiercenie. Zamiast świrdrów, opuszcza się na dno szachtu długie cylindry, napelniające się ropą przy pomocy klap odpowiednio wprawionych i mogące jednorazowo nabrać od 10 — do 20 pudów.

Jakość i ilość otrzymanego w ten sposób produktu bywa bardzo rozmaita; nieraz zdarza się, że czerpaczka naftonośna daje wciąż ropę brudną, zmieszaną z wodą i piaskiem; nic nie pomaga: ani wybieranie jej, ani pogłębianie szachtu i produkt okazuje się niezdatny.

W niektórych znów razach dopływ ropy bywa obfity, ciecz otrzymuje się czysta, a ilość jej dochodzi do 250 pudów na dobę.

Kilkanaście lat temu jeden szacht, znany pod nazwą „Karmicielki”, dawał w przeciągu 12 lat po 8,000 pudów dziennie. Przypadek ten należy do wyjątkowych, wogóle jednak taki rodzaj otrzymywania nafty (t. z. „*tartanje*”), choć skromny i powolny, jest zato systematyczny, wytrzymały i długo się nie wyczerpuje.

Wręcz przeciwnie bywa w tych razach, kiedy nafta bije w postaci fontanny.

* * *

Raptownie, jak piorun, spada na Baku wieść, że w Bałachanach uderzyła fontanna.

Z ust do ust przebiega nazwisko szczęśliwego właściciela, który w jednej chwili stał się bogaczem; wszyscy liczą ilość pudów i wiader, sumują liczby olbrzymie, fontanna staje się najświeższą wiadomością, którą komunikują sobie najmniej nawet naftą i jej sprawami zainteresowani, jednym słowem, wybraniec losu staje się bohaterem dnia.

I tłumy, wiedzione gorączką ciekawości i żądne

widoku lejących się milionów, spieszą oglądać prawdziwe dziwo natury.

Zdaleka już widać wierzchołek bijącego w górę do 50 sążni potoku, złocący się i mieniący barwami w blasku słonecznym, a wiatr niesie ostry zapach cieczy, rozpryskującej się od siły uderzenia i spadającej na ziemię drobnym, gęstym deszczem.

Wspaniałe to zjawisko!

Ziemia drży pod stopami, wydając ze swego łona ów potok, co z hukiem i szumem ogłuszającym niszczy i rozbija wszystko na drodze, rozrywa wieżę wiertniczą, rozrzucając belki i deski, wraz z kamieniami i masami piasku, zasypującego nieraz budynki sąsiednie.

Płyn światłodajny, spadając na ziemię, spływa strumieniami do specjalnie wykopanych wielkich dolów, zapelniając wklęsłości powierzchni ziemi i tworząc całe jeziora.

Ilość wyrzucanej przez fontannę ropy jest rozmaita, sięgając miliona pudów na dobę, a przeciąg czasu bicia fontanny waha się od kilku tygodni do kilku miesięcy.

Fontanny bywają ciągle i peryodyczne.

Częściej zdarzają się te ostatnie, a że często przerywają swą działalność, przeto wydajność ich nigdy nie bywa zbyt wielką, nie przewyższając przeciętnie 20,000 pudów na dobę.

W życiu każdej fontanny przerywanej odróżnić dają się trzy następujące okresy: z samego początku, znalazłszy ujście dla swej mocy napiętej, fontanna uderza z niezwykłą siłą, pociągając za sobą masy piasku, który zbiera się na dnie otworu świdrowego i tamuje bieg bijącego strumienia.

Wskutek tego fontanna po pewnym czasie się zatrzymuje. Ponieważ ropa naftowa sama już nie wytryska, trzeba ją czerpać, przyczem zwracać należy uwagę, aby przyrząd nabierający opuszczał się do samego dna szachtu; w ten sposób razem z naftą

wybiera się piasek i usuwa przeszkodę, przez co fontanna znów bić zaczyna.

Wszakże z czasem fontanna osłabia się, że tak powiemy, organicznie. Sprężyną fontanny jest zawarty w nalcie gaz, którego ilość, a zatem i prężność z czasem się zmniejsza; gaz się ulatnia, a podlegają temu przeważnie zewnętrzne warstwy ropy, w krótkim czasie zupełnie się go pozbywające.

Wtedy fontanna znów się zatrzymuje, bo ta zewnętrzna warstwa, stawszy się zupełnie bierną, ciężarem swym układa się na warstwach czynnych i tamuje ich siłę. Dla wywołania wytrysku należy znów czerpać naftę, lecz nie z dna, ale z powierzchni, aby zebrać przeszkodę, ukrywającą się na powierzchni.

Wreszcie następuje ostatni okres, okres powolnego upadku: fontanna powoli ustaje, powoli zmniejsza się dopływ ropy na dnie szachtu, w końcu płyn przestaje się pokazywać i tylko wydobywające się z głębi otworu gazy świadczą o życiu, które kiedyś tam wrzało.

Z czasem i gazy przestają wychodzić, a ludzie porzucają umarły szacht, bo jest przedmiotem nieużytecznym...

Każda fontanna naftowa ma swe odrębne właściwości.

Wogóle są to zjawiska bardzo złożone; siła fontanny, jej charakter, przeciąg czasu, wydajność zależą od bardzo wielu przyczyn, wpływa na nie też budowa pokładów i ciśnienie atmosferyczne; kiedy ostatnie się zwiększa, np. podczas wiatru północnego w Baku, skorupa ziemska ulega silniejszemu ściśnięciu, powodując i silniejszy wytrysk gazów, pociągający znów obfitszy wypływ ropy.

Główną zaś sprężyną wytrysku jest własność ropy wchłaniania gazów węglowodornych, potęgująca się w stosunku prostym do ciśnienia.

Widzimy tedy, że zjawisko fontanny zupełnie

nie jest zależne od przyczyn hydrostatycznych, t. j. od praw równowagi cieczy; dlatego też fontanny naftowej nie można porównywać ze studnią artezyjską. Prędzej możnaby tu zastosować bunsenowską teorię gejzerów, czyli źródeł gorącej wody, gdzie para wodna odgrywa rolę analogiczną do tej, jaką tu pełnią gazy węglowodorne.

* * *

W szóstym dziesiątku bieżącego stulecia oleje mineralne zaczęły wchodzić w użycie, jako materiał światłodajny, zastępując miejsce ciężkich tłuszczów roślinnych i zwierzęcych; przewagę nad dawnymi materiałami dawała im ich lotność, własność łatwego przesiąkania naczyń włoskowatych i skład chemiczny, tylko węgiel i wodór zawierający.

Otrzymywano je z węgla kamiennego, torfu i łupków smolistych.

Lecz sztuczna ta produkcja olejów mineralnych trwała niedługo, wkrótce bowiem rozwinął się przemysł naftowy w Stanach Zjednoczonych Ameryki północnej i nowy produkt zaczął ukazywać się na rynkach europejskich.

Gdybyśmy chcieli z pomocą świec łożowych otrzymać taką siłę światła, jak przy oświetleniu naftowem, oświetlenie to kosztowałoby trzy razy drożej; w obrachunku tym przyjmujemy cenę funta nafty 7 kop., a funta świec łożowych—17 kop. Widzimy tedy, jak wielkie jest to odkrycie, uprzystępniające najbiedniejszym ludziom możliwość korzystania z jasnego światła i produkcyjnego użycia czasu długich nocy i wieczorów.

Oczyszczanie surowej ropy i fabrykacja właściwej nafty odbywa się w rafineryach, które skupione są pod samem Baku, tworząc osobną dzielnicę, t. zw. „Czarne miasto“.

Jest to istne czarne miasto.

<http://rcin.org.pl>

Okolo 200 fabryk, skupionych na ciasnej przestrzeni, bez uregulowanych dróg i ulic, nie znajdujących— rzecz oczywista—ani bruków, ani chodników; monotonne i nędzne budynki kamienne, bez najmniejszej pretensyi do jakichkolwiek ozdób; tu i owdzie aparaty dystylacyjne, dla pośpiechu wprost na otwartem powietrzu ustawione; wszędzie szyny odnóg kolejowych i ręcznych kolejek; pełno rur, zbiorników i olbrzymich rezerwoarów żelaznych...

Wszystko to skupione w chaotycznym nieładzie na brudnem wybrzeżu morskiem; u licznych przystani stoją szeregi olbrzymich statków, które, napełniając naftą swe wielkie kadłuby wprost z rur, od rafinerij idących, wiozą ją do portów perskich i do ujścia Wołgi przez Astrachań; setki wagonów zabierają ją codzień nad morze Czarne — do Batumu i Poti.

Sam proces oczyszczania ropy jest bardzo prosty. Ropę wlewa się do żelaznych kotłów, zawierających 70 — 100 pudów, i poddaje dystylacji; dystylacja zawartości jednego kotła trwa 17 — 20 godzin.

Pierwszym produktem tego procesu jest eter naftowy (benzyna), otrzymujący się w ilości okolo 5%; następnie otrzymuje się do 15% naftowego spirytusu, poczem już przechodzi czysta nafta.

Różne gatunki ropy dają różne ilości nafty, od 10% do 80%. Ropa bakińska przeciętnie daje jej okolo 36%, amerykańska do 75%. Tutaj zato otrzymuje się do 50% t. zw. *mazutu*, czyli produktów z większym ciężarem właściwym od nafty i służących do fabrykacyi parafiny i różnych smarów, których produkcyja bywa nieraz korzystniejsza od nafty, wobec niskich cen ostatniej. W Ameryce *mazutu* owego otrzymują tylko 8% — 10%.

Otrzymaną po dystylacji naftę traktuje się kwasem siarczanym, następnie wodanem sodu, poczem przemywa się ją wodą.

Kwas i alkalia pozbawiają naftę zanieczyszcza-

jących ją swą obecnością i zapachem związków tlenu i siarki.

Zastosowanie pierwszego z pomienionych produktów dystalacji poprzedzających naftę (benzyny), powszechnie jest znane. Drugi, t. j. spirytus naftowy, używany bywa nieraz zamiast terpentyny do fabrykacji lakierów; wchodzi też w użycie zamiast siarku węgla do wyciągania olejów z nasion roślinnych; jest on lepszy od siarku węgla, bo nie pozostawia śladów siarki, nie jest trucizną, nie ma przykrego zapachu i nie działa szkodliwie na robotników.

Odpadki procesu dystalacji, te cięższe składniki ropy naftowej, dają bardzo dobre smary, które, zawierając tylko węgiel i wodór, oczywiście nie psują się, nie wytwarzają kwasów i innych substancyj, szkodliwie działających na smarowane części maszyn i wozów.

Przy dystalacji odpadków, czyli *mazutu*, następują procesy rozkładowe i powtórnie wydziela się benzyna i nafta (razem do 20⁰/₀); oprócz tego otrzymuje 6—10⁰/₀ parafiny.

Odpadków naftowych zaczynają coraz bardziej używać w charakterze materiału opałowego; obecnie opalają nimi lokomotywy na wielu rosyjskich drogach żelaznych, parostatki na morzach Czarnem i Kaspijskiem, Woldze i t. d.

Wytwarzany z mazutu olej solarowy używany bywa do opalania mieszkań i kominów kuchennych. Chociaż w ostatniem zastosowaniu tymczasem chroma jeszcze strona techniczna, w każdym jednak razie ulepszenie specjalnie urządzonych i do materiału przystosowanych pieców jest tylko kwestyą czasu i wkrótce go się można spodziewać.

Oprócz rafinerij nafty, w „Czarnem mieście” są też liczne fabryki, przetwarzające produkty, otrzymywane przy dystalacji ropy. Najważniejsze są fabryki kwasu siarczanego, przerabiające siarkę sycy-

lijską lub też kwas, raz już użyty do czyszczenia ropy; regenerowany kwas jest ciemny, ale do użytku zupełnie wystarcza. Istnieje również wielki zakład do otrzymywania sody gryzącej z alkalicznych odpadków dystylacji.

* * *

Historia przemysłu naftowego na Kaukazie bardzo niedawnych sięga czasów. Chociaż już w roku 1821 państwo zwróciło uwagę na to źródło dochodów i oddało ziemie półwyspu Apszerońskiego w dzierżawę osobom prywatnym, które eksploatowały je sposobami pierwotnymi, kopiąc doły i wywożąc nieznaczne ilości brudnej i zgęszczonej ropy, jednak eksploatacyi ówczesnej trudno dawać nazwę przemysłu.

Dzierżawca zobowiązywał się sprzedawać naftę po cenie, przez rząd ustanowionej, i korzystał z praw monopolisty. Przy takim uciążliwym systemie eksploatacyi nie można było myśleć o szybkim rozwoju przemysłu naftowego, ile, że najzupełniejszy brak wszelkich środków komunikacyi warunki jego bytu jeszcze znacznie utrudniał. W owym okresie czasu państwo otrzymywało z nafty zaledwie 75 do 150 tysięcy rubli rocznego dochodu, a produkcya roczna wahała się w granicach od 200 do 500 tysięcy pudów.

Dopiero w końcu szóstego dziesięciolecia założono tu pierwszą rafinerję. Materiału było bardzo mało, ceny były nadzwyczaj wysokie, przeto nafta nie rozchodziła się po odleglejszych rynkach.

Główną przeszkodą był system dzierżawy placów: nikt nie chciał wkładać kapitału do ziemi, z której korzystanie było mu tylko na parę lat zapewnione — i przemysł bardzo powoli wykluwał się z pierwotnego stadium rozwoju.

W r. 1865 założono pierwszy otwór [świdro-

wy ¹⁾ i w tymże roku produkcya wzrosła odrazu do miliona pudów.

Była to zorza lepszej przyszłości.

Wkrótce bowiem, w roku 1873 skasowano system dzierżawny. Grunty naftodajne podzielono na parcele po 10 dziesięcin i rozprzedano w przeciągu czterodniowej licytacji za sumę 3 milionów rubli. Jednocześnie ustanowiono znaczną akcyzę od nafty.

Produkcya wzrosła wtrójnasób; odrazu powstało do 100 rafinerij i do 25 otworów świdrowych, z których w jednym uderzyła fontanna. Cena ropy znacznie spadła; wywołało to gorączkę w przemyśle przetwórczym: rafinerje, korzystając z taniości materiału, wytworzyły wielkie ilości nafty—i wszystko to wywołało ostateczny kryzys.

Zaczęto wówczas krzycheć na ciężką akcyzę, na krępujące taryfy i na brak opieki państwowej. W Petersburgu utworzono specjalną komisję, która dla zbadania spraw naftowych wysłała dwu delegatów: jednego do Baku, a drugiego, prof. Mendelejewa, do Ameryki północnej.

Ostatecznie postanowiono znieść akcyzę. Tymczasem rozmiary produkcji wzrastały coraz bardziej: następująca tablica daje nam pojęcie o jej rozwoju;

w roku	otrzymano	$1\frac{3}{4}$	milion. pudów ropy		
1870	"	2	"	"	"
" 1872	"	3	"	"	"
" 1873	"	5	"	"	"
" 1874	"	6	"	"	"
" 1875	"	7	"	"	"
" 1876	"	12	"	"	"
" 1877	"	14	"	"	"
" 1878	"	22	"	"	"
" 1879	"	25	"	"	"

¹⁾ Pierwszy na myśl dobywania nafty drogą otworów świdrowych wpadł Amerykanin Bissel w roku 1856. W roku 1859 Drake pierwszy wybudował w Pensylwanii wieżę wiertniczą i opuszczać zaczął rury do otworów świdrowych.

W roku	otrzymano	31	milion. pudów ropy		
"	1880	"	41	"	"
"	1881	"	51	"	"
"	1882	"	60	"	"
"	1883	"	90	"	"
"	1884	"	116	"	"
"	1885	"	145	"	"
"	1886	"	166	"	"
"	1887	"	194	"	"
"	1888	"	207	"	"
"	1889	"	241	"	"
"	1890	"	291	"	"
"	1891	"	302	"	"
"	1892	"	340	"	"
"	1893	"	304 (?)	"	"
"	1894	"	377	"	"
"	1895	"		"	"

W roku 1895 ilość ropy, otrzymanej na Kaukazie, po raz pierwszy przewyższyła produkcję amerykańską. Jest to wszakże tylko zwycięstwo ilościowe.

Nie można się nie zgodzić, że i pod innymi względami postęp jest tu znaczny, technika została znacznie ulepszona i rynki rozszerzone; ale zawsze niema tu tego ducha prawdziwie przedsiębiorczego, niema tej umiejętności prowadzenia wielkich interesów, w której celują Amerykanie. Dlatego też Ameryka niekiedy konkuruje jeszcze tam, gdzie przemysł bakiński mógłby zająć rynek ze znacznie większą łatwością.

Ważną podporą przemysłu bakińskiego jest usilna opieka skarbu, wszelkiego rodzaju udogodnienia celne i taryfowe, pomoc rządowej kolei żelaznej Zakaukaskiej, stała instytucja dorocznych zjazdów i syndykatu przemysłowców naftowych.

Czy i kiedy Ameryka da się zwyciężyć—trudno przesądzać. Jeśli się tam wyczerpią zapasy nafty, wówczas niewyczerpane fontanny bakińskie skierują się na zachód, gdzie już może tymczasem... elektryczność zajaśnieje w całej pełni...

W krainie wiecznych ogni.

Zbliżamy się do Surachan.

Dzień pochmurny, dość chłodny, wietrzny. Słońce już zaszło, w wagonie świec nie zapalono, panuje przeto zmrok łagodny; pasażerów bardzo mało; słychać tylko miarowy stuk pociągu, i wicher czasem zawyje.

Wszystko to usposabia do dumań.

Przypominam sobie podobne dni jesienne w kraju ojczystym, takież zmrok, takież chłód wieczorny.

Gdy widzę dzień pogodny, jasny blask słońca, czysty błękit nieba południowego, odbijający się w lazurowej powierzchni morza, napawam się widokiem natury i nie myślę tyle o dalekiej, w mgły zachodnie i śniegi północne spowitej krainie.

Obecnie stoją mi przed oczyma chwile, kiedym z uniwersytetu jechał nieraz w takimże wagonie, o tej porze do domu rodzinnego.

Patrząc z okna wagonu na smutny krajobraz jesienny, na ogolone z liści drzewa, szare wioski i ciemne pola zoranej ziemi, odczuwałem kontrast z ruchliwą, pełną życia i ludzi Warszawą — i tęskniłem za nią. Cobym był powiedział wówczas, gdyby mnie przeniesiono do tych przestrzeni pustych, niezamieszkałych, jałowych, gdzie zamiast wiosek i ludu pocziwego, zielsko tylko kolące się pleni na pokarm dla zgłodniałych wielbłądów.

Jestem obecnie w Azji, krainie świętej, stanowiącej od wieków miejsce pielgrzymek dla ludów dalekiego Wschodu — Persów, Irańczyków, Indusów.

Puszczam wodze wyobraźni i buduję obrazy z zamierzchłej, ginącej w pomroce dziejów przeszłości: widzę długie karawany, postaci milczące, kołyszące się na grzbietach pocziwych wielbłądów, niby

na powierzchni rozbijającej fali morskiej, widzę twarze natchnione wiarą, przenikające wzrokiem przestrzeń i zdaleka szukające blasku ogni świętych, wiecznych, niegasnących.

Dla tego widoku, do świątyni je ochraniającej, dążą tysiące wiorst z krańców świata, przez góry niebotyczne, bagna, lasy nieprzebyte i stepy niezmięzione...

I ja za chwilę mam stąpać po tej ziemi, zroszonej łzami płaczących z ekstazy religijnej czcicieli ognia, mam oglądać mury ich świątyni, obecnie pustej i opuszczonej.

W zmroku wieczornym widać już błyszczące zdaleka w wielu miejscach wielkie żółte ogniska.

Im się bardziej zbliżamy, tem ich więcej i wyraźniej występuje.

Oto i Surachany. Mała, pusta stacya.

Wysiadamy. Na peronie spotyka nas znajomy pan X. i prowadzi do siebie...

* * *

Wieś Surachany znajduje się w północno-wschodniej części półwyspu Apszerońskiego, w odległości 14 wiorst od Baku.

Kraj ten oddawna zamieszkiwali Gwebrowie, czciciele ognia (po persku—*atesz perust*), potomkowie starożytnych Persów. Od najdawniejszych czasów cieszył się on spokojem.

Wielki Cyrus walczył ze Scytami tylko na wschodnim brzegu morza Kaspijskiego, Daryusz—na północnym.

Półwysep Apszeroński, stanowiący jeden z punktów wielkiej drogi handlowej z Azyi do Kolchidy i Europy, omijali wielcy zdobywcy świata starożytnego.

Aleksander Macedoński nigdy tu nie był, choć imię jego często spotyka się w tutejszych legendach i podaniach.

Pompejusz dotarł do tych miejscowości, lecz nie spustoszył kraju, gdyż Persowie zdążyli skłonić go do zawarcia pokoju.

Prześladowania rozpoczęły się dopiero od czasu rozpowszechnienia Islamu.

Straszny Tamerlan postanowił wytępić czcicieli ognia, którzy też zaczęli znikać szybko, ginąc na miejscu, lub uciekając do Indyi, gdzie mieszkają dotąd, stanowiąc odosobnioną grupę.

Po śmierci Tamerlana tysiące pielgrzymów zaczęły spuszczać się z gór wschodnich i przez stepy dążyć ostrożnie ku ogniom świętym w okolicy Baku.

W wieku XVII znów zaczął ich prześladować szach perski Abbas, znany ze swej dzikości i okrucieństwa, postrach dla narodów zakaukaskich i innych, zachodnią Azyę zamieszkujących.

Gwebrowie czczą ciała niebieskie i ogień. Oprócz tego uznają Istotę wyższą, która wszystko stworzyła i wszystkiem rządzi. W ciałach niebieskich i ogniu widzą ożywczą siłę bóstwa, które w nich się bezpośrednio wyraża. Dlatego też czczą ogień i starają się utrzymywać płomień niegasnący w świątyniach, a nawet domach prywatnych.

Gwebrowie wierzą w życie przyszłe. Wielożeństwo jest u nich wzbronione. Umarłych nie grzebią, ani palą, lecz wprost rzucają w miejsca ogrodzone na pożarcie ptactwu drapieżnemu, uważając pilnie, żeby do cmentarzysk tych nie dostawały się inne zwierzęta.

Kto miał mniej grzechów, tego ciało prędzej zostaje pożarte. Oczyszczone w ten sposób i wysuszone żarem słońca szkielety składają w innem miejscu, pilnując, żeby kości kobiet nie mieszały się z kośćmi mężczyzn.

Rok swój dzielą Gwebrowie na 12 miesięcy, po 30 dni każdy, z wyjątkiem ostatniego, który zawiera 35 dni.

Co 120 lat jest jeden rok przestępny, mający oprócz zwyczajnych 12 miesięcy, jeszcze jeden dodatkowy, t. zw. *gaata*.

Świąt (*gumbar*) mają kilka do roku; każde z nich trwa 5 dni. Jedno jest uroczystością na pamiątkę stworzenia nieba, drugie—wody, trzecie—ziemi, roślin i t. d.

Najbardziej uroczysty jest ostatni *gumbar*, trwający pięć ostatnich dni każdego roku—pamiątka stworzenia człowieka.

* * *

W okolicy Baku, w wielu miejscach wydostają się z ziemi gazy palne węglowodorowe.

Nieraz dość jest wetknąć kij do ziemi, aby wytworzyć ujście dla nich; wtedy zapalić je łatwo, a palą się tak wytrwale, że chyba burza z wichrem wielkim i ulewą może je zgasić.

Okolo przylądka Baifowa, stanowiącego zakończenie cypla, który odgranicza z południa zatokę portu bakińskiego, gazy wydzielają się z dna morskiego w takiej ilości, iż bałwaną powierzchnię morza mnóstwem wypływających pęcherzyków.

Jeżeli zmoczyć naftą kawałek szmaty, zapalić ją i rzucić w tem miejscu na wodę, gaz wnet wybuchą płomieniem.

Piękny to i wspaniały widok, szczególnie wieczorem. Pierścień ognisty szerokim kołem otacza łódkę, stanowiąc cudne zjawisko świetlane na ciemnym tle bezbrzeżnej, nieskończonej, niezgłębionej dali morskiej. Wokoło cisza, bo człowiek zachwycony patrzy, nie dzieląc się wrażeniem z towarzyszem; tylko fala wiecznie ruchliwa pluska u burtu łodzi, płomień lekko trzaska i wicher ze szmerem lekkim szarpie jego migające języki.

A gwiazdy blado świecą na zimnym, milczącym niebie...

Na półwyspie Apszerońskim spotykają się też wulkany błotne, t. zw. „salsy,” mające postać niewielkich stożków.

Kratery ich zapełnione są jakimś szlamem, zawierającym naftę i wciąż burzącym się od wychodzących gazów.

Nieraz gazy się zapalają, wyrzucając kłęby dymu, rozlega się huk podziemny i szlam się wylewa z krateru—to wybuchy tych wulkanów.

* * *

Dlatego też kraj ten, noszący miano Ateszdża, co znaczy po serbsku: „kraina ognia,” uważany jest od wieków za miejscowość świętą u Gwebrów.

Odbywają oni dalekie pielgrzymki, aby pomodlić się przy tych wiecznych ogniach; u siebie z wielkim trudem je podtrzymują w świątyniach, a tu występują one same w najwspanialszej postaci, bo wprost z łona natury, nie wymagając udziału i pomocy człowieka, chyba tylko zabezpieczenia od burzy i wichru.

Elizeusz Réclus w swej „Geografii powszechnej” przypuszcza, czy legenda o Prometeuszu nie jest czasem związana w wyobraźni ludowej z ogniami, zjawiającymi się na wodach i wzgórzach Baku — tembardziej, że podania przykuły Prometeusza do jednej z gór kaukaskich — Chomli. Ciekawych wiele przyczynków do rozwiązania tej kwestyi mogłoby dostarczyć badanie starożytnych legend miejscowych, w których owe ognie, robiące wielkie wrażenie na każdego widza, muszą odgrywać pewną rolę.

W ten sposób otwiera się tu szerokie pole do pracy, bo literatura naukowa zawiera jeszcze bardzo mało materiałów, dotyczących przeszłej i teraźniejszej etnografii tych „wrót Europy”¹⁾, i wogóle pomorze

¹⁾ Na północ od Baku jest nad morzem Kaspijskiem miasto Derbend, co znaczy „wrota wrót”. Koło Derbendu widać do

kaspijskie, tak ciekawe pod wielu względami, bardzo mało jest jeszcze zbadane.

We wsi Surachany, gdzie najobficiej występują gazy palne, znajduje się świątynia czcicieli ognia, zbudowana prawdopodobnie w XVII stuleciu, kiedy Persowie-mahometanie przestali już prześladować i tępić Gwebrów i kiedy wielu kupców indyjskich bywało na dworach chanów bakińskich, derbendzkich i szemachińskich.

Tę właśnie świątynię przyjechaliśmy zwiedzić.

* * *

Po kolacyi, spożytej u p. X. w towarzystwie jego żony, kuzynki—młodej, skromnej, milczącej i rumieniającej się dziewczycy, oraz kilkorga dzieci, postanowiliśmy udać się do świątyni ognia.

Posłano po człowieka, który ma u siebie jej klucze.

— Poznacie zarazem „naszego dziadka” — zwrócił się do nas pan X. — jest to wasz rodak; zobaczycie, ciekawy i oryginalny człowiek.

Po kilku minutach wszedł do pokoju starzec o białych jak śnieg włosach i, choć przygnieciony brzemieniem wielu lat przeżytych, dość czerstwy i krzepki.

Uścisnęliśmy na przywitanie jego trzęsące się dłonie, a gdyśmy się odezwali: „Jak się macie, dziadku?” — uśmiech jakiś rozlał się na pomarszczonej jego twarzy i zaczął patrzeć na nas mętным swym wzrokiem. Przyjemnie mu było, że usłyszał dźwięki mowy rodzinnej, tak rzadko dochodzącej do jego uszu.

Wyszliśmy. Na dworze było już zupełnie ciemno.

dziś szczątki wielkiej ściany derbenckiej, która miała niegdyś bronić przejścia między morzem i kończącym się tu grzbieciem kaukaskim. Ruiny tego muru są mało zbadane. Ciągnie się on daleko w wąwozy górskie, lecz tam nawet kierunku jego podług szczątków dobrze nie wytknięto.

Wprost przed sobą ujrzelśmy trzy wielkie, może parołkciowej długości płomienie, błyszczące w odległości kilkuset kroków.

— Oho, wicher pogasił dwa, tylko trzy się pałą — odezwał się Gabryel Wrzosek (tak się nazywał staruszek) i poszedł naprzód różnym krokiem.

Podążyliśmy za nim.

Trzy te ognie żółtawe, samotne wśród ciemności, rzucające słaby blask na otaczające budynki, tajemniczy jakiś przedstawiały widok, pełen niepojętego uroku, który oczu oderwać nie pozwalał i ciągnął do siebie.

Wyobrażam sobie zabobonnego Gwebra, przejętego strachem i uwielbieniem względem niepojętej, niedoścignionej, a potężnej i przygniatającej natury, jaką cześć bogobojną musi w nim wzbudzać widok zjawiska tak magnetyzującego! I w tej chwili zrozumiałem ómę, ginącą w blasku, ku któremu ją namiętność jakaś dziwna pociąga — zrozumiałem Gwebra, który modli się do blasku tego, widząc w nim wyraz potęgi bóstwa wiecznej i niepojętej!

Tymczasem zbliżyliśmy się do świątyni.

Wrzosek otworzył furtę. Owionęło nas stęchłe powietrze ciemnego korytarzyka. Przeszedłszy przez niego, znaleźliśmy się we wnętrzu świątyni.

Jest to dziedziniec, mający kilkadziesiąt kroków kwadratowych, otoczony ze wszystkich stron murem, do którego przyklepione są wokoło małe celki; każda cela przedstawia komórkę z niskim, płaskim dachem, opatrzonym kilku niewielkimi otworami dla wentylacji światła, oraz z jednym otworem w ścianie, wewnątrz dziedzińca zwróconej, służącym za drzwi wchodowe.

Jedna z cel, znacznie przewyższająca rozmiarami inne, była miejscem wspólnych modlitw wszystkich mieszkańców świątyni.

Znaleźliśmy tu rodzaj ław kamiennych pod ścianami; pod jedną ze ścian wymurowanych było kilka

schodków kamiennych, opatrzonych rurkami do sprowadzania gazu z pod ziemi—był to niby ołtarzyk.

W środku dziedzińca wznosi się wieża, wsparta na czterech słupach murowanych z kamieni i ze wszystkich stron otwarta.

Na dole znajduje się platforma, wyłożona płytami kamiennymi, mająca od 3 — 4 kroków kwadratowych, a w samym jej środku wielki otwór, obecnie już zasypany.

Był to niegdyś dół, z którego buchały masy gazu, dające największe w świątyni, olbrzymie ognisko.

Po schodach kamiennych wchodzi się na górę, t. j. na płaski dach, idący wokół nad celami, bez przerwy, wzdłuż muru, który wznosi się o łokieć może ponad dach i zakończony jest półokrągłymi żebrami.

Z jednej strony stoi tu na górze komin okrągły, mający kilka łokci wysokości i uwieńczony wychodzącym z niego wielkim płomieniem. Na przeciwległej stronie zbudowana jest niewielka wieża o płaskim dachu, na którego czterech rogach stoją znów niewielkie kominy czworograniaste.

Pojedynczy ten płomień przy największym nawet wicherze rzadko kiedy gaśnie, bo komin zakończony jest wązkim otworem, do którego wiatr nie może się dostać.

Cztery kominy wieży gorzej są urządzone: wydobywający się szerszym otworem gaz stawia mniejszy opór, wicher dostaje się do wnętrza i dławi płomień, usiłujący wyrwać się z jego objęć gniotących.

W jednym z boków muru, pod wieżą z czterema kominami, znajduje się duża brama wjazdowa; oprócz tego, na stronie przeciwległej, jest mała furтка. Nadto nic więcej, ani jednego otworu, żadnego okna, ani drzwi w ścianie zewnętrznej świątyni.

Podczas gdyśmy oglądali świątynię, staruszek wlaźł na górę i po drabince wszedł na wieżę, aby

zapalić dwa zgaszone ognie; wyciągnął z za pazuchy butelkę z benzyną i, zmoczywszy w niej kawałki papieru, zapalał i wrzucał do komina, dopóki ogień nie buchnął w górę.

Gdy się stanie na platformie tej wieży, gdzie tuż nad głową wicher rwie i szarpie języki ognia, odrywając i unosząc całe płaty ogniste, czuć na policzkach żar ognia, idącego wprost z pod ziemi, słychać trzask jego i szum wiatru.

Nieraz wicher zakotłuje, powiąże języki ogniste w tej przestrzeni niewielkiej—porwą się wtedy i rozpierchną, znikającemi szybko w powietrzu strzępami, i znów każdy osobno, strzelając prosto do góry, boryka się z usiłującym go zdmuchnąć prądem powietrza.

I dziwnie tak jakoś stać wśród tych szmatów ognistych, nie wiadomo zkąd się biorących, takich łagodnych, powiewnych, eterycznych, pozbawionych dymu i swędu duszącego.

A przez tę zasłonę ruchliwą i poszarpaną prześwieca tem czarniejsze tło nocy, co step szeroki w objęciach swych tuląc, płaszczem go ciemnym okryła.

Gdy się czasem płachty ognia bardziej rozsuna, oko dłużej się na otaczającej ciemności zatrzymuje—i widać wówczas rozsiane na wzgórzach i błyszczące wokoło pierścieniem duże ogniska.

Taką iluminację, zdaniem Gwebrów, natura wdzięczna urządza swemu duchowi, swej sile ożywczej, swej potędze, co wszystko tworzy i życiem wszechświata kieruje!

* * *

Siedzieliśmy na kamieniu w świątyni i słuchaliśmy Wrzoska, który nam opowiadał swoje dzieje.

Ma już sto kilka lat. Na Kaukaz przybył przeszło sześćdziesiąt lat temu. Został tu wzięty do wojska, przyjmował udział w wielu wojnach z narodami

i plemionami kaukazkiemi. Przez kilkanaście lat nie mógł korespondować z rodziną i stracił zupełnie wszelki ślad egzystencji swych krewnych, nic nie wie, co się z nimi dzieje, nie miał od nich, ani o nich żadnej wiadomości.

Po kilkudziesięciu latach pozwolono mu podać się do dymisy — i żyje oto teraz, pobierając kilkadziesiąt kopiejek emerytury miesięcznie.

Rodem jest z Litwy. Opowiadał nam o Napoleonie I, którego przejazdu naocznym był świadkiem. Po polsku mówi już dosyć słabo, ale dziwić się należy, że i tak zupełnie przez tyle lat języka nie zapomniał. Rzeczywiście, dziwną ma pamięć; pamięta doskonale lata swego dzieciństwa i wieku młodzieńczego, wogóle czasy dawne, natomiast zapomina często to, co się działo wczoraj.

Dawne dzieje wryły mu się w pamięć, odcisnęły na zawsze swój obraz, a teraz mózg zineczony nowych obrazów utrwalić już nie może.

Z podziwu wyjść nie mogliśmy, patrząc na tego starca stuletniego, który tyle przeszedł w swem życiu, który przeszło sześćdziesiąt lat przebył zdala od swoich, lecz który mimo to wszystko nie stracił zdrowia i czerstwości ciała, a nawet umysłu. Zdumieni patrzyliśmy, jak, obejmując drżącemi rękoma drabinę, wchodził szybko po szczeblach, jak, stojąc na niej, wyjmował butelkę z benzyną, zapalał papier i rzucał przy pomocy długiego kija do komina, z kąd gaz wychodzi... Słuchaliśmy zdziwieni, kiedy, stanawszy przed nami, recytował i śpiewał piosnki, które śpiewał kiedyś z rówieśnikami hen tam, przy szumie sosen i wierzb.

I płomienie z góry srebrzyły swym blaskiem pochyloną głowę starca, a on, prostując członki, starał się ją podnieść wysoko; jak niegdyś, rękoma gestykulował i echo roznosiło donośny głos jego:

...Dosyć bracia w kącie siedzieć,
Nic nie slyszeć.

Nic nie wiedzieć, —
Zaśpiewajmy...

Dużo i długo nam deklamował i śpiewał. W wielu piosnkach przebija wiara głęboka, wiara w Opatrzność, która nie opuszcza nieszczęśliwych i upośledzonych. I wiara ta, doprawdy, dziwnie uderzająca w ustach tak wyjątkowo nieszczęśliwego człowieka, wiała ze wszystkich słów jego. Nie było w nich śladu rozgoryczenia, tylko pewność i nadzieja.

Wierzy tak mocno może dlatego, że na losie jego, rzeczywiście, niby sprawdza się opieka Opatrzności; samotny, opuszczony żyje ten starzec, jak gołąb biały, w przybytku Gwebrów, żyje prawdziwie, jak ptak Boży...

Po wyjściu z wojska tułał się czas jakiś po Baku, jako woźny, lub szwajcar w różnych instytucjach. Wreszcie dostał się do Surachan; tu dano mu klucze świątyni i powierzono ją jego opiece.

Na tem stanowisku „kustosza świątyni ognia“ nie otrzymuje żadnej pensyi (bo któż ma ją płacić?), korzysta tylko z datków, jakie dostaje od zwiedzających ją gości. I z tego żyje. Skoro tylko pociąg przywiezie turystów, posyłają zaraz po dziadka Gabriela, który biegnie z kluczami, wzięwszy za pazuchę butelkę z benzyną; wchodzi szybko po drabinie, jeżeli wiatr zgasił ogień, a ci, którzy patrzą na niego, czy pomyślą, że na tym szczeblu drabiny, o mur wysoki opartej, stoi starzec stuletni, co z kraju dalekiego pewnie piechotą tu przybył; co tyle walk przeszedł, tyle zniósł w swem życiu długiem!

A zapalić wszystkie ognie musi koniecznie, bo jakże nie pokazać widzowi świątyni w całej okazałości, tej świątyni, której dzieje z dumą opowiada żądnemu wrażeń i wiadomości turyście, którą się szczytowi i opiekuje, niby dzieckiem rodzonym, którą z taką troskliwością chroni od niszczącego wpływu psotników. Z jakim żalem szczerem skarżył się nain, iż w niektórych celach tynk ze ścian opada, iż ustrzedz

się nie może od chłopaków-lobuzów, którzy wbiegają do wnętrza i mury psują, kamienie odrywają.

Wracając, spotkaliśmy panie, oczekujące nas przed domem. Gawędziliśmy długo w noc.

Podochocone winem humory rozlewały się coraz szerzej, a echo niosło z płaskiego dachu domu śpiew chóralny i ginęło w miękkiej atmosferze ciepłej nocy jesiennej.

Gdym się kładł spać, spojrzałem jeszcze raz na tych pięć świecących fantastycznie płomieni i zasypiałem, myśląc o dziadku Gabryelu: czy przypuszczał on, bujając po puszczech litewskich, iż kiedyś na starość będzie, wzorem swoich przodków, strzegł świątyni ognia, że pod murem tej świątyni złoży swe kości sterane, a zamiast szumu brzozy płaczącej, jęczeć nad nim będzie wichur szalony, w spalonej żarem słońca ziemi surachańskiej...

* * *

Kilkadziesiąt lat temu jeszcze mieszkało w świątyni dziesięciu czcicieli ognia. Byli to pielgrzymi z krain dalekich — z Midyi, Pendżabu, Indyi wschodnich.

Wszyscy, będąc już starcami, piechotą przebyli tę podróż wielką i zamieszkali tu, aby w zupełnem odosobnieniu i samotności spędzić ostatnie dni żywota wśród rozmyślań religijnych i wobec świętego żywiołu.

I tak wymierali jeden po drugim, aż wszyscy umarli i pusto teraz w świątyni.

W celach i na dziedzińcu panowała czystość i porządek. Przed drzwiami w każdej celi był mały kominek z płomieniem gazowym, zastawiony najniezbędniejszymi statkami kuchennymi. Pod ścianą leżał materac słomiany i poduszka. U wezglowia palił się płomień niewielki.

„Gdyśmy podeszli — pisze o Gwebrach jeden

<http://rcin.org.pl>

z podróżników ¹⁾ — przyjęli nas w milczeniu, lecz z oznakami zadowolenia i życzliwości... W jednej celi znaleźliśmy starca, prawie umierającego; klęczał pochylony, dotykając głową ziemi i okryty płaszczem; gdy go zdjęto, ujrzeliśmy twarz jego martwą i nieruchomą. W innej znów celi widzieliśmy drugiego ascetę, zupełnie nagiego. Oblepiony był ziemią i między brwiami miał płomień, namalowany henną. Przeżył już w tej celi 25 lat.

„Na pytania, z którymi zwróciliśmy się do niego przez tłumacza, odpowiedział nam po indyjsku: „Z czterech żywiołów najbardziej czczę ziemię; okryłem nią swe ciało, aby ciągle czuć jej dotknięcie; chcę, aby mnie pochowano w położeniu siedzącym. Kto bardziej czci inny żywioł, ten spalony będzie po śmierci i wiatr rozniesie popioły jego... Niektórzy z nas czczą pięć żywiołów, lecz ten piąty jest tylko jakby przewodnikiem do używania tego, co daje życie. Tak np. światło odczuwają zmysły nasze przez oczy, powietrze i pokarm dostają się przez nos i usta; zdolności, dzięki którym odbieramy wrażenia żywiołów, same stanowią żywioł osobny. Właściwie nie jest nim rozum, lecz, jak rzekłem, przewodnik wrażeń, które żywioły na rozum wywierają.”

* * *

Dopiero na drugi dzień rano zaczęliśmy orientować się w położeniu miejscowości. Świątynia znajduje się w obrębie przestrzeni, zajętej przez rafinerię nafty z przyległymi budynkami i opasanej murem kamiennym—zajmując niby z łaski kąt niewielki. Miejsce boga Gwebrow zajął inny bóg, bóg wielki, co błyszczący i brzęczy—i temu bogu wznoszą świątynie potężne, zaćmiewające swym ogromem nikłe budynki bóstw dawnych. *Sic transit gloria mundi!*

¹⁾ Hackstausen: „Transkaukasien.“

W wiorstowej odległości widać rozłożoną na łagodnym stoku wzgórza dużą wieś Surachany. Po drodze mija się owe ognie, co w nocy wokół świeciły. W dzień ledwie dostrzedz można ich słaby blask. Mieszkańcy okoliczni korzystają z tych ogni, wypalając nad nimi wapno.

Okolo wsi ciągną się nędzne grunty orne. Gleba tu marna, zmieszana w nadzwyczajnej obfitości z muszlami morskimi. Półwysep bowiem Apszeroński—to wynurzone dno morza; pod działaniem wody i wpływów atmosferycznych powierzchnia wapniaka rozsypała się, w wielu zaś miejscach spotkać można całe przestrzenie nietkniętego dna morskiego, przedstawiające równą kamienną powierzchnię.

Sama wieś wygląda jak gromadka poustawianych w ciasne szeregi pudełek szczęśliwych. Ruchu niema na wązkich uliczkach, tylko tu i owdzie paru ludzi ładuje worki na kłęzącego przed drzwiami wielbłąda, a koło studni, jedynej i wspólnej dla wsi całej, widać szeregi poobwijanych w „czadry” kobiet, podtrzymujących stojące na ramionach wielkie dzbany gliniane.

Wszystko to, na tle szarej natury i domów wschodnich, przenosi myśl ku znanym w wyobraźni obrazom biblijnym.

* * *

Dziadek Gabryel, ten „ostatni czciciel ognia,” jak go tu nazywają, mieszka w jednym z budynków, należących do rafinerii nafty, gdzie mu pozwolono zajmować pokój obok mieszkań robotników. Izdebkę ma dość obszerną, opatrzoną w niezbędne meble i schludnie utrzymaną.

Gdyśmy weszli, pobiegł ku nam na spotkanie uradowany. Usiedliśmy, a on zaczął opowiadać nam o swoich troskach i kłopotach.

— Ja—mówił swym urywanym głosem—lubię

<http://rcin.org.pl>

czasem wypić wódeczki; jak tylko przyniosę z „duchanu,” to mi wnet te hycle wypiją i nic nie zostawią; to ja teraz już zawsze do pieca chowam i oni znaleźć nie mogą, ha, ha, ha!...

Tak skarżył się nam na sąsiadów. Zdaje się, iż tylko na tym punkcie krzywdzą czasem biednego dziadka. Pytaliśmy go bardzo o to, ale więcej nie narzekał; przeciwnie, nawet pomagają mu w wielu razach, gdy co przynieść trzeba, lub gdy starzec zaniemoże: wtedy i jedzenie mu zgotują, i przyniosą, i nakarmią. Opiekują się nim wszyscy mieszkańcy tej przestrzeni, murami rafinerji objętej.

I tak żyje staruszek spokojnie; jedną ma tylko troskę: mówi nieraz o śmierci i prosi wówczas, aby mu pogrzeb porządny wyprawiono i pochowano, jak się należy—po chrześcijańsku.

O nic więcej się nie troszczy.

Przed oknem izdebki ogroził kawaleczek ziemi i założył ogródek; strzela tam wysoko do góry kępka kukurydzy, a u ziemi zielska trochę się ściele. Ziemia tu nie żyzna, o wodę słodką bardzo trudno, roślinę nie łatwo utrzymać.

Smutno mu było bez widoku tych istot miłych. Niegdyś, tam daleko, patrzył na georginie, słoneczniki i makówki, kiwające wesoło główkami, tyle miał zieleni—i teraz na stepie pustym i nagim kępkę zieloną pod oknem wyhodować musiał.

* * *

O zmroku wracaliśmy do Baku.

Myślałem o tem, ile to ludzi zwichniętych, ile życia złamanego...

W godzinę potem przechodziliśmy już przez ruchliwe, bijące światłem ulice miasta, które po dniu spędzonym wśród szerokiej i spokojnej natury stepu, robiło wrażenie chaotycznej, piekielnej otchłani.

VII.

U zlewu rzek wielkich.

Czerwiec.

Nareszcie, po przewycięzeniu wszelkiego rodzaju przeszkód, mogłem pójść do biura telegrafu i podać depeszę treści następującej: „Do pana *** w Dżewacie. Pojutrze wyjedziemy.”

Dżewat oddalony jest o trzydzieści wiorst od stacyi kolejowej; stacya ta stoi wśród stepu, zdala od siedzib ludzkich, koni tam dostać nie można, więc o dniu przebycia zawczasu trzeba zawiadamiać.

Lato rozgościło się już w Baku na dobre, zapowiadając długie tygodnie suszy, skwaru i uciążenia.

Ludzie uciekali tłumnie pełnymi pociągami i parowcami, pobyt stawał się coraz cięższy, a odprowadzanie i żegnanie, zwłaszcza rodaków, którzy wyjeżdżali na daleki zachód, przejmowało uczuciem wielkiego żalu i ciągłej, ciągłej tęsknoty.

W dzień, a raczej w wieczór wyjazdu, natura, niby mając nas, obdarzyła suchą ziemię Apszerońską świeżym deszczem przelotnym, co na skrzydłach wiatru północnego zawitał. Więc w wieczór dżdżysty dążyłem na kolej przez ciemne ulice i zaułki stolicy państwa nafty, oświetlanej rzęsiście... w dniu pogodne światłem słonecznym.

Na dworcu roilo się od „letników.” Ta kategoria pasażerów wszędzie i zawsze nadaje pociągowi jakieś piętno swoiste: nerwowa bieranina mieszczuchów, co śpiesząc się na łono natury, nie mogą doczekać się chwili ruszenia pociągu i wyladują resztki podnieconej energii na bezcelowe kręcenie się; masa dzieci, świadczących o swej obecności rozlegającym się zewsząd płaczem i krzykami; troskliwe na-

wolywania; zbląkane niańki, które potraciły głowy w tym chaosie i biegają przeważnie kręcąc się na jednym miejscu, razem z dziećmi, trzymającemi się ślad ich sukien; stopy rzeczy przeróżnych, koszyków z wyglądającemi ciekawie szyjkami butelek — tlomoków, zawiniątek, poduszek, kolderek...

Doprawdy, zdaje się, że wszystko to jedzie do Otwocka lub Nowo-Mińska — i ja na chwilę zapominałm o skorpionach, z którymi, według relacyi tubylców i nietubylców, będę się na każdym kroku spotykał tam w stepach, chociaż tak wciąż myślę o nich, jak gdyby który miał lada chwila spaść z pułapu wysokiego nieba...

Dzwonki. Wszystko, co jedzie, tłoczy się do pociągu, reszta skupia się gromadkami na peronie, na którego powierzchni, wylanej woskiem ziemnym, mniej już zatłoczonej i zmoczonej drobnym deszczem, układły się od latarni długie smugi świetlane.

W jasne te przestrzenie wdzierają się od czasu do czasu czarne kontury nóg ludzkich — takie rozmaite, coraz to inne: oto przylegające stopą całą „czewiaki” góralskie, to znow sandały tatarskie, pozbawione napiętków „kosze” perskie, wysoko zadarte nosy wschodnie, szerokie buty północne, modne kamaszki europejskie, to wreszcie opinające nóżkę pantofelki damskie. Tych ostatnich najmniej w tej surowej krainie „bussines'ów“ nafcjarskich, więc rzadko też wzrok odrywał się od smugi świetlanej, aby pójść w ślad za konturami czarnemi i objąć postać całą, o której przejściu świadczyły.

Wreszcie ruszamy.

Gdyśmy minęli ziejące dymem rafinerje nafty i przekroczyli granice półwyspu Apszerońskiego, pierwszy raz od wielu miesięcy poczułem aromat wolnej natury żyjącej, roślin kwitnących, wonny odech ziemi rozbudzonej. Otaczający nas step bezbrzeżny nie wysechł jeszcze zupełnie od żaru słonecznego, jak nagie jałowe przestrzenie skaliste półwy-

spu; przy blasku księżyca znać było zarysy ciemne burzanów i trzcin wysokich, a około rzadkich budynków stacyjnych widać było tu i owdzie nawet niewielkie kępy drzew.

Wszystko to odżyło po deszczu, więc pociąg nurzał się w powodzi przestrzeni, aromatów wilgotnych i matowego od oparów światła księżyca.

O świcie wyrzucił nas pociąg na stacyi i po chwili ruszył dalej, a na spotkanie ku nam wybiegł czapar o ogorzalej, aż bronzowej twarzy, z karabiniem na ramieniu i kindzalem u pasa. Skleciwszy kilka wyrazów tatarskich, zwróciłem się do niego:

— *Ada, at Dżewat war* ¹⁾?

Nic nie odpowiedział, uśmiechnął się tylko radośnie, że na tych natrafił, po których go wysłano, i ruchem wojaka wręczył mi kartkę, z głębokiego zanadru wyciągniętą. Tak, to wyrazy mową naszą do nas skreślone: ...„oddawca niniejszego, Chozrow, będzie wam przewodnikiem...” — Więc idziemy.

I ruszyliśmy w step daleki drogą zatartą, podobną do bruzdy, którą zostawia za sobą statek, prujący spokojną powierzchnię morza.

Za nami na północy kąpały się w blasku wschodzącego słońca przedgórza gór Dagiestanu — niby purpura i fiolet, przesłonięte leciuchnym welonem, wytwarzającym w swych fałdach i załamach grę barw najrozmaitszych; przed nami spokojne niebo zlewało się z równą powierzchnią ziemi gdzieś na nieuchwytej granicy, niby symbol nieskończoności, szyszającej chłodem swym z człowieka, usiłującego zgłębić jej tajniki.

Tuż za stacją step czysty. Gdzienigdzie świeci już spalonymi od słońca plamami, lecz miejsca te giną w burzanach lukrecyi i w kępach wiotkich tamaryszków, obsypanych drobnym kwieciem różowem; słowem, egzotyczna parafraza obrazu poety.

¹⁾ Czy są konie z Dżewatu?

Wpłynąłem na suchego przestwór oceanu
 Wóz nurza się w zieloność i, jak łódka brodzi,
 Śród fali łąk szumiących, śród kwiatów powodzi,
 Omijam koralowe ostrowy burzanu.

Oto widać już na horyzoncie kępy drzew wysokich; tam jest Dżewat—w miejscu, gdzie Kur łączy się z Araksem. Niebawem wkraczamy w teren wiosennego wylewu, który niedawno ustępować zaczął: przebywamy szeroko rozlane kałuże i przestrzenie tłustego mułu rzecznego.

* * *

Dżewat jest to niewielka osada tatarska. Mieszkańcy jego trudnią się drobnym handlem, sprowadzając z Baku na wielbłądach produkty, niezbędne dla wiosek stepowych, i wymieniając je na wełnę i dywany, znajdujące znów zbyt na rynkach miejscowych.

Co czwartek odbywają się tu targi ożywione, lecz — według zwyczaju wschodniego, wyłącznym udziałem mężczyzn znamienne; znajdziesz tu stopy zwykłych materiałów spożywczych, owoce surowe, *kiszmisz*¹⁾, proch, kule, naboje i nieco broni, przedmioty galanterii kobiecej, paciorki i błyszczące kółeczka blaszane, chustki, chusteczki i wstążki, jaskrawe materye jedwabne, oleje wonne i „eliksiry życia”, obuwie, dywany i samodziały wełniane.

Gwarno tu wówczas, pełno ludzi zbrojnych i koni osiodłanych. Lecz dzień szybko mija i Dżewat na cały tydzień przybiera swą postać zwykłą—pusty, smutny jakiś, zalany żarem, spływającym ze słońca, unoszącego się przez dzień długi nad czystym widnokregiem.

Na placu, otoczonym kilkunastu domami, nie

¹⁾ Rodzynki.

widać wówczas istoty żywej, a słońce praży, przesycając powietrze zarażoną miazmatami malaryi wilgocią. Zda się, życia tu niema, niby w osadzie wymarłej; czasem tylko przewlecze się Tatar leniwy od jednego domostwa do drugiego, a ciszę przerywają jedynie kruki i wrony, unoszące się chmarami w zaroślach nadbrzeżnych; lecz wrzaski ich stanowią tylko harmonię, okropną jakąś harmonię z martwością otaczającej natury.

Gdy wyjdiesz nad rzekę, na grube warstwy mułu, popękane od gorąca taflami wielkimi, co chwila zrywa ci się z pod nóg żmija spłoszona i, wijąc się cielskiem wstrętnem, szybko znika w wodzie mętnej; nieraz roją się one nad wodą całemi kłębammi spletanemi, a wśród nich łążą wielkie żółwie—te pokraki zwierzęce. Nad wodą unoszą się śmieżne czaple czubate, a z zarośli dobiega ciągłe krakanie wron i kraków. I dwa te światy: milczący—plazów i gadów, oraz wrzaskliwy—ptactwa drapieżnego, są dostrojone do siebie i całość tworzą tak dziwną, niezwykłą.

Ze strzelbą na ramieniu rad chodziłem po stepie wśród dziwnego otoczenia, patrząc z ostrożnością pod nogi, aby na żmiję nie nastąpić, i podpatrując czaple, poważnie spacerujące nad wodą.

Żar, spływający z mlecznego błękitu, zdawał się topić ciało, a na widnokręgu iskrzyły się okryte wiecznym śniegiem szczyty Dagiestańskie, takie wyraźne i niby blizkie. I rękę się mimowoli do nich wyciąga i dążyć chce w ich stronę, a to tyle wiorst dziesiątków. Wcielenie męczarni Tantalowych.

Gdy kula ognista uładnie się gdzieś w stepie, po martwocie dnia rozpoczyna się to straszne życie nocy tutejszej. Z niewidocznych kryjówek dziennych wylatują komary, uciekasz od nich do izby, której drzwi szczelnie zamknąć musisz przed tarantulami i skorpionami, i w dusznej, wilgotnej atmosferze wy-

czekujesz chwili, kiedy sen zmoży organizm; a wo-koło rozlega się wrzaskliwy koncert milionów owadów.

* * *

Dżewat jest siedzibą komisarza milicyi powiatowej. Nadto znajduje się tu sąd pokoju, biuro sędziego śledczego, oraz mieszka urzędnik państwowego zarządu rybnego, pełniący kontrolę połowu ryb i kawioru, dokonywanego na wielką skalę przez przedsiębiorstwo ormiańskie.

Tyle jest tu „inteligencji”: i wszyscy ci ludzie muszą się wciąż spotykać, muszą patrzeć na siebie, muszą z sobą i wyłącznie z sobą rozmawiać.

Bardziej ciekawy od innych wydał nam się ostatni z wymienionych przedstawicieli „inteligencji” dżewackiej. Był to Gruzin, człowiek już niemłody, inteligentny i kulturalny, a nosił imię bohatera rodzinnej Kolchidy — Jazona; ubolewał on nad losem, zmuszającym go pędzić żywot marny w takim kącie zapadłym, zdala od miejsc rodzinnych, zdala od Tyflisu, od tego ogniska życia umysłowego, którego tętno i tu, przez setki wiorst odczuwa: i to go podtrzymuje, to mu dodaje energii do walki, do pełnienia mozolnych i nad wyraz przykrych obowiązków— dla chleba twardego.

Zżyliśmy się z biednym góralem, wyrwanym z wąwozów rodzinnych i rzuconym w step bezbrzeżny. Często przychodził do nas i gawędziliśmy, kręcąc papierosy i popijając herbatę. On nam opowiadał o swej ojczyźnie uroczej, o swych rodakach, którzy tak mało wiedzą o *Polenuli*¹⁾ dalekich, a myśmy zapełniali luki w jego wiadomościach.

I tak od dalekiej naszej krainy zachodniej przebiegaliśmy do Kolchidy uroczej, i gawędy te dawały ulgę tęsknocie, więc wszyscy byliśmy radzi.

1) Polak — po gruzińsku.

Siadywaliśmy na balkonie, z kąd był widok na duże potężne rzeki kaukazkie, które rozlewały szeroko swe wody mętne, tworząc wiry i pędząc z szybkością wielką. Wolny Kur z wąwozów Gruzji wypływa, a zwinny Araks, zaczynając się pod Araratem, w krainie Ormian, przebiega następnie stepy Tartaryi; i tu zlewają się te rzeki trzech narodów, tworząc potęgę, która drwi z nieudolnych usiłowań, pragnących ją zakuć w ławy i brzegi, i tylko z wolnym przestworzem morza się zlewa.

Bywało w noc ciemną łódź weźmiemy i płyniemy na te fale, walcząc z prądem ich wartkim, aby skorzystać z chwili, kiedy zrywający się po zachodzie słońca wiatr południowy porozbija chmury komarów: odpocząć można i powietrzem świeżem wówczas odetchnąć.

Fala pluska i szumi, a szum ten—to gwar wieków, które życie swe nad rzekami temi przeżyły. Araks opiewa dzieje kolebki ludzkości i w pieśni tej tyle słyhać dźwięków rozmaitych, historyj krwawych i okrzyków radosnych, jęków i hymnów, głosów zwycięstwa, porażki, życia i śmierci... Czasem w stepie szakal zawyje głosem żalonym, za serce chwytającym, niby płacz dziecka, i wrony zbudzone zakraczą chórem wstrętnym w zaroślach nadbrzeżnych...

Razu pewnego, kiedyśmy dopiero co wstali i do śniadania zasiedli, wszedł nasz Gruzin. Siadł przy stole, lecz smutny był i ponury, i, choć zawsze rozmowny, nic nie mówił. Niezwykłe to usposobienie dostrzegliśmy od pierwszej chwili, lecz na zapytania nasze odpowiadał wymijająco, kierując rozmowę na rzeczy obojętne. Dopiero po pewnym czasie sam zaczął:

— Wiecie, ci szelmy z przedsiębiorstwa rybnego dali mi wczoraj znać, że tam na Kurze ma się w nocy odbywać połów ryb zakazany. Całą duszą nienawidzę denuncyantów i każdego bym w przepaść

ze skały strącił.. ale z obowiązku pojechać musiałem; więc natychmiast wsiadłem do łodzi, bo jeszcze trzeba było spory kawał drogi przebyć do miejsca wskazanego. Gdy ciemność nocy zapadła, zwiedziłem wszystkie punkty, o których mówili denuncjanci, i nie znalazłem nigdzie ani śladu połowu...

W miejscu tem przerwał opowiadanie, aby się parę razy dymem papierosa zaciągnąć, a oczy zaczęły mu grać blaskiem dziwnym.

— ...I z niczem wracałem do domu; jechałem z prądem rzeki spokojnie wśród nocy ciemnej, aż w pewnym miejscu rozlegać się zaczęły, jeden za drugim, wystrzały i widziałem płomyki, zapalające się w gąszczach nadbrzeżnych — strzelano do mnie. Nie wiem, o ile wystrzały te były naprawdę we mnie kierowane, może strzelano na strachy, aby mnie steroryzować, ale po powrocie do Dżewatu dowiedziałem się, że to tu właśnie połów ryb urządzono; więc zwrócili się do mnie z fałszywą denuncyacją, aby mnie tam na czas jakiś wyprawić...

Głos mu drżał, gdy to mówił. Zatrzymał się i po chwili znów zaczął.

— Jak mnie to bardzo boli! Nie chodzi mi o strzelanie — jam obyty z widokiem wylotu lufy i z hukiem wystrzałów. Niech sobie wreszcie robią, co im się żywnie podoba, ale pocóż te podle podstępny, pocóż ja mam być ich igraszką!...

Serdecznie współczuliśmy tej duszy prawej. Zrozumieliśmy, ile bólu musiał mu sprawić taki podstęp wyrafinowany, ile upokorzenia doznać musiała harda dusza górala od takiego „wyprowadzenia w pole” przez handlarzów ormiańskich i tatarskich. Już to przygnębienie, w którym się znajdował, świadczyło o tem... Wszakże pierwszy otrzasnął się z zadumy, która nas wszystkich ogarnęła, zerwał się i za kapelusze schwytał:

— Bywajcie zdrowi! Przyszedłem do was, aby

się wygadać... ulżyło mi. Muszę iść, bo dużo spraw mnie czeka...

I wyszedł.

A w uszach mi brzmiało: „jam obyty z widokiem wylotu lufy i z hukiem wystrzałów...” I pomyślałem sobie, że do pocisków złości ludzkiej nigdy nie zdoła się przyzwyczaić najtwardszy bojownik; zawsze będą mu one krwawiły duszę... dopóki tylko choć cząstkę mieć jej będzie...

VIII.

Na granicy perskiej.

Na południe od Dzewatu ciągnie się step Muhański — aż ku wyżynom Persyi, a na wschód — aż do morza Kaspijskiego, a na zachód — pod stopy gór Kaukazu mniejszego.

Kraj to obecnie zupełnie pusty, dróg w nim niema żadnych, a siedziby ludzkie ciągną się tylko sznurami wiosek wzdłuż brzegów Kuru i Araksu.

Straszny to kraj! wnętrza jego nikt nie zna, ale wszyscy, strachem zabobonnym przejęci, opowiadają o tych wielkich przestrzeniach, kropli wody słodkiej pozbawionych, o rojach czyhających na zdobycz skorpionów, pajaków i żmij jadowitych, o skwarach zabójczych, a nawet — o bandach rozbójników, choć tych nigdzie tu nie brak.

Tak wygląda obecnie, na schyłku XIX stulecia, ziemia, o której starożytny geograf Strabon, opisując ją pod nazwą Albanii, mówił, iż jest usiana miastami i poprzerynana drogami, iż mieszkańcy jej zbierają po 2 — 3 żniwa do roku, otrzymując urodzaje, do 50 razy przewyższające ilość, użytą do posiewu.

Kronikarze ormiańscy opowiadają, że Batu-chan

podbiwszy w pierwszej połowie XIII stulecia wschodnią część Kaukazu, rozkazał, aby zebrano mu siłę zbrojną—po jednym żołnierzu z każdych 9 ciu mężczyzn ludności miejscowej; i w ten sposób zebrano 800,000 ludzi. Jeżeli zastosujemy mniej więcej stały stosunek ilości przedstawicieli każdej płci, to się okaże, iż jeden ten kraj musiał mieć wówczas około 16 milionów mieszkańców, gdy obecnie ludność całego Kaukazu wynosi zaledwie 6—7 milionów.

Ongi, setki lat temu, powierzchnia stepu Muhańskiego pokryta była siecią kanałów, któremi rozprowadzano po całym kraju wodę Kuru i Araksu. W ten sposób przestrzenie nader żyznej ziemi, otrzymując wodę słodką, przedstawiały wszelkie warunki dla rozwoju kultury i życia zbiorowisk ludzkich.

Kanały i zbiorniki muhańskie, te imponujące swym ogromem zabytki sztuki inżynieryjnej, zbudowane być musiały za starożytnych mocarstw azyatyckich: Asyryjskiego, Midyjskiego i Perskiego; albowiem wzniesić takie budowle mogła tylko silna wola despoty i zwierzęca bierność uciemżonych niewolników, to, co wznosiło piramidy egipskie i gmachy babilońskie.

Później, gdy się rozpręgły te potęgi, sama pozostawiona sobie bierność nie zdołała podtrzymać budowli i powoli chylić się zaczęły ku upadkowi. Tamerlan w XIV stuleciu odbudował największy z kanałów—Giaur-Archi, razem ze stojącym nad nim miastem Bilgan. Lecz było to tylko podniesienie chwilowe; od czasu najścia Mongołów wschodni Kaukaz stał się areną ciągłych walk, w których ginęły ślady dawnej cywilizacji. Ostatecznie step Muhański spustoszony został podczas najazdu Persów w r. 1797.

* * *

W ten właśnie step ruszyliśmy—wzdłuż brzegu Araksu. Już w odległości kilku kilometrów od Dze-

<http://rcin.org.pl>

watu zaczynamy wchłaniać aromatyczne powietrze stepowe, pozbawione ciężkiej wilgoci i zapachu zgnilizny.

Pod wieczór dojeżdżamy do ukrytej wśród zarośli krzewów tamaryszkowych wioski Mollá-wojzły, gdzie mamy się zatrzymać na nocleg.

Z powodu braku wszelkiego innego materiału budowlanego, chaty są w okolicach tutejszych budowane z trzciny, która porasta rozległe przestrzenie wśród stepów, i z wierzchu pooblepiane błotem. W Mollá-wojzły były one obszerne i budowane porządnie, z widocznym piętnem zamożności: ba, ziemi tu dużo, dużo też koni i bydła, a paść ich jest czem—bez miary.

Około każdej chaty znajduje się osobny budynek, wzniesiony na czterech słupach wysokich, niby olbrzymi gołębnik, o ścianach otwartych, tu i owdzie zlekka trzcina przeplecionych. Jest to letnie mieszkanie; podczas lata skwarne cała rodzina spędza tu noce, zabezpieczając się od komarów, które trzymają się bliżej nad ziemią i unikają przestrzeni przewiewnych: a tu, na wysokości, przewiew wśród ścian otwartych, a w każdym razie przezroczystych, jest znaczny.

Do budynku takiego wprowadził nas też gospodarz, który jeszcze na drodze pod wsią, przypadkowo spotkany, swą gościnność nam ofiarował.

Podłogę wnet wyłożono dywanami i poukładano na nich materace i poduszki, poobszywane w miękkie materye jedwabne o jaskrawych wschodnich deseniach. Następnie przyszedł sam gospodarz i pytał, czy chcemy, aby nam młodego barana na wieczerzę zarznął i *saszlyk* smaczny sporządził, czy też przygotował *pilaw* lub jeszcze co innego.

Wkrótce postawiono na środkowym dywanie wielką misę miedzianą, pełną smacznej potrawy; spożyliśmy ją wyciągnięci na podłodze i schodząc się, niby promienie gwiazdy wielkiej, w ognisku, z któ-

rego buchały kłęby pary i aromaty przypraw korzennych. Po wieczery wniesiono lśniący samowar i małe szklaneczki tatarskie, poustawiane na tacy z jasnym portretem szacha perskiego.

Pokładwszy się na przygotowanych posłaniach, długo w noc gawędziliśmy o tym dziwnym narodzie, który, tak dziki jeszcze, tyle jednakże wniósł komfortu do swego życia. Porównywaliśmy mieszkańca wioski tutejszej z przeciętnym naszym wieśniakiem, mieszkańcem kraju cywilizowanego: jakże dziwną wydaje się u Tatarów tutejszych ta mieszanina barbarzyńskiej dzikości, krwiożerczości, pierwotnych pojęć moralnych, powszechnie praktykowanego zwyczaju zemsty krwawej — z tą, cechującą nawet ludzi „przeciwilizowanych” potrzebą wygod i drobiazgową o nie dbałością.

Tatarzy ci odznaczają się wielkim taktem, potrafią się w każdym przypadku odpowiednio zachować i okazują dużo delikatności, tak uderzającej u tych dzikich natur, a umysł ich, zwykle bierny i ospały, staje się w takich razach rzutki i przebiegły... Czuć tu dawną kulturę, znać ślady tej cywilizacji arabskiej, która dokonywała w swoim czasie cudów wśród światów barbarzyńskich; — w każdym razie to nie jest surowy materiał, z którego można by lepić, co się żywnie spodoba — to bryła zapłodniona, która przybiera kształty, wynikające z jej organizacyi — tylko pod wpływem pewnych i odpowiednich czynników...

Pod nami parskaly przywiązane do słupów wierzchowce, w stepie wyły szakale — po za tem żadne dźwięki nie przerywały ciszy nocnej.

Dla pełności obrazu muhańskiego brakło tylko wrzasków bandy rozbójników, odbijających stada i tabuny — przy akompaniamencie krzyków, przeplatanych częstemi i beładnemi wystrzałami.

O zdarzeniach takich słyszy się często w tych wioskach, rozsianych na brzegu wielkiego i tajemni-

czego w swem wnętrzu stepu — i człowiek, nawet bezpośrednio nie doświadczywszy, przyzwyczajają się do nich. A sprawia to atmosfera tutejsza, dzika i wojownicza, i te opowiadania ciągle o rzeczach podobnych, i obfitość broni, na którą się wciąż patrzy, którą się na wszystkich i przy sobie wciąż widzi.

* * *

Nazajutrz znów mijaliśmy rzadko rozsiane wioski i ścielące się wokół nich niewielkie szmaty pól, zasianych pszenicą, po której zostały tylko ścierniska, świecące wysoko sterczącą grubą słomą.

Zboże ścina się tu u wierzchołków łądyg, aby tylko kłos zebrać; o słomę nikt się nie troszczy, bo jest zupełnie niepotrzebna w gospodarstwie; o chowaniu jej na paszę nie może być mowy, bo jest bezmiar przestrzeni, wiecznie zielonych, na ściółkę też zbierać jej nie potrzeba, bo bydła i koni nikt tu ani w oborach, ani w stajniach nie trzyma, a strzechy szyją się z trzciny, która bujnie zarasta znaczne obszary stepowe.

Smutnie wyglądają te łąny, najeżone słomą wysoką o żółtobiałych sucho i pusto szeleszczących, sztywnych, nie uginających się pod ciężarem pełnych ziarna kłosów i przedstawiających obraz martwoty, świecącej licem blado-żółtem.

Wsie tutejsze nie wszystkie są jednakowe. Oto zdala od Araksu, na tle spalonego stepu, wśród wielkich stert zboża, widać tu i owdzie nędzne siedziby ludzkie w kształcie okrytych czarnymi wojłokami szałasów. Cicho, żadnego dźwięku, żadnej postaci ludzkiej, ani zwierzęcej. Porażony żarem słonecznym, na próżno szukasz chłodu, lecz wokół ani drzewka, ani krzewu, nawet ani ziela, ani trawki, któraby swą zielenią wnieść mogła choć trochę życia.

Jest to typ wsi, często napotykaney we wschodnim Kaukazie, wsi przedstawiającej stadyum przej-

ściowe od życia koczowniczego do osiadłego. Albowiem są tu jeszcze grupy zupełnie koczownicze, co stałych siedlisk nie mają, na lato wędrują w góry, uciekając od upałów i chorób, panujących w nizinach; jesienią zaś, gdy w górach zaczynają się chłody i śniegi, a stepy okrywają się świeżą roślinnością—wówczas znów na dół schodzą.

Powoli jednak koczownicy zaczynają się przyzwyczajać do miejscowości, a pierwszy stopień w przejściu ku życiu osiadłemu tem się odznacza, iż, wędrując z gór na niziny i odwrotnie, w każdym roku też same miejsca zajmują, rozpalając tam swe ogniska, gdzie jeszcze ślady popiołów zeszłorocznych pozostały.

W miejscach takich powstają z biegiem czasu stałe siedziby ludzkie, a sprawy rolnictwa, które zdobywa sobie prawa obywatelstwa na równi z hodowlą bydła, zaczynają przywiązywać wolnego koczownika do miejscowości. Obok nędznego szałasów wznosi się wielka sterta zebranego plonu, a to znów pociąga za sobą tyle nowych kłopotów i zajęć i wymaga już pewnego zagospodarowania się.

I zaabsorbowany nowymi kłopotami nomada tak ogranicza swą wędrowkę, iż już tylko na najgorętszą porę roku wypędza swe stada na zbocza gór dalekich i sam z rodziną razem za nimi podąża. Zreszą, niema po co zostawać na wsi: plony zebrał i w stertę usypał, upały uniemożliwiają wszelką pracę, a długa jesień wystarczy na spełnienie robót niezbędnych. Cała wieś zostawia jedną rodzinę najmity do pilnowania ogólnego dobytku.

Tak opuszczona jest właśnie wieś, przez którą przejeżdżamy. Smutek wieje z każdego kąta tej kolonii wielkich stert zboża w powodzi blasku i żaru słonecznego, iż poganiasz konia, aby prędzej w step wolny wyjechać.

Lecz i tam przestrzenie pokryte spaloną roślinnością. Nie usłyszysz tam radośnego hymnu natu-

ry, rozlegającego się wielu dźwiękami na niwach i łąkach kwiecistych. Ciszę przerywa niekiedy syk żmii, ukrytej w suchych burzanach, lecz dźwięki te nie ożywiają panującej martwoty...

Zbliżamy się znów do rzeki. Oto na brzegu pasie się stado wielbłądów, ohydnych, pomarszczonych, o wypelzłej na wiosnę sierści, po której gdzieś klaki wiszące zostały — rysujących się krzywymi konturami na jasnym tle mlecznych, szeroko rozlanych wiosennych wód Araksu. Dziwny obraz! urokiem oryginalności wzrok do siebie przykuwa.

W wielkiej kałuży, pozostałej po wylewie rzeki, grzebią się olbrzymy kaukazkie — bawoły, o niezgrabnych, szarych cielskach i pocziwych twarzach ludzkich; nurzają się w lubym żywiole, zaledwie głowy z mułu wychylając, a oczy ich wyrażają takie prawdziwe, zupełne zadowolenie, iż budzą zazdrość w nas — spragnionych, zziających, zmęczonych...

Postój robimy we wsi Karà-donły, której nazwa oznacza w przekładzie: „osada szat czarnych.” Jest-to wieś rozległa, leży tuż nad Araksem, w odległości około 10 wiorst od granicy perskiej, i słynie szeroko z wyrobu dywanów, których gust przynosi zaszczyt miejscowym niewiastom.

Pod wieczór przyjechał z placówki pogranicznej Bahrám-Tapá, posłaniec komendanta, który zapraszał nas do siebie na nocleg. Zanim zdążyliśmy się wybrać, zapadł krótki zmrok południowy, a po nim noc czarna.

Droga wiła się wąską wstęgą w step przez trzciny gęste, a tak wysokie, iż jeźdźca na koniu w nich nie widać. Hej, jakże łatwo tu się podkraść, kulę nieomylną wyrzucić i skryć się najlepiej w świecie. „Szukać wiatru w polu” — trudno, a cóż dopiero przemytnika lub rozbójnika w tych trzcinach, murem zwartym rosnących!

Jechaliśmy pod osłoną kilku milicyonerów i 2-ch strzelców straży pogranicznej; wszyscy byli przygo-

towni, trzymając rękę na zamku karabina i świdrując oczami ciemność nocy. Milicyonerzy wjeżdżali od czasu do czasu w gęstwinę przydrożną, oglądając doły, a jeden wciąż jechał w pewnem oddaleniu na przodzie.

I tak dążyliśmy w milczącym skupieniu.

Wysłuchując się w najcichsze głosy nocy, przypominałem sobie zasłyszane kiedykolwiek opowiadania o utarczkach z rozbójnikami — i ściszałem strzelbę w dłoń... Najgorzej z taką kulą, co z trzciny zniecka wypaść może i w pierś ugodzić: zginać pierwszemu, nie strzeliwszy nawet — nie zasłyszeć salwy wystrzałów i żaru utarczki nie doznać!...

Lecz co to? Gdzieś w przestrzeni czarnej mignął blask wystrzału — żołnierze zatrzymują konie i chwytają za ładunki. Nikt ani słowa z ust nie wypuścił, bo czyż trzeba tłómaczyć...

Jakaż cisza zapanowała — przerywana tylko szczękiem odwodzonego zamka strzelby i ciężkim oddechem zmęczonego konia! W chwili takiej zagrają ci wszystkie nerwy i krew tak mocno uderzy, iż slyszysz tętno jej bicia. Czyż nadeszła ta chwila, i straszna, i ciekawa: straszna, bo daje perspektywę pozostania na zawsze wśród stepu, w tej zimnej krainie gorącego klimatu, wśród wichrów dzikich, tak daleko od swoich; lecz z drugiej strony — jaki nastrój ciekawy i jakie ciekawe wrażenia; i bierze ciekawość, jak się to skończy...

Przysłuchujemy się. Cisza. Wystrzał daleki nie pociągnął za sobą innych, ucho przyłożone do ziemi nie rozpoznaje żadnych tętentów, więc ruszamy.

I rychło wylaniają się z ciemności białe mury, podjeżdżamy pod wrota, widać ognie w oknach, psy szczekają; stajemy.

Zasiedliśmy do wieczerzy wśród wesołej gawędy, a gospodarz, rzucony tu ze swemi osiemnastu żołnierzami w sąsiedztwie drugiej takiej placówki,

o dwadzieścia wiorst wzdłuż linii granicznej odległej, aż jaśniał zadowoleniem z tak licznego towarzystwa Europejczyków.

Gdyśmy siedzieli gawędą zajęci, w sieni rozległy się odgłosy powolnych, ciężkich kroków, poczem drzwi się otwarły i na progu pokazał się... młody niedźwiedź. Wybuchnęliśmy śmiechem, który i zdziwienie nasze pokonał — tak zabawnie wyglądała ta figura, w drzwiach stojąca, uśmiechnięta i oglądająca nas pociesznym wzrokiem rozciekawionej baby.

Osobnik ten, pojmany w lasach na górach dalekich i oswojony przez komendanta, jest pociechą wszystkich mieszkańców placówki, skracając im swemi figlami długie godziny nudy i tęsknoty. W nocy wyrusza częstokroć z żołnierzami na warty i nieraz całemi godzinami spokojnie i cierpliwie wyczekuje w ukryciu razem z żołnierzem, czatującym na przemytników.

Dobrze już było nad ranem, gdyśmy się spać układli. Zасыpiając, myślałem o dziwnych zrzędzeniach losu, który cisnął mnie tu, na pogranicze ojczyzny Cyrusów, Daryuszów i Xerxesów...

I pobiegłem myślą do szkół, gdzie się o tych ludziach przeszłości po raz pierwszy dowiedział, do tych chwil, kiedym śnił o ich potędze i o tych walkach, które ją złamały.

* * *

Po obudzeniu się pobiegłem spojrzeć na Persyę. Tuż za bramą ścieżka z koleją kół wozu; droga ta, łącząca komory celne i placówki pograniczne, przedstawia granicę dwu państw sąsiednich. Na stronie perskiej niema żadnej straży i nikt nie pilnuje granicy; tu, co wiorst dwadzieścia, stoi placówka, wysyłająca żołnierzy na linię.

Więc to jest granica — ta wązka droga, udeptana kopytami nóg konskich i nosząca zatarte ślady

kół wozu, który rzadko się na niej pokazuje, rozwoząc placówkom produkty, niezbędne do życia dla ich mieszkańców? Więc droga ta jest linią, której przekroczyć nie wolno? Tam, za drogą, takiż step, jak tu, także trzcina tam rośnie, czerniąc się plamami ciemnymi, w których tonie marna ścieżyna. Oto żółw olbrzymi pełźnie przez „granice” — on tu żadnej różnicy nie czuje; oto widać tam dachy trzcinowe wioski perskiej, zupełnie takie, jak te, któreśmy po drodze mijali; oto ludzie zbierają zboże, zupełnie do tych podobni, których tu widzimy...

Granica w gęstwinę trzcin się wrzyna. Nad głową szeleszczą te trawy-olbrzymy i dzwonią przy powiewie rozkołysanego wiatru stepowego pieśń o dźwiękach metalowych, przerywaną, nierówną, chwilami potęgującą się od raptownego porywu wiatru, pieśń, szamocącą się w zapasach z siłą, która jej rozlew szeroki i wolny tamuje, jednak nieustanną i natarczywą, niby to życie ludzkie, co gaśnie chwilami i znów swą iskrę roznieca, co falą nierówną płynie, a tak ciągną i upartą...

Myślę o żołnierzu-kmiotku, oderwanym od spokojnej pracy na roli i rzuconym w wir tutejszego życia dzikiego, ciągłej walki i ścigania przemytników.

Spokojny rolnik musi się przeistoczyć w nieustrudzonego wilka stepowego, który orientuje się wśród nocy jak przy jasnym świetle słonecznym, i w gąszczach nieprzejrzystych, jak w najbardziej otwartej miejscowości; którego wzrok rozpoznaje kształty konia i człowieka na czarnym tle nocy, słuch podług zasłyszanego dźwięku najsłabszego orientuje się w przestrzeni, organizm nie czuje deszczu i zimna długich nocy jesiennych, jakie przebyć nieraz wypada w oczekiwaniu przemytnika, stokroć przebiegłego, wytrwalszego i przyzwyczajonego do takich przepraw niebezpiecznych, niż jego prześladowca do prześladowania.

Giętka jest natura ludzka...

W odległości paruset kroków od placówki, smutnie świecącej swemi białemi ścianami na szarem tle pustego stepu, widać na wzgórzu kępkę krzewów. Tam są dwie mogiły: jedna młodego chłopca, syna poprzedniego komendanta, druga—żołnierza, poległego w walce z przemytnikami. Obie razem ogrodzone są czarnemi sztachetkami, w których wnętrzu ziół trochę rośnie; ramiona dwu krzyżów drewnianych tułają się u gałęzi młodych drzewek...

* * *

Słońce zniżało się ku zachodowi.

Przesłonięte lekkimi chmurami niebo nadawało naturze jakiś koloryt mglisty, co ciężarem kładzie się na piersi, tamując oddech, niby lkanie głębokie.

Daleko na pokładzie w ziemi perskiej, w ukośnie przedostających się z po za chmur promieniach zachodzącego słońca iskrzyły się śnieżne szczyty gór wysokich; ku stronie północnej w zimnem zabarwieniu bezmiarów stepów rysował się wielki kurhan, tajemniczy, równy, nie tknięty jeszcze motyką ciekawego człowieka.

A z za białych murów wysunął się szereg żołnierzy na koniach; za wrotami rozjechali się w dwie strony i wkrótce zniknęli nam z oczu tam, gdzie poległ brat ich, nad którego mogiłą staliśmy...

Za końmi żołnierzy, przekradając się w burzanych przydrożnych, biegł krokiem pijanym młody niedźwiedź. Komendant spostrzegł go i zawołał głośno; usłyszawszy swe przezwisko, stanął, obejrzał się i, tańcząc się z boku na bok, podbiegł ku nam, łaszcząc się, tuląc do nóg i zębami za obuwie chwytając.

Słońce szybko zniknęło i noc zapadła, gdyśmy powrócili do izby. A tam, w trzcinach, „kmiotkowie” poukładali się już w swych kryjówkach, czatując na przemytników.

Nazajutrz opuściliśmy raniutko progi bahram-

tapińskie. Przeczekawszy w Karà-donły najbardziej skwarne godziny, ruszyliśmy z powrotem ku Dzewatowi.

Konie, podniecone szeroką przestrzenią, rwały się do biegu szybkiego. I sucha, popękana ziemia dudniła od uderzeń kopyt końskich...

IX.

W Ahdaszu.

Wyjeżdżamy z Dzewatu. Gorąco nielitościwe, lecz im dalej od Dzewatu, im dalej od rzek rozlanych, im dalej w step, tem mniej oparów, powietrze mniej duszne i lżej nieco oddychać.

Dzień ma się ku końcowi.

Złocista kula stacza się coraz niżej ku wyraźnej, ostrej linii horyzontu. I teraz, gdy słońce w całej pełni już nie oświetla ziemi, która zaczyna się pograżać w półmroku, jasne niebo jeszcze bardziej uwydatnia równe koło przestrzeni, której środek oko nasze zajmuje. Nawet na morzu nie widać, a raczej nie odczuwa się tak tego koła, jak tu, wśród równego stepu: tam, na morzu, za dużo blasków, wszystko się przelewa i iskrzy i w wiecznym ruchu niema tej powagi i uroczystości.

Więc i na morzu słońce nie zachodzi tak okazałe, jak tutaj.

Tarcza złocista opuszcza się powoli, powoli, coraz staje się ona większa i coraz czarniejszy kres jej drogi dziennej. I złoto przechodzi powoli w amaranthy, w pons, coraz bardziej odbija od błędnącego tła niebios, a gdy się rąbkami w czarność nocy zanurzy, krwią się zalewa i rzuca jeszcze ostatnie blaski krwawe na nasze twarze, i zapada coraz bardziej do głębi, aby się o świcie pokazać w szacie nowej, od-

świeżonej, zapurpurowionej nie krwią, lecz rumieńcem dziewiczości, błyszczącej nie złotem, lecz iskrami wielu, wielu światel, załamujących się w kryształach młodzieńczej rosy poranku...

Zamyśliłem się, patrząc w niknący krąg purpurowy: widziałem ostatni rąbek, ostatni punkt jasny, a gdy i ten znikł, zciemniało mi w oczach od patrzenia długiego na światło, i zdało mi się, że z niem razem zapadł, czułem jakąś wklęsłość wokoło. Gdym przetarł oczy, ujrzałem smugi ponsowe, pomarańczowe, żółte tam, gdzie znikło słońce; lecz powoli zlewały się z kopułą widnokręgu, co je ze wszystkich stron okrywała chłodem — spokojnym i bladym. A gwiazdy zaczęły rzucać spojrzenia szydercze.

Tymczasem dojeżdżamy do stacyi kolejowej.

Do przybycia pociągu pozostaje kilka godzin czasu, przeto rozkładamy się, gdzie kto może: na kanapce, na krzesłach, na stole—i usiłujemy zasnąć. Spać tu spokojnie nie można, bo drzwi stacyi na dwór otwarte, a tam skorpiony i tarantule odbywają swe wycieczki nocne.

Lecz człowiek na nic nie zważa, aby tylko choć trochę wytchnienia dać członkom, od dusznego skwaru całodziennego znużonym.

Próżne jednak wysiłki; powietrze roi się od chmur komarów, więc wiesz się z bólu i z boku na bok przewracasz, a to ustawiczne brzęczenie, niby naigrawania najuragliwsze, tak ci nerwy rozstraja, iż na zamknięcie powiek wysiłków nawet nie wystarczy.

Próbujemy obwijać twarz i ręce chustkami, ale i to nie pomaga, bo i przez płótno do krwi się dostają. Chcesz je wytrwałością pokonać, aby tylko zasnąć, a później niech tam krew piją: walka wszakże kończy się na tem, iż zrywasz się, potem oblany, i porzucasz duszną izbę, aby biegać tam i z powró-

tem na platformie, machając chustką koło twarzy i paląc tytoń bez przerwy.

I tak trzeba było noc całą przechodzić. Koło czwartej dopiero ujrzeliśmy w stepie smugę dymu, a wiatr poranny niósł szum zbliżającego się pociągu.

Wkrótce też wtoczył się przed stację, zabrał nas, jedynych pasażerów, i ruszył dalej na zachód.

Po kilku godzinach jazdy byliśmy na stacji Laki, z kąd dziesięć wiorst dzieliło nas od miasteczka Ahdasza.

Dolina Kuru, ku wschodowi rozlegająca się w stepy niezmierzone, tu już o tyle się zwęża, iż jej granice z obu stron okiem objąć można.

Od stacji jedziemy stepem, na którym słońce nie zdołało spalić roślinności, bo kraj tu bardziej zaludniony i kulturalny, pokryty siecią kanałów irygacyjnych, zabierających wodę rzekom i strumykiem, w dół ku Kurowi ściekającym.

Oddając swą zawartość obficie rozgałęziającym się kanałom, te potoki górskie same już nie dochodzą do Kuru; okazałe w swej części górnej, powoli zmniejszają się z biegiem, wreszcie nikną zupełnie i tylko suche łożysko ciągnie się smutnym śladem przeszłości, i życia tylko w porze deszczowej nabiera.

Lecz zato ziemia przesiąka wilgocią, wszędzie, gdzie okiem sięgnąć, ścielą się bujne burzany lukrecyi, której zapach słodki przesyca powietrze, i kępy drzew roslých widoczne są tu i owdzie na widnokręgu.

Jedziemy ku północy.

Hen, nad horyzontem, nad zwartemi gromadami drzew dalekich, nad obłokami porannemi, gdzieś w przestrzeni, niby z powierzchnią planety niezwiązane, błyszczą dziwnym blaskiem różowym śnieżne szczyty gór Dagiestańskich. Bliżej ku nam, już pod wałem obłoków, wznoszą się pierwsze przedgórze o nagich, stromych urwiskach, poszarpanych i potokami wody pożłobionych.

A do gór samych ściele się równa powierzchnia, pełna ciemnej zieleni soczystej i świeżej, iskrząca się brylantami rosy porannej i kołysząca się ciężką, potężną falą, która zdaje się uderzać wprost o wznoszącą się na krańcu ścianę promienną i jasną w blasku słonecznym.

Gdy się zbliżamy do Ahdasza, widać tylko gęstą kępę drzew wielkich, a o sąsiedztwie siedzib ludzkich chyba świadczyć może zwiększona ilość kanałów. Bo całe miasteczko tonie w zieleni ogrodów; w zieleni ogrodu niknie też prawie każdy jego dom poszczególny.

Drobne kanały, toczące mętną wodę, wiją się tu wszędzie, niby gałazki arteryi w tkance organizmu; wciąż je widzisz, musisz przez nie przeskakiwać, lub po kładce przebywać—na ulicy, w ogrodach, na rynku, pod domami, oknami i drzwiami.

Żyzna to ziemia, ale prawdziwie jeszcze dziewicza, bo ludność niewiele nad to wytwarza, co na własne potrzeby jest niezbędne, i nie wie o wielu, wielu bogactwach, w tej ziemi zawartych.

Po ogrodach pełno tu drzew morwowych, zatem hodowla jedwabników zbytnich trudności nie nastęrcza; więc widzisz na bazarach całe stosy kokonów, to żółtych, to znów olśniewającą białością w blasku słonecznym aż oko męczących. Materij jedwabnych wyrabia się na miejscu bardzo mało, na własny użytek, główna zaś masa surowego materiału idzie przez port batumski aż do Marsylii. Obecnie zaczyna się też rozpowszechniać hodowla bawelny¹⁾, której plan-

¹⁾ Pionierem w tym względzie była tu jedna z firm łódzkich; aby zachęcić mieszkańców do hodowli bawelny, starała się ona przez umyślnych agentów darmo rozdawać wśród nich nasiona tej rośliny, jednocześnie kontraktując przyszłe zbiory u tych, którzy się dali namówić do założenia plantacyi. W ten sposób firma stała się panem rynku i przez długi czss trzymała go w swych rękach niepodzielnie. Dopiero z czasem, gdy plantacye

tacye prawie około każde wioski napotkać się już da-
dzą, ile że bez nadzwyczajnych zachodów plony ob-
fite wydają.

Plagą kraju tego są ciężkie malarye i chmary
strasznych komarów, bardzo dające się we znaki przez
kilka letnich miesięcy.

Jest to ziemia nadzwyczaj monotonna: wszędzie
równina, rzadko usiana wioskami, jednakowo tonące-
mi w zieleni gęstych ogrodów morwowych, splecio-
nych pnąciami się lodygami winnemi, i na całej
przeźrzeni zupełnie do siebie podobnemi. Jednolitą
też posiada osiadłą ludność tatarską; wprawdzie, w po-
rze zimowej można napotkać tu i owdzie siedziby górali
dagiestańskich, Lezginów, lecz są to tylko chwilowi
przybysze, uciekający z gór od mrozów i śnieżnych
zamieci na niwy wiecznie zielone.

Tatarzy tutejsi, bardziej niż w innych okolicach
oddaleni od ognisk znaczniejszych, są też bardziej
dzicy, bardziej przewrotni, a może też nawet szla-
chetniejsi, niż w innych okolicach, gdzie mniej prze-
stępstw się napotyka, ale zato więcej zepsucia i wy-
rachowania. Tu pierwotna, czysta „vendetta” żyje
w pełni rozszalałych namiętności, a zabójstw bywa
wskutek tego tak dużo, iż władze śledcze w Ahdaszu

rozpowszechniały się bardziej, zaczęli się też zjawiać i przedsta-
wiciela innych firm.

Pod jesień, kiedy bawełna dojrzewa, okrywając plantacye
śnieżystemi płatkami puchu swych owoców, nastaje gorączka
tranzakcyj kontraktowych.

Każdy z agentów (niektórzy mieszkają stale w Ahdaszu,
inni przyjeżdżają na czas zbliżających się zbiorów) stara się
zawrzeć możliwie dużo umów korzystnych i najbardziej wejść
w drogę swemu konkurentowi; a zabiegi te gorączkowe przypo-
minają niby walkę przedwyborczą dwu stronnictw, zajadłe z so-
bą walczących, ile że wśród tutejszej ludności mało kulturalnej
więcej znaczy w wielu razach agitacya, oraz wpływ tych lub
owych wybitniejszych tubylców, których każda firma stara się
sobie skaptować, aniżeli własny interes, którego zrozumienie przed-
stawia niekiedy znaczne trudności.

otrzymują niekiedy po kilka raportów odnośnych w przeciągu dnia jednego.

Wielce charakterystycznym zjawiskiem jest zależność zabójstw od pór roku: najczęściej bywa ich w maju i pod koniec września. Morderstwa spełniane bywają zazwyczaj z zasadzki, a obfitość gęstych ogrodów, każdą chatę otaczających, ułatwia rozprawę do tego stopnia, iż zastrzelenie człowieka w jasny dzień, wobec licznych świadków, jest rzeczą najłatwiejszą w świecie, bo sprawcy nikt nie odszuka w gęstwinie, kołacemi krzewami przeplecionej.

Więc, gdy z nadejściem maja, zaczyna się budzić życie roślinne, a drzewa i krzewy wnet się swą szarą nieprzejrzystą okryją, zaczynają się rozwiązywania dramatów, podczas zimy nawiązanych; pod koniec zaś września, kiedy liście rychło mają opadnąć, śpieszy się ze spełnieniem „vendetty” ten, kto się przez całe lato ociągał, kto się nie chce na długomiesięczną zwłokę przez czekanie do wiosny narazić.

Kto tu czas jakiś przebędzie, tyle się nasłucha o najrozmaitszych zabójstwach, tyle ofiar naogląda, iż w wyobraźni wspomnienie Ahdasza wiąże mu się z obrazami gąszczy nieprzejrzystych, tylko dla nieomyślnej kuli karabinowej drogę otwierających—i wielu trupów ludzkich... Ale wszystko to nie zbrukane brudną żądzą zysku materyalnego — to owoc kwiatu kultury muzułmańskiej — „vendetty.”

Szczególniej wryła mi się w pamięć jedna z zasłyszanych historyj...

* * *

Była niedziela.

Tylko cośmy wstali i siedzieli przy herbacie we dwóch: ja i mój gospodarz, sędzia śledczy **, z którego gościnności korzystałem.

Przez otwarte okna zalewały izbę aromaty ota-

czających dom ogrodów, a słońce, przedzierając się przez gęstą zaslonę liści, rzucało tu i owdzie jasne plamy na podłogę i ściany.

I to słońce, spoglądające na nas ukradkiem, i ta gęstwina drzew, zlekka swą zaslonę uchylająca, i ta ziemia, oddychająca falami aromatów, i ten wiatr, niby chłodny i świeży, lecz chwilami zalewający nas ogrzanem promieniami słońca powietrzem—wszystko to były wysiłki pięknego dnia jesiennego, kiedy natura, niby przeczuwając zanik potęgi swych powabów, kokietuje człowieka, zapowiadając wiele rozkoszy, choćby nawet miały być one ostatnie.

Dlatego też piękne dni jesienne mają tyle powabu. Dlatego też, choć raczej obraz snu, niż budzącego się życia przedstawiają, budzą w nas jednak nieraz oddźwięki pieśni wiosennej, pieśni duszy, rwącej się do życia, do piękna, do przestworzy, do wolności, duszy pełnej i tęsknej, pragnącej rzucić się w objęcia... kwitnącej natury...

Cicho, bardzo cicho było w Ahdaszu; w powietrzu nie rozległy się dzwony świątyni chrześcijańskiej, nie słychać było gwaru świątecznie przyobleczonych i ściągających zewsząd ludzi.

Z gałęzi drzew morwowych zwieszały się w spokoju ciemne grona oplatających je latorośli winnych; krzewy granatowe drzemały, ugięte pod ciężarem ogni-
stych owoców.

Pies szczeknął pod oknem, i na ścieżynie, wprost ku nam wiodącej, ukazał się w gęstwinie człowiek. Był to Handzi-Aga, nukier¹⁾ mego gospodarza, młody Tatar. Szedł, jak zwykle, milczący i spokojny, z ręką opartą o rękojeść kindżału. Przyszedłszy, zaczął coś opowiadać, ale z potoku kwiecistej mowy wschodniej zdołaliśmy trzy tylko wyrazy wyłowić:

— ...*Soná... etuptj... karawán-seráj*²⁾...

¹⁾ Sługa.

²⁾ ...*Sona*... zmarła... w karawan-seraju...

Domyśliliśmy się, o co chodzi. Jakoż nadszedł niebawem sąsiad Ormianin i potwierdził, że istotnie nocy ubiegłej zabito kobietę w karawan-seraju na rynku. Mój gospodarz z obowiązku musiał być tam obecny, więc idziemy.

Droga niedługa: paręset kroków ulicą, zawałoną workami, stosami ryżu, bawelny, jedwabników białych i żółtych, arbami¹⁾ i tłumami ludzi, którzy na targ przybyli z wiosek odległych, pokryta warstwą kurzu, wzbijającego się z pod kopyt końskich i bawolich, i wnet ujrzeliśmy mury wychodzącego na trzy ulice karawan-seraju²⁾. Przed bramą czekają przedstawiciele władz administracyjnych, spotykamy się z powiatowym lekarzem i wchodzimy na dziedziniec, gdzie też pełno blasku słonecznego, kurzu, zgietku ludzi, ryków bawolich, rżenia końskiego, przeraźliwych wrzasków oślich, skrzypu nieznających smaru osi drewnianych.

I wśród tego wszystkiego ma gdzieś być trup ludzki! U nas, w naszym miasteczku, wrażenie spełnionego morderstwa znać byłoby nie tylko na najbliższym dziedzińcu, lecz i na całej ulicy, w całej dzielnicy, w całej mieścinie, a bliżej koło trupa byłoby widać gromadki ludzi, słyhać szepty i opowiadania, przerywane od czasu do czasu głośniejszym lamentem kobiety; a tu... trup na ludzi nie robi wrażenia, stało się i basta!

Wchodzimy po wązkich schodach. Nukier podnosi klapę drzwi, wprawionych w otwór pulapu, jeszcze parę stopni — i jesteśmy w izdebce prostytutki tatarskiej.

¹⁾ Arba—kaukazki wóz dwukołowy.

²⁾ Nazwę tę noszą na wschodzie wielkie domy zajezdne; po miastach mieszczą się w nich też hale sklepowe. Dom, budowany w czworobok, tworzy wewnątrz obszerny dziedziniec, otoczony krytym balkonem, wspartym na arkadach maurytańskich. Na dole są sklepy, stajnie, oberże, na piętrze — mieszkania. Ze wszystkich stron prowadzą bramy wjazdowe.

Boże, co za kontrast! Na dziedzińcu, na ulicy, wszędzie tyle światła, ruchu, wrzawy i krzyku, tyle życia, a tu — ponuro, chłodno, cicho i wilgotnie, tu przybytek śmierci. W kącie leży na podłodze zamordowana mieszkanka izdebki: leży na wznak, ręce i nogi ma rozkrzyżowane, koszulę podgiętą pod pachy, po za tem żadnego ubrania, z wyjątkiem czerwonego staniczka, upiękzonego paciorkami i łańcuchami monet srebrnych. Twarz ma krwią zalaną, kałuże krwi skrzeplej widać też pod głową i szyją na podłodze. Koło trupa leży zboczony krwią nożyk kieszonkowy — narzędzie morderstwa.

W przeciwległym kącie izdebki, pod zakratowanym oknem, stoi tachta ¹⁾ z rozrzuconą pościelą; w drugim kącie pod oknem stół, a na nim lustro, szklanka, wiązanka zwiędłych kwiatów polnych i paląca się jeszcze lampa — świadek dramatu, który odbył się tu przed kilku godzinami.

Gdyśmy mieli wychodzić, jeszcze raz pokój okiem objąłem; lampa rzucała żółte światło na ściany i podłogę, kładąc brudne plamy na zeszpeconą twarz i stężałe członki trupa. Ktoś zdruchnął światło; chwilę było ciemno, a następnie wdarły się przez okienko fale bladego światła; z rurki szkła lampy wyciągnął się do góry sznurek dymu.

Drzwi opieczętowano i zeszedliśmy na dziedziniec, na ulicę, gdzie pełno blasku i dźwięków...

Sprawcę zbrodni, miejscowego Tatarą, ujęto jeszcze w nocy, pijanego, krwią zboczonego. Nic nie pamiętał, do niczego się nie przyznawał i żadnych wyjaśnień udzielić nie mógł, czy nie chciał.

Może go nie chciała przyjąć pijanego, może go w inny sposób rozdrażniła; wszakże, co zaszło w tej izdebce, zapewne pozostanie tajemnicą.

* * *

¹⁾ Nizka sofa wschodnia.

Tegoż dnia spacerowaliśmy wieczorem we dwóch po ogrodzie. Była noc cicha i ciepła, a tak ciemna, zwłaszcza tu, pod gęstem drzew okryciem, iż siebie wzajemnie nawet dojrzeć nie byliśmy w stanie. W chwili, kiedy ktoś z nas zapalił zapalną do papierosa, ujrzeliśmy tłómacza, pełniącego swe czynności przy moim gospodarzu ¹⁾.

Oryginalny to typ tatarskiego Zolzikiewicza; jest cywilizowany, bo pije wino, je wędlinę i trochę rozumie po rosyjsku; ubiera się po kaukazku, nieraz wdziewa wszakże strój europejski, w którym wygląda jak małpa w sukience.

Wiedząc, iż zwykliśmy zazwyczaj w tem gąszczu ogrodowym spędzać wieczory, o ile nie w stepie na koniu, przyszedł nas poszukać. Jakoż znalazłszy, przyłączył się, i zaczął opowiadać zasłyszane na bazarze nowiny, a między innymi nieco szczegółów o zamordowanej ubiegłej nocy kobiecie.

Była to Ormianka z pod przedgórz Dagiestańskich. Gdy miała lat piętnaście, została sprzedana przez brata sąsiadowi Tatarowi. Uczyniono to bez jej wiedzy, bo wprost śpiącą przeniesiono do domu nabywcy. Obudziła się dopiero na łożu tatarskiem obok obcego mężczyzny, lecz w jednej chwili zerwała się, zwinna jak sarna, umknęła do brata, spodziewając się znaleźć tam obronę i opiekę; ten ją jednak z powrotem oddał nabywcy.

Sprawa nabrała wszakże rozgłosu i sprowadziła nawet interwencyę przedstawiciela prowincjonalnej władzy administracyjnej. Opowiadają, jakoby dziewczyna nie zgadzała się na żadne, proponowane przez niego, ustępstwa i kompromisy i w pełni oburzenia obrzuciła go potokiem ostrych wyrzutów, za które wtrącono ją do aresztu w Ahdaszu. Nie wiadomo, jak i co tam było, dość, iż po wyjściu z więzienia

¹⁾ Każdy sędzia śledczy ma na Kaukazie tłómacza, pełniącego zarazem obowiązki pisarza.

kazano jej jakieś koszty zapłacić, że jednak od rodziny pomocy spodziewać się nie mogła, zaproponowano jej rodzaj zarobkowania, dla każdej młodej kobiety dostępny. I pod groźbą powtórnego więzienia musiała się zgodzić, bo inaczej kobieta w kraju tu-tejszym ani grosza nie zarobi!...

I została taką. Zamieszkała w karawan-seraju, zerwała ze swoimi, ubierać się zaczęła po tatarsku i *namazy*¹⁾ wieczorne i poranne czyniła. Znana pod imieniem Sony, uchodziła za Tatarkę. Dług swój już dawno spłaciła, ale cofnąć się było niepodobieństwo i takiej śmierci doczekała się w swej izdebce.

Oto historia duszy kobiecej...

* * *

A wokół noc ciemna i cicha. Gdzieś w otchłani czarnej świeci blaskiem zalane okno, wycięte lukiem maurytańskim i okratowane wzorzystą kratą żelazną. To świat muzułmański, błyszczący złudnym blaskiem wśród czarnej ciemności, taki odrębnie charakterystyczny, kratą spletaną, krzepko wykutą oddzielony.

W oknie widać przesuujące się twarze brodate i pomruk jakiś, czy rozhovor wśród ciszy ztamtąd dochodzi. Może odprawiają modły wieczorne, ostatnie przed udaniem się na spoczynek; zgaszą światło, zasną w ciemności, a gdy się obudzą, dzień już światła będzie i światło słoneczne panować...

I znów chodzimy w milczeniu po ścieżynie ciemnej. Patrząc i oczów oderwać nie mogę od tego okna maurytańskiego, i myślę nad tem, jak ogromnie obcy jest otaczający nas żywioł, ile jest tajemnic w tym szeroko rozlanym świecie...

¹⁾ Modlitwa muzułmańska.

X.

T y f l i s.

Szaro jeszcze było na świecie, kiedy zbudziło mnie gwałtowne stukanie żelaznego młotka u furty.

Wygrzebałem się z pod szczelnie okrywających pościel zasłon, z przezroczystej materyi i, wyjrawszy przez okno, dostrzegłem stojące pod bramą konie; to po mnie zajechano.

Pośpiesznie się przyodziałem, zbudziłem gospodarza, uścisnąłem go i wybiegłem. Po chwili przejeżdżałem już przez kręte uliczki Ahdaszu, dążąc ku stacyi kolejowej Laki, aby dalej na zachód wyruszyć.

Był chłodny, wczesny poranek, nawet świegotem ptactwa jeszcze nie grający.

Powietrze było ogromnie przesycone wilgocią i mdłym zapachem lukrecyi, a wokolo wisiały nad ziemią ciężkie opary, mgły, czy tumany. Wiatr kłębił je i pchał smugą, która legła wpoprzek drogi; a gdyśmy w nią wjechali, zniknęły promienie słońca, co się już przedzierać zaczęły, i wilgoć przeszła odzież i ciało do szpiku kości, wywołując uczucie przemijającego zimna.

Wkrótce siedziałem w wagonie.

Pod działaniem promieni coraz to wyżej wznoszącego się słońca szybko topniały gęste opary, na ziemi iskrzyły się wielkie krople rosy, a przez błękit czystego powietrza widać było ze stron obu, z południa i północy, promienne szczyty gór dalszych i bliższych.

A stawały się one coraz bliższe i wyraźniejsze, im bardziej posuwaliśmy się na zachód.

Na południe przybyliśmy do Jelizawetpola.

Na dworcu rozlegały się dźwięki kapeli wojskowej, żegnającej jakiegoś dowódcę. Przed wagonem, do którego wsiadł odjeżdżający, utworzyło się koło

odprowadzających go wojskowych, a w środku paru junkrów zaczęło tańczyć *lezginkę*, podczas gdy stojący dokoła przyklaskiwali dłońmi, wybijając monotony, miarowy takt tańca.

Jest to taniec ludów kaukaskich. Tancerz przebiera ogromnie szybko nogami i posuwa się, niby płynąc. Gdy tańczy kobieta z mężczyzną, te ruchy zwinne, te spojrzenia przez ramię rzucane, to zbliżanie się i oddalanie od siebie, lub też zwodnicze krążenie w pewnej odległości — wszystko to daje malowniczy obraz gonitwy i wiecznych zabiegów dwu, siłą nieprzepartą dążących ku sobie połów świata zwierzęcego.

Obecnie taniec ten, wykonany przez samych młodzieńców, bił urokiem egzotycznego i junackiego popisu zręczności fizycznej.

Dzień jest skwarny i w wagonach duszno nie do wytrzymania. Pasażerowie ze spokojem prawdziwych synów wschodu leżą powyciągani na ławach, świecą się od potu, sapią, piją wodę z dzbanków glinianych i pochłaniają stopy zieleniny.

Już niedaleko Tyflisu wsiadł na jednej z drobnych stacyj do wagonu muzułmanin w czarnym habicie; na głowie miał fez turecki, owiązany na kształt zawoju grubym sznurem plecionym, a na ramieniu — wielką torbę skórzaną. Twarz jego blada i wynędzniała, jakkolwiek bardzo jeszcze młoda, świeciła blaskiem zapadłych oczu czarnych; cała zaś postać zbiedzona i wielki kij w ręku kazwały się w nim do myślać wędrownego derwisza.

Ciekawy byłem tej postaci niezwyklej i próbowałem wszcząć z derwiszem gawędę. Wszakże zdołałem się tylko dowiedzieć, iż jest synem ziemi Szacha Wielkiego i że jedzie do Tyflisu; więcej porozumieć się z nim nie mogłem.

Na jednym z przystanków wyszedł z wagonu i po chwili powrócił, niosąc w dłoni garstkę zawiąniętych w papier wiśni. Siadłszy na ławie, jeść

rozpoczął i rękę ku mnie wyciągnął, częstując owocem świeżym.

Podziękowałem mu giestem najbardziej wymownym, chcąc i wdzięczność wyrazić i żal szczery, że się z nim porozumieć nie mogę.

I wpatrując się w umykające z przed oczu szmaty ziemi sfalowanej, wsłuchany w dźwięki dochodzącej z sąsiedniego przedziału przeciągłej i żalostnej jakiejś pieśni wschodniej, myślałem nad tem, co chciał przez to ten asceta dziwny wyrazić: czy poczuł do mnie sympatyę? czym go ujął chęcią wszczęcia gawędy, w której domyślił się mego zainteresowania? czy zrozumiał, iż przykrą mi była próba nieudana? czy może uczynił to wprost bez myśli, przez przyzwyczajenie do dzielenia się dobrami doczesnymi z sąsiadem najbliższym?...

Objaw to tem ciekawszy, iż nazwałem mu się *frankiem* ¹⁾, zresztą widział, że obcy...

Gdy tak puściłem wodze dumaniom, przybyliśmy do Tyflisu i mój przyjaciel nieznany, ogromnie nieznany, przepadł w tłumie tubylców... Do mnie dłoń, pełną słodyczy wyciągnął, a do nich pójdzie z duszą otwartą, blaskiem entuzjazmu jaśniejący.

* * *

Razu pewnego mieszkaniac dalekiej wioski muhańskiej z nad Araksu wybrał się w długą podróż do Tyflisu.

Gdy wrócił do domu, sąsiedzi wybiegli na spotkanie, otoczyli go i rozpytywali, co widział w mieście wielkiem, gdzie jest dużo *Urusów* ²⁾. A on im wszystkie swe wrażenia w trzech dźwiękach streścił:

¹⁾ Jest to nazwa powszechnie używana wśród tubylców kaukaskich do oznaczania Europejczyków, czyli ludzi z *Zachodu*. Stosują ją też do Polaków.

²⁾ *Urus*—Rosyanin.

— *Mat'szkà... ok'szkà... drożkà...*

Rzecz oczywista, iż nikt ze słuchaczów wyrazów tych nie pojął, więc musiał im dopiero tłómaczyć. Pierwszy (zmienione *mátuszka*) oznacza północną, chodzącą bez zasłony kobietę; drugi oznacza dziwne otwory w zewnętrznych ścianach domostw; trzeci pojazdy, do których są zaprężone konie.

Każda z tych rzeczy była dla niego nowością. Wprawdzie koni jest dużo, bardzo dużo w... stepie, ale nikt ich nie używa do zaprzęgu, jakkolwiek z drugiej strony, nikt też nie chodzi piechotą.

Piechur jest tu niezwykłą rzadkością: chcąc odwiedzić znajomego, mieszkającego na drugim końcu wsi, Tatar nie idzie piechotą, lecz siada na konia. Nawet ciężary przewozi się na grzbietach końskich w specjalnych workach podwójnych (*hurdzynach*), i tylko zbyt ciężkie ładuje się na dwukołowe *arby*, ciągnięte przez bawoły. Kobieta też jeździ konno, siadając po męzku.

Nic tedy dziwnego, iż tatar mahański dziwił się chodzącym w zaprzęgu koniom, również jak i niezakwesionym kobietom, oraz obfitości okien, na zewnątrz domostwa wychodzących, których w swych wioskach wcale nie widuje.

Jam, choć nie całe życie spędził w ojczyźnie Tatarów, też zdążyłem się odzwyczaić od widoku różnych zdobyczy cywilizacji; lecz jabyłem jeszcze jedną rzecz nazwał, która rzuciła mi się w oczy w części miasta, noszącej nazwę „europejskiej” — mianowicie niezwykłą obfitość chodzących po ulicach... oficerów...

Bo Tyflis przedstawia dwa izolowane światy: część nowa o kilkunastu szerokich ulicach, o trywialnych domach piętrowych i wystawach sklepowych, z ogrodami i skwerami, z restauracjami i ogródkami — i rozległe miasto starożytne, labirynt krętych, wązkich uliczek o niskich, ślepych domach. Zamiast ubiorów t. zw. europejskich, widać tu jedy-

nie *czerkieski* z błyszczącymi ładownicami na pierśsiach, sukmany z wylotami, oraz *archałuchy* ormiańskie i gruzińskie, sfałdowane w pasie kubraki i *czo-chy* tatarskie, płaszcze perskie.

W tłumie mnogim i hałaśliwym nie dostrzeżesz tu kobiety; sklepów dużo, ale wszystkie są zarazem i warsztatami rzemieślniczemi, i mieszkaniami prywatnemi—wprost od ulicy.

Tu i owdzie wznoszą się wielkie halle (*kara-wan seraje*), gdzie napotyka się góry wszelkiego rodzaju towarów—od zapasów żywności, ryb suszonych, kwiatów i wonnych eliksirów—do smoły, skóry, broni, farb, prochu, dywanów kosztownych i materij jedwabnych, a ścisk, wrzawa i powietrze tu tak nieznośne, że trudno przez dłuższą chwilę wytrzymać.

Miejsce restauracyj zajmują znajdujące się w wilgotnych sklepionych piwnicach winiarnie gruzińskie i ormiańskie, oraz herbaciarnie tatarskie i perskie.

Wchodzimy do jednej z tych ostatnich. U wejścia stoi olbrzymi samowar, wyrzucający na ulicę kłęby pary i dymu. Obszerna komnata sklepiona zastawiona jest wokół szerokimi ławami. Obok samowaru widać na stoliku szereg *kaljanów*¹⁾, a na ścianie wisi portret jaskrawy szacha perskiego Nasr-Ed-Dina.

W jednym z tonących w półmroku kątów komnaty śpi „gość” wyciągnięty na ławie: twarz ukrył w wielkiej czapie baraniej (*papachâ*), a czaszka świeci jasnością wygolonej pręgi szerokiej wzdłuż głowy. Zajmujemy miejsca pod jedną ze ścian bocznych i dostajemy w maleńkich szklaneczkach aromatyczną indyjską herbatę; prosimy też o *kaljany* i, wzięwszy do ust zakończenia długich rurek, ciągniemy z powagą, jaka przystoi przybytkowi synów wschodu.

¹⁾ Przyrząd do palenia tytoniu; dym przechodzi w nim przez wodę.

Trzeba się nauczyć palić z takiego przyrządu: z początku tchu brak i dymu z wody wyciągnąć nie możesz, ale gdy go wciągniesz, to ci niby wszystkie atomy ciała przesiąknie—ogromnie odurza.

Tymczasem zaczynają napływać „goście,” układają się na ławach, zdziwieni spoglądają na nas, lecz po chwili wschodnia apatya przemaga, oczy przybierają zwykły wyraz nieruchomego spokoju, ciągną jak my *kaljany* i gawędzą.

Budzi się też śpiący na ławie Tatar, podnosi twarz oblaną potem, brązową, błyszczącą, rozgląda się zmęczonemi oczami błędnymi. Zapewne kazał sobie nasypać do *kaljanu* tytoniu, w opium zmoczonego, odurzył się, wnet legł na ławie i teraz powoli do przytomności powraca. Z początku podparł twarz dłonią, ocierał z niej pot czapą baranią i rozglądał się leniwie z podelba, pomału zaczął poruszać tułowiem, aż wolno, wolno... usadowił się na podgiętych kolanach — po turecku i apatycznie łowił uwijające się wokół muchy; a pełnił czynność tę tak leniwie i niezdarnie, iż sprawiał wrażenie mechanicznego przyrządu...

Wypiliśmy po parę szklaneczek herbaty, w głowie zaczęło się mącić od *kaljanu*, ciężyło gęste powietrze izby.

Wyszliśmy.

Na wąskiej uliczce już cień panował, choć słońce nie prędko jeszcze zejść miało.

A tam w herbaciarni ruch się staje pod wieczór coraz większy, pod wieczór coraz więcej schodzi się „gości,” bo handlarze zamykają swe kramy, rzemieślnicy warsztaty i wszyscy dążą do tych przybytków, gdzie i pogawędzić można i odurzywszy się haszyszem¹⁾, oraz wyciągnąwszy na ławie, snuć wąż-

¹⁾ Sprzedaż opium jest wzbroniona; rozchodzi się on jednak w znacznych ilościach pokryjomu, zwłaszcza w postaci zmoczonego jego esencją tytoniu i cygar. *Hoszhosz* po arabsku znaczy mak.

tek widzeń i obrazów rozkosznych, pograżyć się w stan tak miłego odrętwienia, apatii i znieczulenia.

Długo blakaliśmy się po labiryncie uliczek. Tymczasem ciemność zapadła na dobre.

Oświetlone winiarnie gruzińskie roiły się ludźmi; dolatywały ztamtąd głośnie rozmowy, śmiechy pijane i śpiewy ochryple. Pełno też było w herbarciarniach muzulmańskich, z kąd gwar przytłumiony lub pomruk rozhovorów, a niekiedy monotony, smętny śpiew tatarski dochodził..

Nie wiem już, w jaki sposób znaleźliśmy się na jednym z mostów nad Kurem.

Ze wszystkich stron widać było niby wielkie popielisko, usiane mnóstwem żarzących się węgli i iskier; pod sobą czuliśmy czarną i wilgotną otchłań rzeki, o słuch uderzał przydławiony szum i gwar miasta.

Gdyśmy tak stali, w to popielisko wpatrzeni i w szумы wsluchani, wjechał między nas wóz z turkotem, a człowiek zawodził na nim pieśń gruzińską o królowej Tamarze, bo to imię często się w niej powtarzało; śpiewał pełną piersią i tony pieśni przeciągle odbijały się od toczących się pod nami wartkich nurtów czarnych, padały na to popielisko wokół i ginęły w przytłumionych iskrach rozsianych...

* * *

Tyflis po gruzińsku nazywa się *Tpilis*; wyraz ten zawiera pierwiastek *tep*, służący w wielu językach do oznaczenia pojęcia ciepła. W danym razie nazwę tę usprawiedliwiają znajdujące się tu ciepłe źródła mineralne; odpowiada tedy ona w zupełności słowiańskiej nazwie *Cieplice* (Teplitz).

Ciepłe źródła tyfliskie odkrył wypadkowo na polowaniu król gruziński, Wachtang. Znużony wykapał się w ich wodzie ¹⁾ i kąpiel ta tak ożywczo

¹⁾ Łazienki z naturalną wodą ciepłą są i dotąd w Tyflisie.

nań podziałała, iż postanowił założyć tu miasto, co też rychło w czyn wprowadził.

Było to w VI stuleciu, a w kilka wieków później (1193) inny znów Wachtang przeniósł do tego nowego miasta stolicę Gruzji z Mcchetu.

Nad rzeką widać dotychczas ślady zamku królewskiego: gdzieniegdzie kawałek dawnego muru, tu i owdzie trochę gruzu i tyle. Na przestrzeni dawnego zamczyska wyrosła teraz cała dzielnica uliczek, ciasnych podwórzy, nędznych lepianek kamiennych—wszystko tuli się u resztek potężnych murów warownych.

Do najstarożytniejszych pamiątek historycznych w Tyflisie należy kościół Metechski, oraz katedra Syońska, zbudowana w VI st. przez założyciela miasta, króla Wachtanga. Katedra, wzniesiona w czystym stylu gruzińskim, z ośmiościennymi wieżami gładkimi, zbudowana jest cała z ciosanego kamienia żółtego o czarnych marmurowych prążkach.

W świątyni tej przechowany jest krzyż św. Niny, patronki ziemi gruzińskiej.

Gród tedy stołeczny Gruzinów do bardzo starożytnych należy, tylko pamiątek w nim mało zostało, jak we wszystkich miastach kaukazkich.

Ziemia kaukazka tyle burz najsroźszych przeżyła, tyle nawałnic dziejowych, tak ona krwią zbroczona i kośćmi usiana, iż jej historia, to jedna wielka powieść—ogniem i mieczem...

XI.

Z dziejów literatury gruzińskiej.

Naród gruziński od wieków zamieszkuje część zachodnią ziemi zakaukazkiej, na całej przestrzeni Rionu i górnej części Kuru (Mtkwari). Bardzo wczesnie, bo już w IV stuleciu, przyjął on od Greków

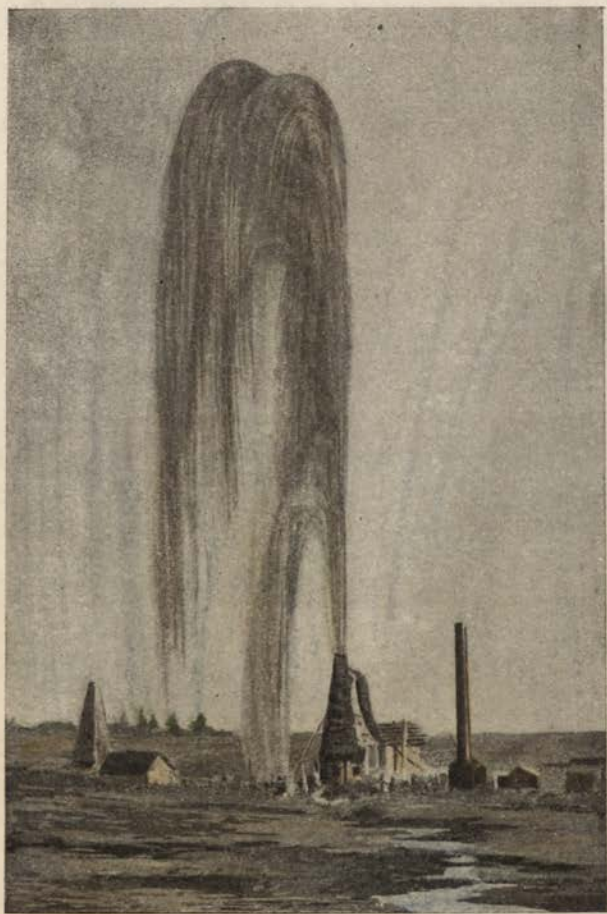


Tatarzy oderbejdzańscy (do rozdz. III).



Widok Tyflisu (do rozdz. X).

Z KSIĘGOZBIORU
Dra WACŁAWA ROSZKOWSKIEGO



Wytrysk nafty na półwyspie Apszerońskim (do rozdz. V).



Markozowskie studnie nafty (do rozdz. V).

Z KSIĘGOZBIORU
Dra WACŁAWA ROSZKOWSKIEGO

wiarę chrześcijańską, do której rozkrzewienia głównie przyczyniła się patronka Gruzji, św. Nina. Z krzyżem złożonym z gałęzi krzewu winnego i związanym własnymi włosami, bez broni przebiegała dzikie wąwozy i lasy dziewicze, zwiedzając wioskę za wioską, głosząc zasady nowej wiary, budując świątynie i sprowadzając księży.

Otoczona ze wschodu i z południa narodami barbarzyńskimi, górami i morzem oddzielona od Europy, Gruzja od czasów niepamiętnych podlegała napadom potęg azyatyckich, a w wiekach średnich szarpali ją po kolei Arabowie, Tatarzy, Persowie i Turcy. Pomimo wszystkiego, naród ten z dziwną wytrwałością zachować potrafił swą religię, narodowość i nawet wyższą kulturę, która zresztą w porównaniu ze współczesną cywilizacją europejską stoi daleko niżej.

W stanie rozkwitu było państwo gruzińskie w okresie 1080—1201, od wstąpienia na tron króla Dawida do śmierci królowej Tamary.

Tamara jest ulubioną bohaterką historycznych podań ludowych; sama na czele hufców walczyła z rozbójniczymi plemionami góralskimi i z zastępami barbarzyńców; zjednoczyła wszystkie ziemie gruzińskie, odparła zaborców; imię jej było postrachem dla wszystkich ludów od morza Czarnego do Kaspijskiego, nie dziw też, iż podania gruzińskie otaczają jej postać aureolą wszelkich zalet moralnych, a jej obecność jest niezbędna w każdym opowiadaniu bohaterstwa.

Ten okres świetności stanowi zarazem *wiek złoty* literatury gruzińskiej. Zwycięstwa Dawida i Tamary zapewniły krajowi błogi spokój; na polach, od dawna odłogiem leżących, wyrosły bujnie sztuki piękne, nauka i literatura, rozwijając się na gruncie miejscowym i korzystając z cywilizacji perskiej, bizantyńskiej i arabskiej, które kolejno wyciskały swe piętna.

Burzliwe czasy ubiegłe, okres długiej niewoli, oraz świeży wzrost potęgi natchnąć musiały poetów do tworzenia poematów, opiewających czyny bohaterów.

Najznakomitszym przedstawicielem gruzińskiej poezji klasycznej jest Szota Rustaweli, autor wielkiej epopei p. t. „Człowiek w skórze tygrysyj” (*Wepchwis Thkaozani*). Jest to najbardziej popularny utwór poetycki w Gruzji, ustępy jego nawet właścianie deklamują na pamięć. Ma on wielkie znaczenie historyczne, odzwierciedlając życie wszystkich sfer społeczeństwa, które brały wówczas udział w życiu politycznym, więc rodziny królewskiej, rycerzy, dworzan, szlachty i mieszczan.

Chociaż autor epopei przenosi opowiadanie do Arabii, ma ona jednak cechy wybitnie narodowe, tak, iż we wszystkich, występujących w niej postaciach można się dopatrzeć osób z ówczesnej historii gruzińskiej.

Oprócz Rustaweli, zachowały się utwory wielu innych poetów wieku złotego, np. epopea „*Dilariani*,” „*Wisramiani*,” —wogóle z końcówką tytułu „ani,” odpowiadającą europejskiej „ada.” W tej epoce powstała też pierwsza kronika gruzińska— „*Kartlisechowrela*.”

Po śmierci Tamary wstąpiła na tron jej córka, rozpuštena Ruzudana. I zaczął się nowy okres historii Gruzji, trwający sześć wieków, w przeciągu których nie milkły okrzyki wojenne, nie gasły pożary, wzniecane rękami wrogów zewnętrznych i wewnętrznych, nie przestawała płynąć krew, w walce z wrogiem i braćmi wylana.

W wieku XV państwo gruzińskie z powodu niezgód i nieporozumień wewnętrznych rozpadło się na trzy królestwa: Kachetyę, Kartalię i Imeretię, oraz następujące księstwa niezależne: Mingrelię, Abchazyę, Góryę i Swanetyę. Był to początek procesu rozkładowego, który doprowadził do zguby potęgę państwową gruzińską. Sąsiedzi tylko czyhali na to.

Wraz z podziałem kraju wojny domowe wzmo-gły się jeszcze bardziej. Tymczasem wrogie potęgi ościenne nie przestawały grozić i napadać. Wobec tego, czując swą niemoc względem wrogów - mahometan i nienawiść względem braci, pojedyncze ziemie gruzińskie zaczęły się zwracać o pomoc do chrześcijańskiej Rosyi, zobowiązując się płacić za nią pewną daninę.

Od wieku XVI zaczyna się już nie peryodyczne, lecz ciągle szarpanie Gruzji: z południa na część zachodnią napadają Turcy, na wschodnią—Persowie, a ze wschodu rabują ją mieszkańcy gór Dagiestańskich—Lezgini.

W końcu wieku XVIII królem Kachety i Kartalinii był Irakliusz, choć waleczny i utalentowany wódz, ale jako administrator państwa—słaby, bez sił i energii, nie zdolny do utrzymania walącej się ruiny.

W kraju była bieda, skarb był pusty, lud jęczał pod brzemieniem podatków i powinności. Ponieważ skarb nie wystarczał na utrzymanie rodziny królewskiej, król odbierał szlachcie odwieczne posiadłości i oddawał swym dzieciom i krewnym; pokrzywdzeni wynagradzali znów swe krzywdy, wyzyskując i rujnując chłopów, którzy nie chcieli służyć macoszemu krajowi i uciekali, przekładając niewolę u obcych nad ucisk i nędzę u swoich. W dodatku każdy członek rodziny królewskiej mógł wydawać t. zw. *baraty* na prawo zabierania chłopu lub kupcowi wszystkiego, co miał najlepszego.

W r. 1798 umarł Irakliusz, a na tron wstąpił syn jego, Jerzy XIII. Widząc, iż po jego śmierci zawrze walka zacięta między jego braćmi, którzy mieli być następcami tronu z zapisu Irakliusza, a synami, którzy będą pretendowali na zasadzie praktykowanego od wieków zwyczaju, i obawiając się, żeby z walki tej nie skorzystali czyhający barbarzyńcy, postanowił kraj swój oddać Rosyi. Cesarz Paweł

przyjął nowych poddanych manifestem z d. 18 grudnia 1800 roku.

W taki sposób z Kachetyi i Kartalinii powstała „gubernia Gruzińska.” Członkom rodziny królewskiej rozkazano opuścić kraj ojczysty i wyjechać do Rosyi, tych zaś, którzy opierali się, wywieziono przymocą.

Najdłużej ze wszystkich krajów gruzińskich zachowała swą niezależność niezdobytą Swanetya, która nie miała żadnych królów, ani książąt, a położona w kotlinie, otoczonej ze wszystkich stron wiecznymi śniegami, tylko wązkim wąwozem rzeki Inguru komunikuje się ze światem. Dlatego też otrzymała na Kaukazie przydomek „wolnej.” Lecz i ją w końcu zgubiły swary i intrygi.

Kutais był miastem stołecznem królestwa Imeretyńskiego. Po oddzieleniu się Imeretyi od innych krajów gruzińskich, wkrótce zawładnęli nią Turcy i panowali prawie trzy wieki, aż do wstąpienia na tron króla Salomona, który w roku 1768, korzystając z wojny, toczącej się między Turcyą a Rosyą, powstał ze swym ludem; aby odebrać zaborcom możliwość utrzymania się w kraju, wysadził w powietrze dużo zamków warownych, a w ich liczbie i fortecę, wzniesioną na górze nad Kutaisem.

Turkom udało się wynaleźć nowych pretendentów do tronu, przez co wytworzyły się w kraju wrogie stronnictwa, a następnie wojna domowa. Intrygi, umiejętnie podsycane, wzmagaly się coraz bardziej; w początku XIX stulecia kraj stracił niezależność polityczną.

.

* * *

Okres upadku potęgi państwowej, był okresem upadku literatury. Ciągłe walki zniszczyły dobrobyt narodowy, upadło rolnictwo i przemysł, znikły szko-

ły i oświata. W płomieniach pożarów ginęły utwory sztuki, nauki i literatury, ginęły gmachy całe, zabytki architektury i pamiątki minionej potęgi, ucichły nawet pieśni ludowe liryczne.

Wiek XIX sprowadził spokój. Był on wprowadzie nabyty za cenę utraty niezależności, ale w dziedzinie wewnętrznego kształtowania się narodu miał wielkie znaczenie.

Powoli i cywilizacja europejska zaczęła się przez szczyty Kaukazu przelewać. Z początku spływało z gór to, co było na powierzchni potoku, piana, szumowiny, cywilizacja zewnętrzna, powierzchowna.

Wyższe sfery społeczeństwa, zawsze pochopne do zabaw, zachwycone oznakami europejskiej kultury i spokojem po tylu wiekach walk ciągłych, nie bacząc na nędzę kraju, bawić się zaczęły. I rozlało się szerokie rozpasanie, jakie tylko wschód zrozumieć może, zaczęły znów rozbrzmiewać dytyramby, śmiechy i chichoty; połały się potoki wina...

Lecz były umysły świeże, wrażliwe, co głębiej pojęły cywilizację, odczuły jej hasła i duszą im się oddały. Ci proteusze otworzyli nowy okres literatury gruzińskiej.

Pierwszy, Aleksander Czawczawadze (1786—1846), choć nastrojał czasami smutno swą lirę, miał w sobie jednak jeszcze dużo z szlachcica gruzińskiego z XVIII stulecia. Poezya jego jest przeważnie erotyczna, nie posiada siły i polotu.

Głębszy od pierwszego był Mikołaj Barataszwili (1816 — 1846), poeta bardzo sympatyczny potęgą uczucia, nieszczęśliwy w życiu prywatnym, wrażliwy na losy ojczyzny. W poezjach swych jest on najprawdziwszym bajronistą, szczerze wylewającym gorycz swej duszy starganej.

W wierszu p. n. „Chwila przebudzenia”, rozgoryczony, przejęty żalem do świata, narzeka na tego „ducha złego”, co mu wiarę dziedziczną odebrał:

„O duchu złego!... ach, powiedz, gdzie podział błogi spokój duszy mojej, dlaczegoś zabił we mnie ślepa i dziedziczną wiarę? Powiedz, gdzie zostały twe czarowne obietnice? Dlaczego czyste myśli moje tak oczarowałeś? Niech będzie dzień przeklęty, kiedy ja z ufnością obietnicom tym wiarę dałem i w ofierze tobie przyniosłem wszystko, co się w czystym sercu mem tailo. Więc precz odemnie, kusicielu, dosyć, dosyć! Gdyż czemże jestem teraz w świecie, pozbawiony wiary? Od uczuć wypróżnionym sercem i jęczącą duszą!... O, biada temu, kogo dotknie ręka twoja!...”

W wierszu „Mój koń” autor daje się unieść wybujałej wyobraźni w postaci konia skrzydlatego:

Ha, rozbił wiatry i przesadź przez skały,
 Leć naprzód, byś skrócił czas, co mnie czeka.
 Nie szczędź sił swoich, jam w bólach wytrzymały,
 Nie wiem, co boleść i radość człowieka!

Koniowi swemu każe unieść się zdala od kraju rodzinnego, zdala od ludzi, tam, „gdzie jęki serdeczne, odgłosy miłości porwie szum morza, by z wichrem przebrzmiały”, aby nikt nie słyszał jego jęków, nikt go nie widział, nikt nie ubolewał nad nim. A gdy umrze w tej wędrówce:

Niech stanie mogiła ma w obcej krainie,
 Niech lzy mej kochanki nie zroszą jej trawy,
 Niech kruk ją wygrzebie, gdzie dzikie pustynie,
 Niech wicher zasypie obłokiem kurzawy.
 Niech zamiast łez lubej szron skropi ją biały,
 Niech żaden z mych krewnych obłudnie nie płacze,
 Gdyż lepiej, że orzeł, król góry i skały,
 Nad moją mogiłą w noc ciemną zakracze!

Trzecim w szeregu przodowników literatury gruzińskiej w pierwszej połowie bieżącego stulecia jest Jerzy Eristawi, poeta, talentem i charakterem wręcz odmienny od poprzedniego. Był człowiekiem bogatym, żył w dostatku i szczęśliwie, nie znał ży-

cia i nigdy się z jego troskami i walkami nie zetknął.

Z początku pisywał wiersze romantyczne, lecz były to utwory nieudolne i banalne, pozbawione szczerości, uczucia i natchnienia.

W r. 1834 za udział w spisku politycznym został Eristawi wysłany do Wilna, gdzie zakochała się w nim „śliczna Litwinka”, o której wspomina w wielu swoich utworach. Następnie mieszkał czas jakiś w Warszawie, gdzie nauczył się polskiego języka i zapoznał się z literaturą polską.

I tu właśnie talent jego skierował się na właściwą drogę; zamiast pisania oryginalnych a nieudolnych poezyj, wziął się do przyswajania literaturze ojczystej arcydzieł obcych, znalazłszy w ten sposób najlepsze pole do rozwinięcia swych zdolności literackich. Eristawi tłómaczył między innymi Mickiewicza: „Sonety krymskie” i wiele drobnych wierszy, Szyllera, Puszkina, Lermontowa, Petrarki. Po powrocie do kraju założył w r. 1852 pierwszy teatr gruziński.

Lecz bajronizm nie miał wówczas w literaturze gruzińskiej podstaw dla siebie. Tyrady o przeżyciu życia, znudzeniu, nadwrażliwości nie znajdowały posłuchu w społeczeństwie; owiane zachwytem, dopiero się bawić się zaczynało, pragnąc uciech życia i otwierającego swe wrota edenu cywilizacyi.

Nie zwracano też uwagi na rozgoryczonego młodzieńca, utyskującego nad swym losem i obojętnością ludzi, która krwawi mu serce i każe ich nienawidzić. Póki były jeszcze resztki pieniędzy, nie chciano słuchać o obowiązkach, o pracy obywatelskiej i szlachetnych tendencyach.

Aby zwrócić społeczeństwo na drogę działalności umysłowej, trzeba było dać silną podporę idealną, silną pobudkę, a nie zniechęcające rozgoryczenie dusz wybranych, wybujałych, przerastających poziom otoczenia.

I zwrócono się instyktownie do przeszłości świętej i bohaterskiej.

Zapoznanie z nią ogółu było bardzo na czasie, było koniecznością, mogło dać wystarczającej sily podniecie i pchnąć umysły na nowe tory. Zrozumiał to Grzegorz Orbeliani, pieśniarz historyczny, czwarty przedstawiciel literatury z pierwszej połowy XIX stulecia.

Tak więc w bieżącym stuleciu wszczyna się nowy ruch w piśmiennictwie gruzińskim. Z początku, w utworach Czawczawadze, zawiera się jeszcze mało haseł nowożytnych—to pierwszy krok; a następnie odbijają się jeden po drugim wszystkie kierunki literatury europejskiej: bajronizm, romantyzm, sentymentalizm; wreszcie rozwija się oryginalna poezya historyczna, społeczeństwo nie chce pogrążyć się w analizie swojskiej terażniejszości.

* * *

W drugiej połowie XIX stulecia zjawiają się nowe talenty, należące do żyjącego obecnie pokolenia.

Są to ludzie, którzy kształcili się w uniwersytetach rosyjskich w 6-m i 7-m lat dziesiątku, w czasach największego ożywienia. Owiani nowym prądem, wracali do ojczyzny pełni zapалу młodzieńczego, rwali się do pracy, nawołując do niej współrodaków.

Wszyscy mają wiele oznak wspólnych: poezye ich odznaczają się silą uczuć, wśród których pierwsze miejsce zajmuje gorąca miłość ojczyzny, a nawoływanie do pracy pozbawione jest zjadliwej satyry, pełne wiary, nadziei i miłości do ludzi.

Do liczby tych poetów należy Akaki Cereteli. Jednym z bardziej charakterystycznych utworów tego poety jest pieśń p. t. „Nie, nie umarła ma kraina.”

Eliasz Czawczawadze jeszcze wyraźniej zakreśla swe ideały i otwarcie wznosi sztandar postępu w imię doskonalenia się ludzkości. Najbardziej znanymi utworami jego są: „Do Aragwy”, „Elegia” i „Do matki—Gruzinki.”

W pierwszym zwraca się do rzeki Aragwy, nad którą leży starożytna stolica Gruzji, Mechet, do świadka dawnej świetności. „Elegia” jest pięknym obrazkiem lirycznym „dolin Gruzji drogiej, śpiących w smętnym blasku księżycowej nocy.”

Najbardziej popularny jest trzeci wiersz—„Do matki Gruzinki.”

O, matko—Gruzinko, w stuleciach przeszłości,
Gruzinka dla kraju swych synów chowała,
Gór grzmoty im były od pierwszej młodości
Tak swojskie, jak pieśni, co matka śpiewała.

Już przeszedł ten czas, gdyż nieszczęścia wiekowe
Tę moc twojej duszy złamały swą siłą,
I dziś, chociaż życie powstało już nowe,
Jak cień stoi syn twój nad przodków mogiłą.

Lecz trudno narzekać na stratę wielkości,
Gdy inna już gwiazda na niebie nam błyszczy,
Dziś mamy pracować dla swojej przyszłości,
I może najśmielsza nadzieja się ziszczy!

Tu, matko—Gruzinko, jest rola dla Ciebie,
Tu siejba twa może plon wydać wspaniały,
Daj synom twym moc, by za kraj i za siebie,
Z nich każdy się trudził i w tem był wytrwały.

O natchnij ich, matko, gorącym miłości,
Braterstwem, równością, poczuciem swobody,
Niech każdy z nich pozna ideał ludzkości,
Niech zwalczać też umie złych losów przeszkody.

Tak, matko, ty czuwaj, jak anioł nad niemi,
Ty ucz ich czić dobro i stronić od złego,
Niech prawda wciąż błyszczy, jak gwiazda przed niemi.
Niech będzie ich droga bez śladu ciemnego.

Przedstawicielem kierunku ludowego w literaturze jest Rafał Erzybski. <http://rcin.org.pl>

W młodości, jak prawie każdy poeta gruziński, tworzył on banalne poezye, opiewające wino i kobiety. Późniejsze utwory biją miłością ojczyzny i duchem rycerskim, jaki potrafił wlać umiejętnie w wiersze, napisane najprostszym językiem, bo językiem ludowym. Odpowiedni dobór tematów i ten styl, oraz język, zrobiły zeń popularnego poetę ludowego.

Najbardziej znanymi z wierszy jego są: „Pieśń z czasów Tamerlana”, „Pieśń z czasów Mahometchana” i „Pieśń Chewsura ¹⁾.”

Najwyżej stoi trzeci z wymienionych utworów. Jeden ze znajomych Gruzinów opowiadał mi, iż słyszał kiedyś samego autora, deklamującego w towarzystwie ten utwór, wówczas jeszcze niedrukowany; pyszny język ludowy i ten ton pieśni, wdzięczny jakiś, wiejący prostotą i szczerością, wywarł nadzwyczajne wrażenie, tak, że wiersz z rękopisu znany był już powszechnie.

* * *

Dziennikarstwo gruzińskie należy do najmłodszych działów piśmiennictwa.

Pierwsze pisma peryodyczne powstały w szóstym dziesięcioleciu, lecz usiłowania pionierów rozbiły się o obojętność ogółu, który nie odczuwał jeszcze potrzeby peryodycznego informowania się o sprawach ogólniejszej natury.

Inteligencję stanowiły wówczas wyższe sfery społeczeństwa; gdy zaś upadły one materyalnie, inteligencja zyskała inny charakter. Dzięki pewnemu zeuropeizowaniu stosunków społecznych, zrodzona po raz drugi prasa peryodyczna znów podniosła gło-

¹⁾ Przytoczona wyżej, na str. 39. Chewsury—jedno z ple-
mion gruzińskich.

wę i, niby wzajemne reagowanie ciał chemicznych, zaczęła przyczyniać się do dalszego cywilizowania Gruzji, demokratyzując społeczeństwo i wysuwając wykształcenie i osobistą zasługę, jako jedyne mierniki wartości i znaczenia człowieka.

Rozwinęło się też życie publiczne. Powstało Towarzystwo Oświaty ludowej, zajmujące się gorliwie wydawaniem książek dla ludu, zakładaniem szkół i t. d. Nadto istnieje towarzystwo, kierujące ruchem wydawniczym wogóle i dbające o zapelnianie luk w literaturze.

Trzecią instytucją o szerszem znaczeniu jest Bank ziemiański. Towarzystwo to, oprócz spraw czysto ekonomicznych, zajmuje się sprawami rolnictwa, jako dziedziny gospodarstwa narodowego, daje zapomogi dla pisma rolniczego, wyznacza fundusz na popieranie teatru gruzińskiego i wydawanie dzieł naukowych.

We wszystkich tych instytucjach biorą żywy udział wybitne siły literackie. Poeta Eliasz Czawczawadze jest prezesem Banku ziemiańskiego, a Akaki Cereteli znany jest jako wybitny mówca, zabierający głos na ogólnych zebraniach towarzystw; powieściopisarz i publicysta Nikoladze wybrany został kilka lat temu na burmistrza w Poti nad morzem Czarnem. Tak oto przedstawiciele literatury służą krajowi w różnych dziedzinach życia narodowego.

Obecnie wychodzą następujące pisma gruzińskie: 1) *Iberja*¹⁾, gazeta codzienna polityczno społeczno-literacka, 2) *Meurne* (Rolnik) — pismo tygodniowe, poświęcone rolnictwu, 3) *Dzędżili* (Łan młodego zboża) dwumiesięcznik dla dzieci, 4) *Moambe* (Goniec) miesięcznik naukowy i literacki, 5) *Kwali* (Ślad)

¹⁾ Dawna nazwa Gruzji, używana przez starożytnych.

tygodnik ilustrowany i 6) dwutygodnik kościelny *Mckemsi*.

Ostatnie lata były dość szczęśliwe dla prasy peryodycznej, obdarzyły bowiem Gruzję nowym miesięcznikiem *Moambe*; oprócz tego zjawilo się kilka nowych talentów literackich i wystąpili nanowo znani pisarze, którzy przez czas długi zachowywali milczenie.

Do takich należą: Ak. Cereteli, El. Czawczawadze, Petriaszwili i Nikoladze.

Petriaszwili, profesor uniwersytetu odeskiego, jeszcze za swych czasów studenckich pisywał obrazki z życia ludu. Nikoladze prowadzi w nowym miesięczniku kronikę wewnętrzną, barwnie pisaną, zdobywa powodzenie i znacznie przyczynia się do ożywienia pisma.

Ogólne to podniesienie prasy złożyło się na zdanie, z zadowoleniem powtarzane przez Gruzinów, iż nadeszły już czasy, kiedy mogą się już jako-tako obejść bez pism cudzoziemskich.

Dramaturgia jest bardzo uboga; przyczyny tego upatrywać należy może w uspsobieniu Gruzinów, zdolnem do gwałtownych uniesień lirycznych i wylewu uczuć, nie odpowiadajacem warunkom spokojnej refleksyi.

Twórcą teatru jest Jerzy Eristawi (1825), który tlómaczył trochę utworów scenicznych i sam pisał komedye rodzajowe; jednak wybitne talenty na tem polu się nie ujawnily.

* * *

Coraz to wybitniejsze miejsce zaczyna zajmować powieść współczesna.

Twórcą powieści jest Eliasz Czawczawadze, którego znamy już jako poetę lirycznego. Powróciwszy z uniwersytetu, pełen zapału i sił nieużytych, wystąpił śmiało do walki z zacofaniem i obskuran-

tyzmem rodaków. Wniósł on nowe hasła i poruszył nieznane dotąd sprawy, prawiąc o konieczności polepszenia bytu ludu wiejskiego; w ten sposób starał się przygotować umysły do reformy uwłaszczającej włościan, która miała wówczas wkrótce być ogłoszona.

Napisał on dwie powieści, ilustrujące stosunki właścicieli ziemskich do włościan. W pierwszej, p. t. „Czy to człowiek?” przedstawia typ obywatela, wiodącego zwierzęcy tryb życia, najzupełniej usprawiedliwiający postawione w tytule pytanie.

W drugiej daje obraz młodego pana, który, chcąc pojąć żonę jednego ze swych oficjalistów, wiernego przyjaciela od lat dziecińczych, stawia mu odpowiednią propozycję, a spotkawszy odmowę, fałszywie oskarża go o usiłowanie zabójstwa i wtrąca go do więzienia.

Wystąpienie takie młodego autora musiało wzbudzić burzę niechęci, a nawet nienawiści; miano mu za złe, iż w zbyt czarnych barwach przedstawia rodaków, zarzucano mu przesadę, rozgoryczenie i krańcowy pesymizm.

Nie zważając na to, Czawczawadze nie zbaczając z wytkniętej drogi, chłoszcząc obskurantyzm i ciskając oszczercom, zamiast obrony, wzniosł idee o postępie ludzkości, a jasne obrazy przyszłości, jakie budował dla kontrastu ze smutną rzeczywistością, były odpowiedzią na zarzuty pesymizmu i zwątpienia.

Na polu powieściopisarstwa odznaczyli się jeszcze Akaki Cereteli, Nikoladze i inni, lecz wszystkich przewyższa talentem zmarły przed kilku laty Aleksander Kazbek (Mocz chubaridze).

Był on poetą, autorem komedyj rodzajowych, nawet dramatów historycznych, lecz najwspanialszym owocem jego talentu są powieści, osnute na tle życia górali.

Tutaj jest on mistrzem niezrównanym, a zło-

żyły się na to wszelkie warunki niezbędne: dokładna znajomość ludu, wysoki talent poetycki, bujna wyobraźnia, obrazowość, język barwny i styl lekki.

Wszystkie utwory jego pełne są uczuć wzniosłych i porywów szlachetnych, lecz wszędzie ciągnie się nić smutku głębokiego i nastroj pesymistyczny, odbijający na tle przesłicznych obrazów górskiej natury.

Dusza to skolatana, stargana przeciwnościami losu, które doprowadziły utalentowanego autora do stanu obłąkania i prawie w młodzieńczym, bo 35 roku życia przerwały to życie, tak drogie dla Gruzji.

Kazbek pierwszy rzucił promień światła w głąb duszy górala, przejrzał jego istotę, odkrył nowy, bogaty świat wewnętrznego życia mieszkańca dzikich gór. Pokazał on, iż góral nie jest rozbójnikiem, żądnym krwi i rabunku, lecz człowiekiem, obdarzonym, jak inni, ogólnie ludzkimi żądzami i uczuciami. Dowiódł, iż w sercu górala wre często walka między namiętnością a poczuciem obowiązku...

Ciepła, serdeczna sympatya autora do bohaterów ogarnia i czytelnika, który śledzi z biciem serca ich los, martwi się i cieszy wespół z nimi. Góry, lasy, tury i psy, strumienie i łąki — wszystko mówi tu językiem własnym.

W powieści *Eliso* maluje Kazbek piękną i rzewną scenę przymusowego wyjścia Czeceńców do Turcji w pierwszej połowie XIX stulecia.

„Na otwartem polu stały półkołem *arby*, pełne sprzętów domowych. W środku rozpalone były ogniska, przy których siedzieli starcy i w milczeniu palili *kaljany*. Twarze ich, owiane smutkiem, dziwnie wyglądały przy migotliwym blasku ognisk.

„Był piękny, ciepły wieczór.

„Ciszę tę, tak rzadką u hałaśliwych górali,

przerywały jedynie przytłumione dźwięki *czanguri*¹⁾ i pieśń smętna, półgłosem przez kogoś nucona. Głos rwał się z głębi serca, które zapalało się ogniem namiętności, paląc swym żarem śpiewaka i słuchaczy.

„Echo niosło pieśń tę daleko, daleko... Na skrzydłach lekkiego tchnienia wiatru podlatywała ona do drzewa każdego, do krzewu, do trawki każdej— i jakby przelewała w nie swe tony palące; drżały bowiem od jej dotknięcia.

„Nastrój żaloszny pieśni cichej szybko wszystkich ogarnął; i zalał równinę chór jęków i skarg ciężkich, męczących. Taki smutek i tęsknota wiały z tej pieśni bez słów, iż najmniej wrażliwa dusza musiałaby współczuć boleści nieukozonej, jaka spadła na głowy tych nieszczęśliwych...

„Była to pieśń łabędzia, pożegnanie umierającego, wieczna rozłąka dzieci z rodzicami, rozstanie syna z ojcem, którego pieśczoć ma być już na zawsze pozbawiony zrzędzeniem okrutnego losu.

„A był to nie wylew uczucia jednostki, lecz smutek ogólny, cierpienie i tęsknota ogólna; rwał się tu niby nerw ogólny, a w każdym jęku była rozpacz całego plemienia...

„Wierni synowie ojczyzny, gotowi ponieść dla niej ofiarę największą; rozstawali się z drogiemi górami i polami. Dla ich obrony niejednen ojciec poświęcił dzieci, żona — męża... I po tylu ofiarach zegnać drogą ziemię rodzinną!...

„— Panie, gdzie jesteś? Zlituj się nad nami! — wyrzut taki i prośbę niosły ich oczy, ku niebu zwrócone; lecz ztamtąd nie było odpowiedzi...

„Każde drzewo, krzew, każde miejsce ciśnie wspomnienia walki męźnej, w której krwi się lały potoki. Na każdym kroku przypominają się obrazy

¹⁾ Instrument muzyczny w rodzaju gitary.

niedawnej przeszłości, szarpiąc serca niby igłami rozpalonemi i sprowadzając cierpienia niewysłowione: słowa są niekiedy zbyt słabe, aby mózdz ogrom bólu wyrazić...”

„Jeden z naibów Szamila, Anzora, ojciec młodej Eliso, z biciem serca i czołem zmarszczonem, słuchał razem z innymi tej pieśni, rękę o rękę się kindżału oparliszy.

„Przypomnił sobie młodość, napady śmiałe na wroga, powroty ze zdobyczą obfitą, oczekiwania pochwały z ust dziewcząt czeczeńskich...

„Przypomnił sobie czasy owe, kiedy, jak wicher, szalał w wąwozach górskich, kiedy pieśni śpiewano w wioskach na cześć jego...

„Przypomnił sobie żonę młodą, jej pieszczoty miękkie, swych synów — jedyną podporę i nadzieję starości — którzy przed oczami jego zginęli w walce, przebici bagnietami...

„Przypomnił to wszystko, ręką powiódł mocno po czole i westchnął:

— Illa hu, Alla-hu, Allach!”

Eliso siedzi zadumana, samotna na brzegu strumienia. Białą twarzyczkę podparła dłońmi drobnymi i w dal się zapatrzyła. Serce jej szarpie ból podwójny, bo razem z ziemią rodzinną porzucić musi ukochanego, Gruzina—chrześcianina Ważia.

Nienawiść do giaurów-Gruzinów, którzy pokazali drogę, wiodącą przez góry z północy, była przyczyną, dla której Anzora nigdyby jej nie pozwolił połączyć się z Ważia. Lecz ojciec znał swą córkę; wiedział, że Czeczenka rzadko pokocha duszą całą, lecz, gdy kto jej serce zdobędzie, oddaje mu się całą swą istotą na wieki; wiedział, że Eliso nie łatwo rozstanie się ze swym ukochanym.

Podszedł niepostrzeżenie do córki, która siedziała zatopiona w jednej myśli wielkiej—walce między miłością, a obowiązkiem względem starego ojca.

— Ojcie, postaram się zapomnieć o tym, kogo kocham—mówi Eliso.

— Powinnaś, jeśli możesz. Ważia jest chrześcianinem, tyś—Czeczenka...

Ojciec stara się w córce rozpaścić płomień nienawiści wiecznej do gjaurów:

— Słuchaj Eliso! Niegdyś miałem piękny tabun koni, pasących się na polach Czeczni — przyszli gjaury i zabrali mi... Miałem stada wielkie baranów, a nie minął domu mego wędrowiec, któremubym nie zarzwał owcy na ucztę - napadli gjaury i zabrali... Miałem dom, który był przybytkiem potrzebujących i nieszczęśliwych—przyszli gjaury i spalili... Zostali mi trzej synowie, ty i oręż do walki. Pobiegłem w góry, aby zemścić się za krzywdy doznane—gjaury zabili mi synów, jednego po drugim—i ja patrzyłem na to!... Jedyna pociecha, że zginęli śmiercią bohaterską: mieli serca przeszyte—snadź czołem nacierali na wroga... Zostałem sam jeden — chyba po to, aby rozpaścić ogień piekielny zemsty i nienawiści... Lecz przygnieciony już potem brzemieniem lat przeżytych, siły mnie opuściły i, gdy najbardziej potrzebny mi jest odpoczynek, muszę porzucić ziemię rodzinną i rozstać się z popiołami synów... Tyś mi tylko została, jedyna pociecha; tyś mi powinna oczy zamknąć, ale... jeśli prawdziwie kochasz tego Ważia, powiedz... a zrzeknę się ostatniej pociechy...

— Nie, ojcie! nie porzucę ciebie, choćbym go nawet sto razy bardziej kochała... Wszystko przejdzie... Wszak prawda, ojcie, zapomnę?...

Rozmowę przerywa niespodziewane przybycie Ważia, który wyznaje, iż „kocha Eliso, jak ryba — wodę, ptak — powietrze“.

— Eliso, słyszysz, odpowiedz mu — nagli ojciec.

Dziewczyna się waha. Przed chwilą miała poanowienie niezłomne, lecz teraz jakaś siła nieznaną sztebiega jej nerwy... Milczy. Niepewność chwytą prędko serce starca, który zwraca się do Ważia:

— Błaga cię Anzora, który nikogo nigdy nie prosił: nie pozbawiaj mnie, starca, jedynej nadziei i pociechy... Tyś młody, masz dom i rodzinę, jam zaś z woli losu stracił wszystko, wszystko...

Lecz i to nie pomaga. Anzora ustępuje młodej parze, lecz raptem wybucha zamieszka, niespodziane najście wroga, Anzora i Ważia chwytają za broń, lecz obaj giną od kul nieprzyjacielskich i nieszczęśliwy starzec i szczęśliwy młodzieniec, nie zdążywszy zakosztować szczęścia, które zdobył z taką trudnością...

* * *

Wdzięczna jest powieść Kazbeka p. t. *Cicya*.

Cicya, córka bogacza Korjuko, kocha pastucha Beżia. Jedynaczka, stanowiąca dumę starego ojca, nosi pożywienie ukochanemu pastuchowi daleko w pole.

I tutaj, wśród uroczej natury, rozpala się w nich uczucie gorącej miłości, która od nieśmiałych spojrzeń przechodzi wkrótce do otwartych wyznań.

Trudno wszakże myśleć o zezwoleniu ojca; nie pozostaje przeto nic innego, jak ucieczka.

Lecz los stanął na przeszkodzie zakochanej parze: jakiś Czeczeniec uprzedza zamiary Beżia i wykrada Cicyę. Przekonywa się jednak, że Cicya kocha już innego, ale, jak prawdziwy Czeczeniec, nie wyzyskuje swego położenia względem słabej i bezbronnej istoty, nie używa gwałtu, lecz przeciwnie, rad ponieść najwyższą ofiarę i nie cofa się przed żadnem niebezpieczeństwem, aby doręczyć ukochaną dziewczynę szczęśliwemu rywalowi, gdyż głos sumienia i poczucie obowiązku moralnego są silniejsze od burzy szalejących w nim uczuć.

Po wielu przygodach udaje mu się nareszcie odnaleźć Beżia. Ten, przypuszczając, że Cicya została może shańbiona, rzuca się na niego z kindza-

łem, aby krwią za zbeszczenie kobiety ode-
mścić.

Czczeniec też wyciąga kindżał — i blizka jest już chwila, kiedy popłynie krew niewinna. Rozlega się krzyk Cicyi, chustka jej *mandili* ¹⁾ zjawia się między rozjątrzonymi zapaśnikami i obaj się zatrzymują: *mandili* jest świątynią, której żaden góral nie shańbi dotknięciem brutalnem...

* * *

Utwory Kazbeka dają świetną charakterystykę górali kaukaskich. Życie ich, to świat piękny, po-
ciągający bijącą zewsząd szlachetnością i świeżością.

Oto zjawia się w kraju nieprzyjaciel.

Wiadomość przebiega, jak błyskawica, *auły*, rozsiane w wąwozach głębokich i na skałach niedostępnych; tworzą się grupy wojowników, składających anibalową przysięgę, łączące się w związki pobratymstwa: wobec sztandarów i duchownego składający przysięgę zdejmują czapki, wręczają sobie wzajemnie po kuli i wymawiają następujące słowa: „Twoja ręka służyć będzie mojej, oko twoje — memu, twoje kolano — memu kolanu, a zdrajcę niech karze bezlitośnie Św. Jerzy Lomissa, niech będzie on mężem własnej matki, niech łamie mu się kindżał, którym zamierzy się na wroga”.

Związki pobratymstwa powstają nie tylko podczas najścia wrogów; nieraz w czasie spokoju dwaj górale zaprzysięgają sobie w ten sposób wieczną przyjaźń, walkę z tymi, co zechcą gwałcić czystość zwyczajów — stawanie w obronie cnoty dziewic.

Kobieta sama też potrafi bronić się z orężem w rękę, nawet stawać do obrony ojczyzny, podno-

¹⁾ Ubiór głowy.

sząc ducha, energię, zapał i męztwo towarzyszków broni. Ta rycerskość góralki otacza ją jeszcze większą aureolą w oczach mężczyzn: surowo też karzą wyrodnego syna gór, który odważy się shańbić kobietę.

Kochanką jest góralka stałą i wierną; nie zmienia swych uczuć i nie potrafi dzielić ich dla kilku. Żadne groźby, ani cierpienia nie zgaszą w jej duszy iskry miłości. Uczucie wiernej miłości jest osią poezji góralskiej: Często kobieta występuje w roli pośredniczki (Cicya), godzącej zwaśnionych, pragnących spełnienia zwyczaju zemsty krwawej.

Wszystkie te zalety postawiły kobietę na piedestale wysokiego szacunku i poważania. Żonę traktuje Gruzin-góral jak równego sobie przyjaciela i pomocnika, co wyraża przysłowie ludowe: „Potomstwo lwa zawsze będzie lwem, bez względu na płć jego“.

Szacunek względem kobiet ma u Gruzinów pewne podstawy historyczne. Apostolką Gruzji była Św. Nina, więc kobieta wprowadziła ją do szeregu narodów chrześcijańskich. Do stopnia potęgi politycznej i wysokiej cywilizacji podniosła Gruzję też kobieta, królowa Tamara.

Do kobiety zwraca się też często poezja ludowa, opiewając jej cnotę, piękność i bohaterskość.

Oto jak przedstawiony jest w pieśniach ludowych ideał piękności kobiecej: piękna góralka powinna być wysoka i wiotka, jak *czynar* ¹⁾, biała, jak wapno, jagody mieć rumiane, jak wino różowe, włosy czarne, jak smoła, oczy czarne, ciskające błyskawice. Niezbędną oznaką piękności jest też chód spokojny i miarowy, małomówność, skromność, wierność i usłużność, oraz „język jaskółki“ podczas biesiady.

¹⁾ Jawor kaukaski.

Oprócz piękności fizycznej i duchowej kobiet, przedmiot poezji góralskiej stanowią opowiadania o czynach bohaterskich, o gościnności, szacunku względem starców, o obronie słabych i krzywdzonych.

Błyszczący oręż, uczucie zemsty, miłość ojczyzny, swobody i kobiety dają góralowi natchnienie poetyckie; śniegiem pokryte góry, lasy dziewicze, mgły gęste, strumienie szemrzące, wodospady, wesole trele skowronka, krzyk złowrogi sowy—oto materyał do poetycznych opisów natury.

Chlubą górali jest gościnność.

W górach zachowała się prostota patryarchalnych obyczajów, przesady społeczne nie zdążyły się jeszcze zakorzenić: wszyscy są równi wobec prawa i społeczeństwa.

Drzwi chaty otwarte są dla wędrowca, gość jest nietykalnym posłannikiem Bożym. Zjawienie się gościa jest uroczystem świętem w spokojnem zaciszu ogniska rodzinnego górala: dzieci skaczą z radości, schodzą się dziewczęta i młodzieńcy, aby śpiewem, zabawami i tańcami rozerwać nowego przyjaciela wioski.

Wszyscy mieszkańcy ubiegają się o zaszczyt przyjmowania u siebie obcego wędrowca, który zjawieniem się swoim wywołuje wskutek tego często spór zacięty, kończący się nieraz krwi przelewem u tych natur, jak proch wybuchających od lada iskry.

Tak maluje Kazbek obraz mieszkańców gór kaukaskich; a że zna ich dobrze i czas długi wśród nich mieszkał, przeto obraz ten jest wierny.

Samo to stanowi już wielką zasługę powieściopisarza gruzińskiego

XII.

Na ukrainie gruzińskiej.

„Odłogiem leżące grunty... niedokształcone charaktery, zaniedbane zdolności i spelzłe na niczem dobre chęci zawsze budzą we mnie smutek głęboki...

Tyflis ciągnie się wzdłuż obu brzegów Kuru, w kotlinie, między wzgórze wtłoczonej. Niegdyś były one podobno pokryte bujnymi lasami, lecz teraz świecą nagością obnażonych stoków i wierzchołków.

Wyjeżdżamy z Tyflisu na południe, ku wyżynom Kaukazu Mniejszego.

Droga prowadzi czas pewien wzdłuż rzeki, a następnie wciska się między te wzgórze żółtawo-fioletowe, sterczące zaokrąglonemi kształtami, niby garby ukrytych jakichś wielbłądów.

Spotykamy wiele strumieni i, choć mostów niema, z łatwością w bród je przebywamy; spokojne są one teraz, w dnie pogodne, aż do dna przezroczyście, takie piękne, kryształowe, jasne, nęcące rozkoszami, jakie obiecują ich nurty orzeźwiające; lecz niech się niebo zachmurzy i deszcz ulewny spadnie, wnet przetwarzają się w głębie ciemną i kapryśną, ukrywającą w swych mętach dno nierówne, ziejącą niebezpieczeństwem otchłani i karzącą śmiałka, któryby, wpatrzony w chwilę dawnej pogody, zbyt pewny był siebie i zbyt ufnością wiedziony...

Istna dusza młodej kobiety...

Strumienie te, niby arterye życia, ciągnęły za sobą sznury wiosek, kąpiących się w jaskrawych winnicach; pola uprawne, mocno sfalowane i poprzerywane siecią kanałów irygacyjnych, uderzały już pustką żółtych ściernisk.

W odległości czterdziestu kilku wiorst od Ty-

flisu leży w wąwozie miasteczko Szulawery; mała gromadka skleconych z kamieni domków, zalana zielenią ogrodów, staczających się z gór okolicznych.

Mieszkańcy jego, Ormianie, trudnią się ogrodnictwem i produkcją wina.

Słońce miało się już ku zachodowi, gdyśmy, minawszy miasteczko, wspięli się na przełęcz Szulawerską; za nami został ciasny wąwóz, zasypany domkami, niby rumowiskiem malowniczym, przed nami ułożyła się dolina Borczalińska. przewita wstęgą Dabada-czaju i opierająca się dalej na południe o pierwsze łańcuchy Kaukazu Mniejszego, już nie szare, jak garby niw podtyflskich, lecz pokryte lasami, pełne ciemnej, soczystej, ożywczej zieleni.

Od widoku takiego człowiek nastraja się na ton życia i zaczyna głęboko, pełną piersią oddychać.

Zjeżdżamy w dół, niby śladami węża-olbrzymia, ku tym górcom, u których podnóża widać zdaleka cel podróży, wieś Sadachtó.

Część kraju, nosząca nazwę Borczaló, zawarta między Kurem z północy, Kaukazem Mniejszym z południa, z zachodu przylegająca do wschodniej prowincyi gruzińskiej Kaztalinii, a ze wschodu, do ziemi dawnych chanów Kazachskich i Hanżyńskich ¹⁾, zaludniona jest przez Tatarów aderbejdzańskich, wśród których rozrzucone są grupy wiosek Ormian, oraz, jeszcze rzadsze, kolonistów gruzińskich.

Ziemia ta, stanowiąca wschodnie kresy dawnego państwa Gruzjińskiego, należała do paru rodzin książęcych gruzińskich, których przedstawiciele otrzymali włości te niegdyś za zasługi, położone przy rozszerzaniu i obronie granic państwa, i rządzili niemi w charakterze władców feudalnych.

¹⁾ Obecnie Elizawetpol.

Obecnie niema śladu tych władców potężnych, posiadłości z biegiem czasu się rozdrobniły, niektórzy właściciele sprzedawali swe działy innym, i w ten sposób powstało tu obywatelstwo gruzińskie.

A o przeszłości świadczą tylko liczne zwałiska twierdz i zamków na skałach.

Ludność tatarska trudni się rolnictwem i hodowlą bydła. Jest ona osiadła, tylko na 2—3 miesiące letnie wyrusza ze stadami w góry, jakkolwiek lato, z powodu wyniesienia tej miejscowości na kilka tysięcy stóp nad poziomem morza, jest już jako-tako możliwe.

Tatarzy tutejsi, od wieków przebywający w sąsiedztwie bardziej cywilizowanej Gruzji, są mniej surowi od braci swych, dalej na wschód mieszkających.

Vendetta panuje tu wszakże w całej pełni i ani czas, ani przestrzeń powstrzymać jej nie zdoła: bierny i apatyczny syn Wschodu w spełnieniu zemsty krwawej wykazuje zadziwiającą energię i wytrwałość.

W okolicach, bardziej od świata oddalonych, zemsta znajduje swój wyraz zazwyczaj w zabójstwie; jest to sposób najprostszy, odruch natury pierwotnej, dzikiej, zwierzęcej.

Tutaj natomiast zabójstwa zdarzają się stosunkowo dosyć rzadko, ograniczając się do bardziej wyjątkowych wypadków, a najczęściej praktykowanym sposobem zemsty jest podpalenie, sposób bardziej „miękki“ i ohydnie wyrafinowany: pałający zemstą podkrada się w nocy i podpala sterty zboża, należące do „śmiertelnego wroga“, który najspokojniej pasie swe stada na górach, dokąd noc ciemna tylko złowrogi blask łuny posyła mu z wieścią okropną.

Poszkodowany przyjmuje cios ze spokojem, nie zawiadamia władz powiatowych, nie prosi o pomoc w wynalezieniu przestępcy; a za dni kilka nowa lu-

na, rzucając blask krwawy na niebo czarne, niesie wieść światu o zemście...

I w wiosce, składającej się z kilkunastu nędznych lepienek, w przeciągu paru tygodni idą z dymem tysiące snopów złocistych.

Wielu włościan borczalińskich dotąd nie ma jeszcze ziemi własnej. Od chwili uwłaszczenia nie spłacili, częstokroć nie zaczęli jeszcze spłacać należności za otrzymane działki, ograniczając się tymczasem do wypłacania czynszu dzierżawnego, który składają obywatelom w snopach zboża. i siedzą, jako dzierżawcy, na powyznaczanych pięciu dziesięcinach, zadowoleni, bez jutra, posłuszni tradycyom pasterskim.

Gospodarstwo rolne prowadzi się w sposób bardzo pierwotny. I trudno nawet się dziwić brakowi kultury.

Gruzya jest to kraj bardzo biedny; warstwy uprzywilejowane są zrujnowane, a lud (w prowincjach rdzennie gruzińskich) budzić się dopiero zaczyna do życia.

Kraj cały nie posiada ani jednego wyższego zakładu naukowego, przeto dostęp do wykształcenia wielce jest utrudniony, albowiem tylko bardzo nieliczne jednostki, zamożniejsze lub też korzystające z ograniczonej pomocy ogółu, mogą się udawać po „Europę“ do obcych krajów.

Ci zaś, co powracają uposażeni w zdobycz, osiedlają się po miastach, bo wraz z wiedzą przywieźli już inne nawyki; zresztą zniewalają ich do tego warunki, związane z zawodem, i możliwość istnienia, którą miasto łatwiej zapewnia.

Odłogiem leżą tedy niewyczerpane bogactwa. Właściciel posiadłości częstokroć nie jest w stanie poddać uprawie i obsiać swych tysięcy dziesięcin, więc na żyznych obszarach rozrastają się nieprzebyte gęszcze chwastów bujnych i krzewów ciernistych, a co się da uratować, pokrywa się lanami pszenicy

i jęczmienia; oba zaś te produkty są bardzo tanie i ulegają konkurencji innych krajów, gdy tymczasem uprawa różnych roślin lekarskich i technicznych, wymagających specjalnych warunków klimatycznych, mogłaby zapewnić krajowi wysokie zyski.

Lecz rzeczy takie potrzebują już pewnych zmian, specjalnych wiadomości, — no i są... nowatorstwem, a z tem zawsze i wszędzie najtrudniej.

Bardziej rozpowszechniona jest tu uprawa krzewu winnego. Po wsiach tatarskich winnice są nieznaczne, bo Tatarzy, jako mahometanie, nie wyrabiają wina, a winogrona jedynie suszą na rodzynki (*kiszmisz*); wyrobem wina trudnią się Gruzini i Ormianie; idzie ono na potrzeby miejscowe, w pewnych ilościach wywozi się też do Tyllisu, gdzie koncentrują się główne rynki handlu winem kaukazkiem.

Wino wytłacza się w wielkich korytach kamiennych lub drewnianych, z kąd wprost ścieka ono do wielkich dzbanów glinianych, zawierających niekiedy do paru tysięcy butelek.

Napełnione dzbany zakopują się w ziemi, gdzie są od wszelkich wpływów nieprzyjaznych zabezpieczone; wszakże niekiedy zdarza się, iż podczas nieznacznych trzęsień ziemi pękają owe dzbany olbrzymie i wino z nich powoli wycieka, gotując niespodziankę właścicielowi, który się niczego w spokoju ducha nie domyśla.

Z pozostających po wytłoczeniu wina skórek pędzi się najpierwotniejszym sposobem okowitę.

W pierwszej połowie lipca, a niekiedy już pod koniec czerwca, kraj się wyludnia i to nietylko wioski lecz i dworki gruzińskie. Zostawać niema po co, jęczmień i pszenica już w sterty zwalone, winogrona przecież i same dojrzeją w winnicy na jesień: a inwentarz żywy już wcześniej w góry wyruszył.

Więc wszystko w góry dąży, uciekając przed żarem słonecznym, komarami i malaryą, która wszę-

dzie tumanom tych owadów krwiożerczych towarzyszy.

W początku września powraca ludność i natychmiast bierze się do młócki, zanim jeszcze winnice na dobre dojrzeją; a odbywa się ona w sposób podobny do tego, który podaje Herodot w opisie starożytnego Egiptu.

W pobliżu gromady stert usypanych wybiera się kawałek równej przestrzeni, polewa wodą, ubija i posypuje pokruszoną słomą. Kiedy improwizowane w ten sposób klepisko podeschnie, rozsypuje się na niem grubą warstwę przeznaczonego na młóckę zboża.

Właściwy przyrząd do młócenia przedstawia gruba deska (lipowa), na której powierzchni dolnej ponabijane są ostre kamienie; jeden koniec jej jest zwężony i zgięty na kształt płozy. Deskę kładzie się na warstwę zboża tą stroną, która jest najeżona kamieniami, do przedniego, odgiętego ku górze końca zaprzęga się parę wołów i pogania wokoło; poganicz sam staje na desce, aby ciężarem swym przyśpieszać działanie „młóckarni“.

Kiedy słoma doszczętnie się skruszy i ziarno wysypie się z również pokruszonych kłosów, młócka się kończy i następuje oczyszczanie ziarna. Utworzoną masę sypką zmiata się na jedną połowę klepiska (pod wiatr) i podrzuca łopatami do góry; pył, siewka i plewy ulatują z wiatrem na stronę opróżnioną, a ciężkie ziarno deszczem gęstym opada na miejscu.

Po kilku godzinach takiej pracy ziarno pozostaje czyste; praca tu jest wszakże możliwa tylko podczas wiatru; zmiana jego kierunku lub zupełne uspokojenie się powietrza uniemożliwiają robotę; a gdy deszcz upadnie zniecka (np. podczas nocy) i trwa nieco dłużej, ginie wszystko, co jest na klepisku.

Zbiór winogron jest w Gruzji świętem uroczystem; towarzyszą mu uroczystości, tańce i śpiewy.

Tutaj, na kresach, gdzie w czynności tej uczestniczą częstokroć wyrobnicy tatarscy, żyje tylko stale odbicie narodowego święta Cerery.

Gdy zbiór się skończy i dzbany, sokiem winnym napelnione, znikną pod ziemi nakryciem, wnet z gór się zaczną tumany gęste staczać, porę deszczów zimowych zwiastując

* * *

Smutny to kraj, choć piękny i obficie wyposażony.

Natura bogata, wesola i uśmiechnięta, ale ludzie smutni, tacy serdeczni, gościnni, z czołem trosk bruzdami zoranem.

A wartki Dabada-czaj rozbija swe fale o twarde kamienie, żłobi je jednak wytrwale, choć bardzo powoli, i wiecznie szumi; i wiecznie, i we dnie, i w nocy rozbrzmiewa ta pieśń smętna, niby skarga żalosna; szumi rzeka w południe, w blasku słonecznym, szumi o wschodzie i zachodzie, a gdy wichur zawyje i burza się zerwie, niby z łańcuchów — henna skalach przykuta, szarpie się wówczas szum ciągły, bo musi walczyć z wiatru naporem; więc wzmacza się, więc znów cichnie, więc ryk wiatru chce stłumić, to znów sam niknie.

A gdy przebiegasz ścieżyny leśne, wąwozy i chwastem zarośnięte jary, wszędzie napotkasz ślady życia dawnego.

Ze skał wyrastają na tle nieba czystego zwaliska zamków warownych, a u stóp ich szeroko są rozsiane ślady licznych zbiorowisk ludzkich — resztki siedzib i wielkie, misternie żłobione koryta kamienne do wytłaczania wina — obecnie chwastami pokryte...

Niegdyś miasta tu były; obecnie — w każdym ziarnie piasku... morze krwi ludzkiej...

XIII.

Na szczyt Lalwaru.

„Zobaczyłem ją tylko raz na chwilę,
I już pewnie nie ujrzę jej więcej —
Dziwny los...” *Asnyk.*

Był chłodny, górski dzień letni. Jechałem konno do lasów Hudżabskich, aby spotkać się tam w koczowisku tatarskiem z towarzyszem Gruzinem.

Biały rumak krwi arabskiej, o wdzięcznej głowie i zręcznych ruchach niósł mnie równo i szybko, prując fale powietrza, które nam wiatr ciskał na spotkanie.

Za nami, na południo-wschodzie, skaliste szczyty ginęły w jakiejś czarności złowrogiej, zapowiadającej grad, czy deszcz ulewny; przed nami otwierała się długa dolina, którą mieliśmy się pięć na przełęcz ku „Wilczym wrotom.”

Jechaliśmy we dwóch, ja i Gruzin Etgudża, pastuch hudżabski, przysłany mi na przewodnika.

Pocieszny to jegomość: małego wzrostu, utykający na jedną nogę, śpiewak, leniuch do pracy, obojętny do siłków z dziewczętami. Oprócz języka ojczystego, znał on jeszcze tatarski (narzecze aderbejdzańskie), który jest powszechny na całym zachodzie Azyi, ja zaś zbyt mało rozumiałem język tatarski, abym mógł w nim prowadzić gawędę; przeto niezbyt uśmiechała mi się perspektywa kilkunastogodzinnej jazdy w towarzystwie człowieka, z którym się porozumieć nie można.

Gdyśmy przebyli pewną przestrzeń w milczeniu, ot, aby przerwać tę ciszę przykrą, zwróciłem się do niego:

— *Urus bilmersan?*¹⁾

— *Joch!*²⁾ — odpowiedział mi i uśmiechnął się,

¹⁾ Po rosyjsku nie rozumiesz?

²⁾ Nie.

wzruszając ramionami, odgadłem, że mu się dziwnem wydało towarzystwo dwóch ludzi, wzajemnie się nie pojmujących. Uśmiechem i gestem podobnym potwierdziłem to jego wyrażenie bez słów, a w odpowiedzi usłyszałem znów niedźwięczną kaskadę śmiechu.

I w ten sposób zaczęliśmy rozmowę. Często, wskazując palcem przedmioty, pytałem go:

— *Buna adynady muzulmén?* ¹⁾)

On mi odpowiadał wyrazem tatarskim, to znów mówił nazwy wiosek spotykanych i daleko plamami się rysujących—i taka była gawęda nasza, przerywana okresami milczenia. Gdym chciał prędzej jechać, spinałem konia i rzucałem mu:

— *Sjur tez, czoch sjur!* ²⁾) — a zwalniając bieg konia, mówiłem:

— *Jawász, Elgudża, jawász* ³⁾).

I tak nam czas schodził.

Kiedyśmy ujechali już dobrych kilka wiorst, ujrzeliśmy zbliżającego się ku nam jeźdźca na koniu; przy boku błyszczał mu kindżał w srebro oprawny, a przez ramię przerzuconą miał skalkówkę o bardzo długiej lufie i kolbie kształtu lejkowego; twarz ginęła pod osłoną zwieszających się z czapki długich kosmyków sierści baraniej.

Podjechawszy do nas, konia nieco zatrzymał, głowę opuścił i rękę na piersi założywszy, imieniem nas Bżem powitał:

— *Allas—allas!*

Był to Tatar okoliczny; jechał do swego koczowiska, które znajdowało się w kierunku naszej drogi, więc dążyliśmy razem. Przewodnik zarekomendował mnie, jako inżyniera; w okolicy miano wówczas budować nową drogę żelazną z Tyflisu do Kar-

¹⁾ Jak się to nazywa po tatarsku?

²⁾ *Sjur*=jeźdź; *tez*=prędko; *czoch*=bardzo.

³⁾ Stój, poczeka!

su, przeto od kilkunastu miesięcy odbywały się tu po dzikich wąwozach górskich pomiary i badania, a ludność w każdym nieznanym Europejczykowi upatrywała inżyniera.

I Elgudża powziął widocznie myśl taką co do mojej osoby: wydać mu się musiała tak naturalna, że już nikogo o mnie nie pytał

Nowy towarzysz podróży zaczął coś do mnie mówić, lecz gdy mu odpowiedział, że nie rozumiem, roześmiał się i ramionami wzruszył: i jemu się dziwnem wydało, że ja tu z nikim, ale to z nikim dobrze rozmówić się nie mogę.

Umiał wszakże trochę po rosyjsku i strasznie łamanym językiem, niemożliwie kalecząc pojedyncze wyrazy, zaczął mnie rozpytywać o nową drogę żelazną. Udzieliłem mu nieco wiadomości, opowiedziałem, z kąd zaczynają budować, w jakich miejscach rozpoczęto roboty, kiedy mniej więcej będą zakończone, ile godzin jazdy do Tyflisu i t. p.

Trudno było mu to wszystko wyłożyć; musiałem używać możliwie małej ilości wyrazów i umyślnie łamać język, prawidłowych bowiem zwrotów i odmian nie mógł w żaden sposób zrozumieć.

Gdy chciałem mu, na przykład, powiedzieć, że kolej skończona będzie naprzód między Tyflisem i okoliczną wioską Sadachłó, wyrazić to musiałem w sposób następujący:

— Pierwszy... będzie... Tyflis... Sadachłó.

Doszedłem do tego po kilku próbach, których nie mógł zrozumieć.

Nieraz wstawiałem do rozmowy znane mi wyrazy tatarskie; wówczas na obliczu jego rozlewał się wyraz przyjemnego zdziwienia: śmiał się dobrodusznie i niby zachęcał, mrużąc z zadowoleniem:

— *Jakszy! Jakszy!*¹⁾

¹⁾ Dobrze, dobrze. <http://rcin.org.pl>

— Tyflis dobry żyć—mówił później, kiedy się zgadało o stolicy gruzińskiej—wódka jest, *czochyr* ¹⁾ jest, *mat'szka* ²⁾ jest...

Gdyśmy przejeżdżali przez wieś sekciarzy rosyjskich, pokazywał mijające nas kobiety i, młaskając językiem, oraz spoglądając znacząco na mnie, mówił:

— *Choroszo mat'szka!*

Tak bajdurzył stary figlarz, a ja słuchałem z przyjemnością, chociaż nie rozumiałem i połowy tego, co mówił do mnie.

Ciemność już zapadła, kiedy przebywszy przełęcz, zaczęliśmy wijącą się wśród lasów drogą schodzić ku podnóżom Lalwaru.

Na stokach gór okolicznych błyszcząły w gęstwinie leśnej ogniska koczowników; z bliższych koczowisk dochodziły nas głosy ludzkie, śpiew monotony i szczekanie psów, odzywających się na tętent i parskanie naszych wierzchowców; z lasu buchały fale upajających aromatów roślinnych.

Wkrótce Tatar wskazał ręką ogniska, błyszczące hen daleko w dole pod naszymi stopami, podał mi dłoń, którą uściśnąłem i znikł w gąszczu ciemnym.

I znów zostałem z Elgudżą.

Teraz dopiero, wśród lasów i czarnej nocy, po odjeździe gadatliwego Tatara, odczułem brak człowieka, którego mógłbym choć jako-tako zrozumieć, bo te ogniska, które błyszcząły wokół, a nawet dola-tujące nas odgłosy życia ogromnie obcego, jeszcze bardziej wielką moją samotność uwydatniały.

Jechaliśmy w milczeniu; byliśmy zmęczeni, a to nie usposabia do rozmowy; zresztą, ciemność nocy uniemożliwiała naszą gawędę, która, będąc

¹⁾ Wino.

²⁾ Skrócone „mátuszka.”

przeważnie pogładową, wymagała współdziałania zmysłu wzroku.

Na jednym z zakrętów drogi ujrzeliśmy niespodzianie pod skałą rozpalone ognisko, przy którym leżało dwóch ludzi uzbrojonych. Była to warta, którą pełnią po kolei mieszkańcy okoliczni od czasu napadu na księdza ormiańskiego, przejeżdżającego tą drogą przed kilkunastu dniami.

Elgudza wylegitymował z łatwością mnie i siebie, więc, pokrzepiwszy się świeżą wodą zdrojową, wnet ruszyliśmy dalej.

Pod osłoną lasu było tak ciemno, iż nie widziałem mojego lśniącego śnieżną białością konia.

Z szerszej drogi zboczyliśmy na wąską ścieżynę, co pięła się stromo pod szczelnem okryciem gałęzi drzew i krzewów, które wciąż uderzały po rękach, nogach i twarzy, zrzucając kapelusze i wypychając nogi ze strzemion. Instynktownie pochylałem głowę, unikając za każdym razem spotkania z gałęzią, której niepodobna było dojrzeć oczami; nieraz kładłem się na szyję konia i tak czas jakiś jechałem.

Pomimo nocy ciemnej rozpoznawałem pojedyncze gatunki drzew: czułem na twarzy i rękach suche dotknięcie żylastej grabiny, twarde i brutalne—dębu, miękkie muskanie puszkami okrytych delikatnych liści południowej leszczyny.

Wyczuwana zmysłem dotyku różnorodność spotykanych po drodze roślin razem z przerzynającymi czarną przestrzeń owadami świecącymi wносиła mi nieco ożywienia do otaczającej nas zewsząd ogromnej czarności — martwej i cichej, bo Morfeusz już skrzydła rozpostarł i wszystkich, stałych i czasowych mieszkańców lasu otulił w snu powicia.

A myśmy jechali.

Po paru godzinach takiej podróży przewodnik zgubił ścieżynę: było tak ciemno, że on się nawet zbłąkał, choć znał te lasy na wylot; zatrzymał się,

więc i mój koń stanął. Wśród ciszy nocnej zaskrzy-piały popręgi jego siodła—widocznie stanął w strze-mionach, a po chwili usłyszałem, jak zawył głosem donośnym, ogromnie przejmującym.

Echo rozniosło po lasach, przerzucając z drze-wa na drzewo, ten dźwięk ostry, tak rażący w ci-szy nocnej, taki niespodziewany, jakiś nienaturalny— a odpowiedziało mu szczekanie zajadłe psów; tego właśnie chciał Elgudza: to psy z koczowiska, do którego dążyliśmy, a ich głosy dają nam możliwość oryentowania się co do kierunku, w jakim jechać należy...

Wkrótce też ujrzeliśmy przed sobą słabe świa-tło dogasającego ogniska. Zeskoczyliśmy z koni i pro-wadząc je za sobą, schodziliśmy ze zbocza góry, stą-pając wśród leżących pokotem krów, cieląt i ba-wolów.

Psy zaczęły ujadać z jeszcze większą zawzię-tością, zbudzone ze snu bydło ryczało, rzucając zdzi-wione spojrzenia wokół, konie parskaly, a wśród tego chaosu dźwięków słyszałem głos przewodnika, budzącego swą rodzinę.

Pierwszy zerwał się kilkunastoletni wyrostek i wziął nasze konie, a po chwili wyszła z sza'asu kobieta i zaczęła rozdmuchiwać ognisko.

Wnet buchnął jasny promień i wtedy, rozesław-szy koło ognia wojłokowe materye, wskazała mi je, abym spoczął.

Ani towarzysza swego; ani jego brata z koczowiska nie zastałem.

Elgudza dużo mi coś opowiadał, alem więcej nic nie zrozumiał, nieco rozgniewany, chociaż z dru-giej strony też zaciekawiony tem kłopotliwem położe-niem, ułożyłem się na przygotowanym mi postaniu i zapatrzony w płonący ogień, łamałem głowę nad tem, co mi mógł mówić Elgudza i dlaczego nie za-stałem tu towarzysza? Dopiero później z dalszych jego objaśnień zdołałem się domyśleć, że kolega mój

nocuje w innym koczowisku, o kilka wiorst odległem i położonem na górze, albowiem palcem na niebo wskazywał.

Wobec tego zdecydowałem się skwitować z oczekującego mnie przyjemnego towarzystwa, gorącej herbaty i wygodnego noclegu na pościeli, ile że dawno minęła już północ, więc, chcąc się do tamtego koczowiska dostać, musiałbym noc całą zmarnować. Po stanowienie to ogłosiłem przewodnikowi, dając znak, aby rozsiadłano konie.

Gospodyni zakrzętała się koło wieczerzy. I dopiero teraz, kiedy zbliżyła się do jasno płonącego ognia, kiedy rozkładała na ziemi serwetę i podawała wodę do umycia rąk, dopiero teraz przyjrzeć się mogłem tej postaci.

Była to młodziutka, dwudziestu lat jeszcze niemająca kobieta, o delikatnych rysach twarzy, ozdobionej ostrym, kształtnym nosem i drobnymi ustami, pokazującemi dwa rzędy pereł; o ciemnych oczach, przysłoniętych długimi rzęsami, takich bezdernych, pełnych niewysłowionego uroku i ocienionych leciuchnym cieniem jakiegoś smutku, czy tęsknoty...

Wzrostu była średniego, o wysmukłej kibici i zręcznych ruchach. I ta ostra jej twarzyczka, smętne oczy, oraz zwinne ruchy cisnęły mi obraz najpiękniejszej istoty leśnej—wdzięcznej gazelli.

Elgudza, dorzucając drzew do ogniska, gawędził z Tatarami, którzy przywlekli się z lasu, aby popatrzeć na dziwnego gościa. Oczu nie odrywałem od niej, kiedy się zbliżała, przygotowując nam wieczerzę, a wpatrując się w ogień, kiedy znikwała we wnętrzu szalasu, myślałem nad tem, co może znaczyć ten smętny wyraz jej cudownych oczu. I radbym wówczas największą ponieść ofiarę, aby mózdz te oczęta całować i spić z nich smutek, co istotę wdzięczną dręczył...

I nie rozwiązałem meczającej zagadki. Dopiero

nazajutrz dowiedziałem się, że jest nieszczęśliwa w swem pożyciu małżeńskim, że Elgudża, sam nie pracując, obarcza ją nawalem roboty, źle się z nią obchodzi i często nawet katuje.

Teraz, gdy siedząc wokół ognia, jedliśmy podane nam w miedzianych miseczkach kwaśne mleko z *czurekiem*¹⁾, ona też przysunęła się do ogniska, tułac u kształtnej piersi niemowlę, od chłodu mocnego skulone. A mąż, rozciągnąwszy się, wciąż ją z miejsca spędzał, to wody każąc sobie przynieść, to innych usług wymagając.

Po wieczerzy wszyscy się porozchodzili. Otułiwszy się w paltot, który, zwinięty, do siodła był przywiązany, położyłem się na wojłoku. Ogień ciepło dawał, lecz od lasu wiał chłód nocy wilgotnej; zasypiając już prawie, poczułem, jak ktoś okładał mnie z tej strony okryciami ciepłymi. Podniósłszy głowę, ujrzałem ją, tę leśną gazelę, ten smutek jej oczu i dobroć bezdenną; pochyliłem głowę i przyłożyłem rękę do serca, albowiem tym giestem prostym zwykł Kaukazyk wyrażać swe podziękowanie; inaczej jej podziękować nie mogłem, zresztą słowami nie wyraziłbym wielkiej wdzięczności dla tego prostego serca. Ona spojrzała i, głową skinąwszy, szybko pobiegła do szałasu.

I znów myślałem o ogromnej samotności, którą jeszcze bardziej potęgowała obecność ludzi, śpiących u ognisk, rozsianych na wielkiej przestrzeni lasów. Lecz teraz czułem duszę dobrą, istotę bliższą mi od innych...

W górze las śpiewał swą cichą, senną pieśń nocną; obok słyszałem ciężki oddech krów, spoczywających w odległości kilkunastu krów; od czasu do czasu koń parsknął i nieraz psy, te straszne psy koczwisk zrywały się szczekając i warcząc, i biegnęły do lasu: czuły tam niedźwiedzia, który w wędrow-

¹⁾ Pszenny chleb z/kaukazki

kach swych nocnych, zwabiony blaskiem ognia, lubi się wałęsać koło rzuconych wśród lasu drobnych siedzib; w chwilach ciszy słyszałem lekkie trzaskanie ognia, palącego się niewielkim płomieniem; nie było słychać jedynie głosów ludzkich...

* * *

Obudziłem się o świcie.

Między liśćmi rozpostartych nade mną konarów wielkiego dębu przeświecało blade, zimne niebo wczesnego poranku.

Oprócz szalasu Elgudży stało tu jeszcze kilka innych, w których mieszkali Tatarzy. Elgudża pilnował stad księcia gruzińskiego, tamci — włościanie przybyli z własnymi stadami.

Szalaszy te mają postać półkuli i zbudowane są z wetkniętych w ziemię i wygiętych pałaków, pokrytych grubym, czarnym wojłokiem.

W koczowisku zaczynało się życie; dzieci wypędzały bydło, kobiety rozdmuchiwały tłące się ogniska, z których wily się do góry cienkie smugi dymu, niektóre powracały od szemrzącego w pobliżu strumyka z wielkimi dzbanami miedzianymi na ramiionach.

I te czarne półkule szalaszów, te czerwone szaty kobiet, migające na zielonem tle lasu, wspinającego się stromą ścianą ku wschodzącemu gdzieś za górami słońcu—ginące w gęstwinie stada bydła, ten ruch i krzątanie się—wszystko dawało malowniczy obraz budzącego się życia w pierwotnem siedlisku ludzkim.

Widok taki unosi myśl ku dawnym dziejom, ku zamierzchłej przeszłości, którą się wielokrotnie usiłuje odtworzyć w wyobraźni — i wydaje się świetną tej wielkiej historii dziejów ludzkości ilustracją.

Elgudża osiodłał konie i ruszyliśmy ścieżyną pod górę, a po paru godzinach przybyliśmy do ko-

czowiska Tatar, obywatela ziemskiego z doliny Borczalińskiej, u którego bawili moi znajomi Gruzini.

Wyglądało ono nieco inaczej. Stało tu kilka szałasów—dla gospodarza, służby i gości; były świeże, czyste, wyłożone dywanami, zawierały też sporo zdobyczy cywilizacyi, największą wszakże z tych zdobyczy, które tu znalazłem, były dwa listy z kraju, które przywiózł towarzysz z biura pocztowego, znajdującego się w odległym o kilkadziesiąt wiorst miasteczku.

Lasy Hudzabskie ciągną się u stóp Lalwaru, najwyższej w okolicy góry, dochodzącej 8,400 stóp wysokości.

Droga na jej szczyt wiedzie z początku przez te lasy, lecz na pewnej wysokości miejsce lasów zajmują rozległe pastwiska. Nad źródłami rosną tu i owdzie kępki drzew i krzewów, wśród których — ku wielkiej radości — ujrzałem sploty warkoczów naszej brzozy północnej; rośnie tu ona pojedynczo, a taka nędzna, pokrzywiona, karłowata; nie swojsko jej na tych skałach i kamieniach, żarem południa zalewanych.

Wkrótce znikła nam zupełnie roślinność.

Staliśmy na ostatnim terasie, a nad nami wznosiła się wysoka, stroma, naga kopuła kamienna, o siwych bokach, zieleniejących tu i owdzie od rzadkiej trawy i pokrywających skałę porostów. Gdy byliśmy na dole, szczyt jej przesłonięty był lekkim obłokiem; obecnie wiatr rozwiął obłoki i wierzchołek strzelał do góry zupełnie czysty.

Zszedłszy z koni, pięliśmy się dalej pieszo po kamieniach i po uciążliwej drodze dosięgliśmy wreszcie szczytu.

W promieniu kilkudziesięciu wiorst mieliśmy przed sobą najbardziej czysty obraz lasów, wzgórz, wąwozów i dolin, jasnymi wstęgami rysujących się dróg i plamami rozrzuconych tu i owdzie wiosek. Dalsze miejscowości ginęły pod gęstym okryciem obłoków.

ków, które, ścieląc się niby morze na powierzchni ziemi, zasłaniały nam równiny podtyfliskie, sam Tyflis, prawie o sto wiorst odległy, oraz rozłożone za nim ku północy doliny Kachetyi i Kartalinii.

Dopiero główny łańcuch Kaukazki wynurzał się ponad to morze, świecąc się w blasku słonecznym nieprzerwaną linią wiecznego śniegu i stanowiąc północne kresy rozległego na trzy setki wiorst widnokręgu. Wprost przed nami wzrok opierał się o lśniącego olbrzyma, świetnie panującego nad innymi szczytami: był to Kazbek. Elbrus ginał w chmurach, które z zachodu zajęły koło horyzontu.

Na przestrzeni tych setek wiorst, które wzrok obejmował, tyle było barw i ich odcieni, a wszystkie takie miękkie, łagodne i ciepłe; tylko lody szczytów wysokich iskrzyły się blaskiem zimnym, stalowym — lecz tak daleko, daleko...

Zdawało się, że unieśliśmy się w krainy naziemskie — i ztamtąd roztacza się przed nami widok powierzchni planety, obraz łądów, rozciętych, niby wielką cieśniną oceanów, temi obłokami, które się zbitą masą gdzieś daleko toczą po niskiej ziemi...

* * *

Szczyt Lalwaru ma wybitne znaczenie w życiu okolicznych mieszkańców.

Nad urwiskiem znaleźliśmy tu kawałeczek przestrzeni, wciśnięty pod skałę, a z trzech stron pozostałych ogrodzony wałem, usypanym z kamieni. O skałę oparta stoi tafla kamienna z niezręcznie wyrzniętym przez domorosłego artystę wizerunkiem św. Jerzego na koniu.

Cała ta przestrzeń zamknięta, ta płyta kamienna, a nawet część skały pokryta jest warstwą wosku, ściekającego od świeczek, tu i owdzie gęsto poprzylepianych; woskiem pokryte są też wszystkie poukładane tu symbole bóstwa i inne przedmioty, które

przez wpływ miejsca stały się świętościami: więc ze-
schłe kwiaty, bukieciki, wykute z żelaza figurki, ma-
jące wyobrażać postaci ludzkie, jakieś szmatki, ko-
kardki, blaszki, a nawet kilka monet groszowych.

Dziwnie wygląda ta skromna świątynia ludzka,
nosząca tyle śladów bytności człowieka, a tak odda-
lona od ludzi, tak prawdziwie wyniesiona nad poziom
nędznego żywota, taka tu prosta i naturalna w cią-
głym prawie otoczeniu chmur, w wiecznych zapasach
z wichrem, deszczem często smagana i pod całunem
śnieżnym przez wiele miesięcy spoczywająca.

Jest ona w równej mierze świątynią wszystkich
okolicznych mieszkańców.

Raz do roku, w dniu 21 lipca, wre życie gwar-
ne na pustym zazwyczaj wierzchołku góry. Jest to
dzień święta Lalwaru; wtedy ściągają, bez względu
na różnice religijne i narodowe, wszyscy, co u stóp
jego mieszkają, patrzą na szczyt kształtny i błogo-
sławią ożywcze tchnienie wiatru, który im w lecie
co dnia Lalwar posyła, chłodząc skwar słońca.

I widać tu wtedy Gruzinów, i Ormian ocięża-
łych, i Greków zwinnych, co tu od wieków kilku koloniami mieszkają, i jasnemi brodami świecących Rosyan—sekciarzy, przybywających z odległych swych wiosek, i wreszcie ogorziałych Tatarów. Wszyscy rozkładają przywiezione z sobą zapasy i cały dzień trwają tu uczyty, tańce i śpiewy, cały dzień rozlegają się dźwięki *zurny*¹⁾, *tari*²⁾, *czanguri*²⁾, brzęk dzwonków, stuk bębenków i głośnie uderzenia dłoni, które mi widzowie wybijają takt niezrównanej kaukazkiej „lezginki...”

Nie wiadomo kto i kiedy usypał na wierzchołku góry te kamienie i co właściwie oznacza świątynia? Święto Lalwaru jest prawdopodobnie jednym z da-

1) Dęty instrument muzyczny za Kaukazem — w rodzaju klarnetu.

2) Różne instrumenty muzyczne.

wnych obrzędów pogańskich, jest świętem największem w okolicy góry, świętem dziwnej i niepojętej potęgi, wcielonej w postać tajemniczej istoty, co tam wysoko sasiaduje z chmurami i brata się z piorunami.

I nie dziw, że czczono takiego olbrzyma, co spokojny, niewzruszony i zawsze wspaniały czuwa nieustannie nad krajem, niby ojciec troskliwy.

Nawet nazwa góry, oznaczająca w przekładzie: „(tam) są drogie kamienie,” dowodzi, że przypisywano jej własności niezwykle. Niegdyś był tu zapewne ołtarz pogański, gdzie zbierano się na modły i składano ofiary bożyszczom; tradycja przekazała urok świętości, jakim był otoczony szczyt Lalwaru — i dotąd się on zachował...

* * *

Po krótkim odpoczynku w cieniu skał ruszyliśmy z powrotem krokiem szybkim, jakim się schodzi z góry. Konie biegły za nami, potykając się o kamienie. Niebawem już mogliśmy wsiąść na nie, aby szybko podążyć ku koczowisku.

Nad wieczorem, powracając do domu, przejeżdżaliśmy przez koczowisko, w którym noc ubiegłą spędziłem. Towarzysze podróży mieli tu obejrzeć swe stada i wydać parę zleceń pastuchowi, więc musieliśmy się zatrzymać. Żona Elgudzy wstała z pod szalasu i, podszedłszy z oczami utkwionymi w ziemię, wręczyła mi strzelbę, którą dziś rano tu zostawiłem.

Podziękowawszy jej, zarzuciłem broń na ramię, a ona odeszła i zatrzymała się w pewnym oddaleniu, świecąc białą chusteczką ozdobnego berecika.

Kiedy towarzysze się zalałowili, dosiadłem konia i, gdy zawrócić miałem na drogę jeszcze raz na nią spojrziałem: stała bez ruchu na dawnym miejscu. Oczywiście nasze spotkały, skłoniłem głowę i przyłożywszy

rękę do piersi, ruszyłem wcał za towarzyszami, którzy już byll daleko na drodze.

A ona zniknęła mi w gąszczu leśnym — i to spojrzenie było ostatnie, bo gdzież i kiedyż ją jeszcze zobaczę?...

Wówczas puściłem wodze, koń bieg swój zwolnił i zacząłem filozofować sam z sobą na temat „niešťczęśliwych pożyć małżeńskich,” temat odwieczny, a zawsze świeży, niewyczerpany...

I jak w pięknych salonach, tak też i tu, w tej kniei leśnej, tyrania egoizmu mężczyzny łamie tyle życia, tyle istot unieszczęśliwia. Wszędzie i zawsze to samo...

Głośnie wołania towarzyszków wyrwały mnie z zadumy; konia zachęciłem do biegu szybkiego i wkrótce ich dopędziłem.

I nie spostrzegłem, kiedyśmy przebyli leśne ścieżyny i wspięli się na główną drogę, zkad lasy huddzabskie wydawały się potężną kaskadą zieleni, spadającą ze stoków Lalwaru ku jego podnóżom, tym szeroko i daleko ścielącym się podnóżom wysokiej góry...

XIV.

Powrót koczowników.

O kilka dziesiątków wiorst na południe od Sadachlół, leży w górach miasteczko Dżelal-ogły. Zawieszane jest nad przepaścistym urwiskiem, na którego dnie pieni się i szumi wartki potok, płynąc wąwozem tak wązkim, iż niekiedy zaledwie starczy tu miejsca dla ścieżyny, co brzegiem rzeki się wije.

Słońce rzadko i na krótko tu zagląda; nad głowami wiszą glazy poszarpane, woda wyrwała w ścianach grotty i zagłębienia, w których otworach cie-

mnych duchy górskie zdają się mieć swe siedliska, a loskot wody, spotęgowany wielokrotnem odbiciem, to niby ich gwar niespokojny.

Na występie skały pionowej niekiedy krzak samotny wyrasta od nasionka, które tu z wiatrem upadło; tyle ludzi na niego patrzy, a ręka ludzka nie dotknęła go i nigdy nie dotknie; on żyje wśród ludzi, a tak izolowany, niby w świecie innym, tylko dla skrzydlatych mieszkańców przestworzy powietrznych dostępny...

Nieco pochyle miejsca ściany pokryte są siatką ścieżynek, przez owce i kozy wydeptanych i wzdłuż wąwozu wyciągniętych.

A nad tem wszystkim wisi mała miejscina ormiańska.

Aby się do niej dostać, trzeba długo się piąć po zakrętach wijącej się i w skale wyrąbanej drogi, chociaż tak blisko, iż na dnie wąwozu słychać głosy wyraźnie—ot, niby tylko ręką sięgnąć...

* * *

Pewnego razu o świcie budzi mnie skrzyp osi, ryk bydła, rzenie koni i nawolywania ludzi. Biegnę do okna: to koczownicy powracają z letnich siedzib.

Dopiero dwudziesty sierpień, zwykle porzucają góry o tydzień lub dziesięć dni później, więc co znaczy powrót tak przyśpieszony?

Intryguje to obywateli dżelał-oglińskich, wychodzą ze swych domostw, otwierają kramiki — niezwykle wcześniej, chodzą gromadkami po rynku, rozpytują się...

I rychło obiega całe miasteczko wieść, iż tam, w górach grasuje banda rozbójników z nad granicy tureckiej; zaczęli napadać na koczowiska, odbijać stada i tabuny. Koczownik poświęcił tedy pozostałą drobną część lata, przełożywszy ofiarę tę nad ciągle utarczki z niebezpiecznym wrogiem.

Zresztą deszcze/wiatry padają i rozpoczęły się

chłody jesienne, tak, iż pojawienie się rozbójników dało tylko impuls ostateczny, albowiem mocnego trzeba bodźca, aby złamać zwyczaj, utarty tradycją, aby skłonić człowieka do tego, czego najgorzej nawet nieraz pragnie.

Więc powracają pośpiesznie, wielkimi gromadami, bo mała gromadka już naprawdę boi się zostać wśród pustych skał i gór.

I tak pięć dni trwał nieprzerwany pochód mieszkańców, powracających do swych siedzib w dolinach, niby emigracya tłumna przed najściem wroga, wędrówka ludu, przejście hord mnogich.

Hen daleko, za miasteczkiem widać na zboczu góry wijący się sznur długi; tu i owdzie ginie w tumanach kurzawy, miejscami jedynie obłoki kurzu widać — one tylko świadczą o pochodzie koczowników.

Zbliżają się do miasteczka.

Więc najprzód tabuny końskie, stada bydła i owiec; za nimi posuwają się mężczyźni konno lub pieszo z wielkimi kijami pasterskimi; tuż kroczą z powagą duże psiska, spoglądając troskliwie na znajdujące się pod ich okiem stada owiec.

Dalej następują szeregi *arb*, ciągnionych przez bawoły; nagromadzone są na nich sprzęty gospodarskie, okryte czarnym wołokiem, a na wierzchu siedzą kury i inne ptactwo domowe. Na niektórych wozach jadą na stosach pościeli ¹⁾ kobiety, ukryte pod zawieszonymi na pałkach *paltasami* ²⁾, które za-

¹⁾ Każda rodzina tatarska, a nawet najbiedniejsza, posiada masę pościeli: poduszek w jaskrawych poszewkach, miękkich materyałów i kołder, podszytych jedwabiem. Na dzień pościel składa się wielkim stosem pod jedną ze ścian w najpożądniejszej izbie, przeznaczony dla *kunaków* (gości).

Pościel stanowi chlubę gospodarza; to też dla gościa wyciągają Tatarzy najlepsze sztuki, ścieląc mu na podłodze prawdziwie królewskie łoże — tylko nie grzeszące zbytnią czystością i... niestety, zamieszkałe przez inne istoty, oprócz spoczywającego na niem człowieka.

²⁾ Cienkie dywany miejscowego wyrobu.

bezpieczają je od deszczu, wichru i skwaru słonecznego.

Koło wozów idą mężczyźni, poganiając bawoły i hamując koła na znaczniejszych pochyłościach drogi. Kilku z nich jedzie konno: uzbrojeni w strzelby, mają nadzór nad całym pochodem, to naprzód wyjeżdżają, aby drogę zbadać, to zamykają pochód, w tyle zostając, to się wśród wozów i stad kręcą, to znów odjeżdżają, spełniając różne zlecenia gromady.

W gospodarstwach zamożniejszych jadą też konno i kobiety; odziane w jaskrawe pantaloney z różowego lub zielonego jedwabiu, siedzą na koniach po męzku, okryte długimi, białymi *czadrami*, które spadając na tył i boki konia, nadają tym postaciom dziwny jakiś charakter.

Pochodu dopełniają objuczone dobytkiem osły, posuwające się między wozami i otoczone chmarami biegających dzieciaków.

Gwarno wówczas w miasteczku i na głównej drodze, co przez Dżelał-ogły z gór prowadzi do doliny Borczałińskiej. Ile tu obrazów rodzajowych, pysznie charakterystycznych, bijących wschodnią jaskrawością barw i oryginalną kombinacją kształtów — jak wielka jest różnorodność tego wszystkiego w tej wielkiej jednostajności!

Oto tabun koński.

Koń wolny zupełnie jest inny, niż zakuty w ramię zaprzęgu; biegnie z gracyą naturalną, ruchy ma szlachetne, głowę podniesioną, nozdrza rozdęte, grzywę rozwianą i ogon z wiatrem wyciągnięty. Nie znać na nim przymusu, ani obecności poganiacza, biegnie zręcznie, nie potrącając swych towarzyszków i nie zbijając się z niemi w gromady bezładne.

Tu znów bydło rogate: posuwa się wolno, leniwie, odbierając co chwila razy kijem, który z trzaskiem opada na grzbiety kościste. Krowy ryczą, zatrzymują się przed lada przeszkodą, przed pierwszym

lepszym wozem lub nawet człowiekiem, napotkanym na drodze, zbijają się w gromady, napierając na siebie, cisnąc bokami i wyciągając wystraszone głowy ponad szeroką falę grzbietów; tu i owdzie byk się na tylnich nogach podniesie niezdarnie, na chwilę pokaże i znów się w tej fali zanurzy.

Pochód bydła rogatego zamykają zwykle szare szeregi bawołów: wielkie i niezgrabne, idą z powagą, opuściwszy mordy, z których zwieszają się ku ziemi długie sznurki gęstej śliny—i spoglądają przed siebie pocziwemi oczami.

Po kasztanowato popielatej lawinie bydła uderza znów oko toczące się śnieżystymi kłębami stado owiec, skupione, ściśnięte, niby jedną całość nierozwalną tworzące. Na przodzie i z krajów skaczą zwinne kozy, trzęsąc brodami i przesadzając pełnym dystynkcyi susem każdą kalużę błota na drodze.

Gwarno tu koło zwierząt, lecz i tam nie ciszej, gdzie wozy się suną szeregiem i ludzi najwięcej. Tu znów pieją koguty, kury gdaczą, dzieci krzyczą na wozach, osły ryczą i kobiety kłóć się z sobą, czy rozprawiają.

Nieraz bójka się wszczyna z Ormianinem-sklepikarzem, w ręku pojawiają się obnażone kindżały, tłum rozbiera zaciętrzewionych, którzy chowają noże do pochew i rozchodzą się wolno, powtarzając z wybuchami gniewu:

— *Kepáj ogły!... kepáj ogły!... 1)*

A gdy się nieraz *arba* na zakręcie drogi nierównej (przewróci lub kilka sztuk bydła zaginie wśród obcego stada, spotkanego po drodze, ile to wówczas krzyku, chałasu i bieganiny...

Podczas jednej z takich zamieszek, powstałej wskutek spostrzeżonego braku kilku wołów, uwagę

1) *Kepáj* — suka; *ogły* — syn. Zwycke przekleństwo tatarskie.

moją zwrócił wśród uwijających się konno mężczyzn jeden starzec o białych, jak śnieg, włosach; pomimo podeszłego wieku, wyglądał dziarsko i jak młodzieniec trzymał się w siodle.

Gdym zaczął się rozpytywać o niego, otrzymałem w odpowiedzi:

— To zbieg, galernik. Kilka razy wysyłano go na Syberyę, lecz zawsze umykał; ot i teraz uciekł przed kilku laty i żyje spokojnie...

Dla mieszkańca Kaukazu wygnanie na Syberyę jest karą najcięższą: południowcowi trudno wyżyć w krainie podbiegunowej, więc deportacja równoznaczna jest dla niego z karą powolnej śmierci.

Widząc niechybną śmierć przed sobą i nie mając nic do stracenia, ryzykuje resztę życia marnego i ucieka, korzystając z lada sposobności. Jeśli tylko zdoła się przedostać za granicę państwa, napotyka koczującą plemiona środkowo-azyatyckie, wśród których czuje się już jak u swoich i z którymi przebywa z łatwością olbrzymie przestrzenie wyżyn i stepów.

Po przybyciu do ziemi rodzinnej, zbieg musi się, rzecz oczywista, ukrywać, więc najczęściej organizuje nową lub też przystaje do istniejącej bandy rozbójników.

Oto źródło rozbójnictwa, które się tak rozwieliło na Kaukazie, jak w żadnym chyba kraju.

Tatar lub góral zabija człowieka, zabija, bo każe mu to uczynić *vendetta*, zwyczaj, tradycja, prawo obyczajowe, wreszcie obowiązek moralny zabija uwdziela żony, siostry lub córki, zabija człowieka, co mu skradł rzecz, która krwawej zemsty wymaga, np. część stroju żony; zabija tego, kto go śmiertelnie obraził, kto shańbił blizkiego mu człowieka.

Robi to z poczucia obowiązku, częstokroć czynu swego wcale nie ukrywa przed ludźmi, za zbrodniczy go nie uważając; tymczasem chwytają go, stawiają przed sądem koronnym, który, nie mając pra-

wa uwzględnić miejscowych *adatów* ¹⁾, skazuje go do ciężkich robót...

W ten sposób ginie nieraz zacny człowiek, najszlachetniejszy w pojmowaniu swego środowiska.

Przy pierwszej sposobności umyka z Syberyi, wiedziony instynktem nieprzepartym powraca do kraju, a że życie dawne już przed nim zamknięte, więc nie pozostaje mu nic innego, jak zostać rozbójnikiem. Więc łączy się z innymi towarzyszami niedoli i, uzbroiwszy się w ulepszonego systemu karabin, który łatwo dostać na miejscu, a jeszcze łatwiej sprowadzić z za perskiej lub tureckiej granicy, umyka w góry nieprzebyte lub stepy niezmierzone.

Pierwszą rzeczą jest zemsta, a pomoc wzajemną w tym względzie wszyscy nowi towarzysze sobie ślubują. Każdy z nich odemścić musi przede wszystkim wszystkim tym, którzy bezpośrednio przyczynili się do jego zguby, więc różnym świadkom, denuncyantom i t. p. Do władz sądowych, które każą go aresztować, które go śledzą, badają i sądzą, zazwyczaj nawet i do władz administracyjnych rozbójnik zemsty swej nie stosuje, rozumując, iż ludzie ci pełnią swe czynności z obowiązku, iż to stanowi ich rzemiosło. Przyjeżdża zato pod ochroną towarzyszków do wioski rodzinnej i tam dopiero rozprawia się, z kim należy. Później mści się na wszystkich, od kogo doznał tylko kiedykolwiek jakiej krzywdy, spłaca zobowiązania życia całego.

Jest to cel jego życia.

Jednocześnie musi wszakże myśleć i o środkach życia, które z powodu wielu przeszkód ma bardzo utrudnione. Ztąd musi się z konieczności uciekać do rabunku; ale rabuje nie wiele, nie mając na celu gromadzenia bogactw; stara się wydostać tylko tyle, ile wymagają potrzeby niezbędne, przyczem zwraca uwa-

¹⁾ Prawo <http://rcin.org.pl>

gę, aby nie krzywdzić biedaka i korzystać z ludzi zamożniejszych.

Dla samego rabunku nie zabija, a najczęściej otwarcie, w dzień, przyjeżdża z towarzyszami do pierwszej lepszej wioski, każe sobie sprowadzić wójta lub sołtysa i zebrać daninę, co kto może...

Taki jest czysty typ rozbójnika. Rzecz oczywista, że banda, wiodąc życie ciężkie i niebezpieczeństw pełne, nie zawsze potrafi swą czystość zachować, swych pierwiastków idealnych nie zbrukać.

Jak kula śniegu czystego, po ziemi się tocząc, wchłonąć musi wiele brudu, który przylepiając się, czyni ją do bryły błota podobną, tak też wiele żywiółów najbrudniejszych do takiej bandy włóczęgów przyłączyć się musi, i zapobiedz temu niema rady.

Nieraz i spokojny mieszkaniec wioski, pod wpływem ogarniającej go żądzy zemsty, pełen rozgoryczenia i nienawiści, częstokroć natura żywsza, ruchliwa, czy też leniuch i hultaj, chcąc „żywot lekki” prowadzić, zapragnie wstąpić do grasującej w okolicy bandy.

Aby oderwać go od życia przeszłego, aby spalić za nim mosty na drodze odwrotu, aby go więzy ścisłymi z sobą połączyć, rozbójnicy każą mu zabić jakiegokolwiek człowieka: wówczas zrównają się niebezpieczeństwa i warunki ich życia.

Otrzymawszy takie *sine qua non*, niedoszły rozbójnik nie namyśla się długo: jednym uderzeniem kindżału zgładza ze świata towarzysza, pasącego w sąsiedztwie swe stado, czy przechodnia pierwszego lepszego, i to mu drogę w świat pożądaną otwiera ¹⁾.

¹⁾ Jesienią roku 1848 pojmano w pow. Kubińskim gub. Bakińskiej bandę jedenastu rozbójników. Podczas badania wyszły na jaw przyczyny wielu tajemniczych zabójstw, w ostatnich czasach spełnionych. Okazało się mianowicie, że spełnione były wprost w celu umożliwienia wstępu do bandy, do czego oskarżeni sami przyznawali się przed sądem. Sprawę tę sądził sąd wojenny: ośmiu przestępców, trzech pozostałych skazano na ciężkie roboty.

W poezyi ludów kaukaskich znaleźć można wiele opowieści i legend, opiewających czyny i żywot awanturniczy rozbójników. Oto np. następująca „prawdziwa historia“, która od lat kilkudziesięciu z ust do ust przechodzi.

W Tyflisie mieszkał sobie oberżysta Arsen; pokochał on i zapragnął poślubić pewną dziewczynę, córkę chłopa, należącego do księcia Barat-szwili. Ostatni, jakkolwiek dał zezwolenie, zażądał jednak pieniężnego wykupu.

Arsen pracował usilnie rok cały, a gdy zebrał kwotę żadaną, zwrócił się znów do księcia, który zaczął wynajdywać różne nowe trudności, wciąż zbywając go nieokreślonymi odpowiedziami.

Wówczas Arsen, zniecierpliwiony, dosiadł najlepszego rumaka, wykradł ukochaną i umknął w góry; wkrótce go jednak pojmano i wtrącono do więzienia, a dziewczynę oddano komuś innemu.

Nieszczęśliwy kochanek przebył lat kilkanaście w zamknięciu, a gdy go wypuszczono, został rozbójnikiem. Rabował tylko tyle, ile potrzeba było do podtrzymania życia; razu pewnego, naprzykład, puścił cało pojmanego kupca-bogacza, zobowiązawszy go jedynie do zapłacenia 4 rubli długu, który dawno jeszcze u kogoś zaciągnął.

Za głowę Arsena wyznaczono znaczną nagrodę; połazczył się na nią własny kum jego i, aby go schwytać, zaprosił do siebie pod pozorem pomówienia o sprawach familijnych.

Arsen przybył, lecz zauważył, iż knuje się coś niebezpiecznego, wybiegł szybko w chwili, kiedy już zebrali się ludzie, którzy go mieli schwytać, dosiadł konia i umknął pod gradem kul karabinowych.

Pomimo wszystkiego, był tak śmiały, iż nie obawiał się pokazywać na znacznych zgromadzeniach ludzi: wszyscy go widzieli, każdy jednak udawał, że go nie poznaje.

Na odpuszczenie w Martko przedzieli raz u pewne-

go do księcia Orbeliani, uczującego w gronie znajomych, i poprosił o puhar wina, czego mu też nie odmówiono; następnie zwrócił się do siedzącego obok jakiegoś urzędnika, prosząc go o szablę; ten wręcz odmówił, oburzony, lecz książę szepnął mu coś do ucha: urzędnik odpasał szablę i wręczył ją Arsenowi, który nazajutrz odesłał mu ją z powrotem.

W końcu zwrócił się znów do księcia:

— Podoba mi się twój pistolet, podaruj mi go.

Książę podniósł kurek, przymierzył się i rzekł:

— Chodź i weź.

Arsen zaczął się zbliżać, lecz młoda księżniczka rzuciła się ku księciu:

— Zaklinam cię, w imię święta wielkiego, nie dopuszczaj krwi przelewu!

Książę opuścił rękę, a Arsen podszedł do księżniczki i rzekł:

— Tyś mi ocaliła życie. Pozwól ucałować szaty swe i swą rękę.

I złożywszy pocałunek, znikł w tłumie.

* * *

Nie zawsze zbieg z Syberyi staje się rozbójnikiem. Ostrożniejszy nie powraca do swych miejsc rodzinnych, lecz osiedla się w przyległych prowincjach tureckich lub perskich.

Razu pewnego przysłano do sędziego śledczego w Baku białego, jak gołąb, trzęsącego się starca, razem z papierem, w którym pisano, iż jest zbiegłym „katorżnikiem“, więc zbadać go trzeba.

Gdy rozpoczęto śledztwo, po pierwszych, szablonowych pytaniach tak odpowiedział:

— Młody panie! Jestem w twojej władzy. Do kresu życia nie wiele mi już zostało, wkrótce stanę przed obliczem najsprawiedliwszego z sędziów, nie-doścignionego, wielkiego, najczystszej Ałłaha... Tam

mnie czeka wyrok wielki i kara za grzechy, kłamać ci tu przeto nie będę i wszystko, jak było, opowiem... Hee, dawno to już było, włosy moje nie znały wówczas jeszcze *henny*, pełen słońca byłem i życia. Żyłem szczęśliwy w gronie rodzinnem, otoczony dziećmi, które świeżo własne ogniska pozakładały, żyłem wśród pracy, patrząc na wnuczeta, wesolo biegające po domu... Lecz niedługo tak było... Znalazł się nędznik, co zakłócił spokój życia naszego, wdarł się w nie, zburzył i nieszczęście sprowadził... Ręką ducha złego wiedziony, shańbić usiłował cnotliwą niewiastę, młodą, niby kwiat róży rozwiniętą, dobrą jak anioł synową moją... Prawy muzułmanin nie zwleka z zemstą; wkrótce też zaczęto w wiosce opowiadać, iż ktoś znalazł na drodze ugodzonego kindżalem człowieka... Myśmy tylko wiedzieli, dlaczego go Allah przed tron swój powołał... Zaczęło się śledztwo... Przyjeżdżali różni ludzie, chodzili, oglądali, badali... Ja drżałem o los swego syna, bałem się każdego spojrzenia, które ktokolwiek rzucił na niego, każdego głosu obcego, dźwięku kroków, które się do domu zbliżały... Rozpacz mnie ogarniała na myśl, iż mogą go schwytać, oderwać od żony i dzieci, na zawsze pozbawić ich jego widoku, pomocy, opieki... I dnia pewnego poszedłem do miasta, powiedziałem, że ja zabójca, jam sprawca niewykrytej zbrodni...

Przerwał swą mowę starzec, aby odpocząć i tchu nabrać, głowę na piersi opuścił i po chwili znów zaczął:

— Mówię wszystko to teraz, bo syn mój już nie żyje, bo go już męczyć nie będziecie, a ja już swoje zrobił... Wywieziono mnie daleko, daleko, do tej krainy białej, gdzie zimno krew w żyłach ścina, gdzie serce zamiera, a myśl rwie się ku górcom naszym, ku słońcu i ciepłu, ku ludziom, którzy wiarę naszą wyznają i mówią naszym językiem... Śmierć przekładałem nad życie w kraju takim, więc doczekawszy się pierwszych nieco ciepłych promieni

słońca, na wędrówkę daleką poszedłem... Im bliżej byłem, im bardziej owiewało mnie tchnienie ziemi rodzinnej, tem więcej życia wstępowało we mnie, zmęczenia nie czułem, wciąż szedłem i szedłem, wpatrzony w wielkie, jasne słońce — jakby oczekując od niego pomocy i pociechy... A gdym dotarł do morza¹⁾ i jego wody nieskończone ujrzałem, strach mnie przejął, nie miałem odwagi na drugą stronę przejechać, chociaż siła wielka mnie tam ciągnęła... Udałem się do kraju Wielkiego Szacha, i tam osiadłszy, wiodłem życie spokojne, wpatrzony wciąż w tę stronę, gdzie była wioska rodzinna, gdzie chata nasza tuliła w swem wnętrzu całe moje rodzeństwo... I długo męczarnie wielkie znosiłem... Aż gdy dnie nadeszły, kiedy czułem zbliżanie się śmierci nieubłaganej, powstała we mnie nie dająca mi spokoju, potężna żądza ujrzenia jeszcze raz przed śmiercią miejsc drogich i drogich ludzi... Wreszcie poddałem się, bo wszystko przemogła — pojechałem... Zobaczyłem ich — nie wszystkich, gdyż syna już nie zastałem na tym świecie... Niedługo się ich widokiem cieszyłem, bo oto tu jestem, aby znów tam pojechać... Lecz teraz, panie, ja już pewnie ztamtąd nie wrócę...

I dłonie na piersi skrzyżowawszy, pozostał bez ruchu, jak kamień...

A sędzia śledczy zapomniał spisywać protokołu.

* * *

Lecz wracam do zbiega dżelal-oglińskiego. Ten był szczęśliwszy, bo kiedy po raz ostatni powrócił i osiadł na stałe, pewnie już spokojnie dni swych dożyje i kości sterane złoży w ziemi rodzinnej...

* * *

¹⁾ Kaspijskiego.

XV.

Z g ó r!

Brr! otrząsam się z wrażenia, jakie, budząc się, codziennie odbieram: widzę jednostajną, jasno-szara, matową plamę okna, przeciętą w paru miejscach ciemnymi liniami ram; w pokoju ponuro, w powietrzu ogromnie dużo wilgoci.

I podnoszę się, aby rozpocząć monotony dzień jesieni górskiej w atmosferze chmur gęstych, jedynie chmur widok mając wokół, widząc jedynie chmury, po zboczach gór pełzające i ukrywające ich szczyty w swym łonie zimnem.

Chmury zasłaniają błękit nieba i blask słońca, w chmurach giną śnieżne szczyty dalekie, tak pięknie iskrzące się w dzień słoneczny; w chmury odziane są stoki leśne, chmury tulą w swych objęciach ostre zarysy skał, sterczących dumnie na tle przestworzy błękitnych; chmury przesycają atmosferę mieszkania, wsiąkają w ubranie, wżerają się w nerwy; chmury, chmury...

Choć wczesna jeszcze, ale taka jest jesień w górach.

Dnie całe zawisa nad ziemią niebo ołowiane, zlewając ją często potokami deszczu. Ziemia rozmiękła, wyjść niepodobna, a gdy się pomyśli, że pod tą zasłoną ukrywa się piękna natura, żal wielki ścisła serce: chciałbyś zedrzyć zasłonę, porwać, rozrzucić... ale czujesz ją nie tylko wokół, lecz i w samym sobie, czujesz ją w każdym atomie własnego istnienia, czujesz, iż niby sieć najmisterniejsza oplątała cząstki najdrobniejsze.

Więc zedrzyć jej nie możesz, ani pozbyć się.

I wzywasz do pomocy tytana, który jednym promieniem, niby strzałą czarodziejską, masę gniołącą rozdziera i, w bezsilności, jego tylko wyczekujesz.

Niekiedy wichur się zerwie.

Hen porozpędza chmury, rozgoni na wszystkie strony; gdzieś głęboko pokaże się skrawek błękitu, a nieraz i promieni snop przedrze. Trochę światła wówczas widać, a kłęby białe które wichry zbija i po górach toczy, jeszcze cięższe się wydają, i zimno przejmujące, przenikliwe chwytą znienacka.

Mocy dużo ma wichry.

Rozwieje szatę tumanów, w stropy wysokie zapędzi, a tam ją prądy w strony różne rozniosą.

Wówczas słońca panowanie nastaje: topnieją strzępy oparów, wichry ustają, schnie ziemia, natura swą szatę zalotną przywdziewa. Uśmiecha się natura odświeżona i tryumfująca — i biegnie do niej człowiek...

Dni takich oczekują z niecierpliwością, ażeby z pierwszemi przebłyskami światła słonecznego ruszyć z powrotem ku nizinom, gdzie właśnie najpiękniejsza pora roku nastaje. I przedstawiam sobie obrazy zalanych blaskiem słońca równin, pełnych życia i ruchu koczowników, którzy już powrócili, obraz wiosek, ożywionych pracą i otoczonych rdzawymi winnicami, obciążonemi ciężkimi gronami, pokrytemi niekniętym meszkiem dziewiczym.

* * *

Słońce spoczywało jeszcze w ukryciu za kuldatym wierzchołkiem góry Niedźwiedziej, kiedy szykowano się już do drogi.

Był chłodny, aż mroźny poranek, lecz rychło słońce wyjrzało pogodne, a świeży wiaterek rześkości jeno dodaje.

Jechaliśmy wąwozami coraz niżej i niżej.

Na jednym z zakrętów drogi niespodzianie wynurzył się ponad korony drzew wysoki komin huty szklanej, a gdyśmy po kilku minutach zjechali przed siedziby ludzkie, z tamtąd, z pod komina, dochodziły

dźwięki dzwonu, ogłaszającego obiadową przerwę w pracy.

Wśród wolnej natury górskiej, wśród lasów uroczych, w głębi wąwozu, tak dalekiego od świata, komin fabryczny z wijącą się ku niebiosom smugą dymu czarnego, cisnący przed oczy obrazy zakopconych dzielnic wielkomiejskich.

I zamiast gór, piętrzących się dokoła, musisz patrzeć na wielkie gmachy czarne, zamiast tchnienia lasu — czuć wyziewy pracy ciężkiej, zamiast hymnu natury — słyszeć huk młotów i turkot maszyn...

I tu, gdzie jedynie natura daje probierz mierzenia czasu, gdzie słońce, wschodząc, obwieszcza początek dnia i pracy, gdzie odczucie potrzeby określa chwilę jej spełnienia — tu dzwon uderzeniami prawidłowemi ogłasza czas obiadu i chwilę swobody dla wszystkich, bo wszyscy, co tu mieszkają, w głos dzwonu tego są wsłuchani, niby dzieci w słowa swej matki...

Zjeżdżamy coraz niżej.

Na zboczach górskich ukazują się już winnice. Rozpoczyna się ludność gruzińska, więc na skałach wznoszą się zwałiska twierdz i zamków.

Nocleg mamy w kolonii niemieckiej Katerinenfeldzie. Są tu hotele i zajazdy, dość duże i wysokie, piętrowe z facyatkami i balkonami, firanki i doniczki z kwiatami w czystych oknach, drogi brukowane, ogrody i winnice otoczone murami kamiennymi, murowane zabudowania gospodarskie, kościółek gotycki z wieżą strzelistą — wszystko wydaje się ogromnie dziwne...

Nazajutrz po południu byliśmy w Sadachlów.

Jakże wszystko inaczej wygląda, niż półtora miesiąca temu: słońcem spieczone, szare, rdzawe, brunatne, zbocza leśne, pokryte plamami żółtymi i czerwonymi, już w wielu miejscach łysieją; nie okrywają się już szmaragdową powłoką w brzasku porannym, nie stroją w szafiry pod leciuchną osłoną

skkwarnego południa, nie roztaczają aksamitów w cieniu zachodzącego słońca.

I szum Dabada-czaju jakiś inny; koryto pełne odd deszczów, które w górach wciąż padają, a mętna woda jego szumi mocniej, niż przedtem, i smutniej, i jakakoś żałośniej...

Po kilku dniach zagnałem okolice.

Gdym miał z przełęczy zjeżdżać w dół ku Szulawerom, spojrzałem po raz ostatni na dolinę Borczalińską.

Zmrok już zapadł; nad szczytem Lalwaru unosił się wschodni sierp księżycy, rzucając blask słaby na ciężkie chmury, które się kłębiły ze wszystkich stron horyzontu; dolina tonęła w gęstym тумanie, niby na dnie jeziora o mleczno-srebrzystej powierzchni.

Żadne z tamtąd nie dolatywały dźwięki...

Nazajutrz był dzień zimny, dżdżysty, ponury i smutny. Dopiero wieczorem, zziębnięty i zmoczony, stanąłem w Tyflisie, gdzie mroźny wicher górski i hulał po wązkich ulicach.

Złożywszy rzeczy w izbie hotelowej, pobiegłem wnet szukać i... gazet, których tyle czasu nie widziałem; w "ryerze" odczytywałem wszystkie ogłoszenia warszawskie, nazwy ulic, numery domów i zdawało mi się, że chodzę po tych ulicach i odzyskuję domy te, według wskazanych adresów.

Istotnie—byłem wówczas w Warszawie...

.....

*

*

*

Minęło wiele miesięcy.

Pewnego poranku sierpniowego stałem na pokładzie parowca, który miał za kilkanaście minut wyruszyć z portu bakińskiego. Dzień był skwarny, prawawdziwie piękny. Błękit kopuły niebieskiej był niezmaciacony nawet <http://www.dziennik.org.pl>. Zatoka grała

blaskami na pomarszczone,
huśtały wichry kilku dni po
gwał lekki wiaterek, kładąc rumieniec świeżości na
twarze obecnych.

Za kilkanaście minut porzucam ziemię kaukazką.

Więc żegnajcie minarety strzeliste, wynurzające się z potoku szarej kaskady domostw, spadającej ku morzu; żegnaj ziemię, gdzie chwile ciężkie przebył; żegnajcie ludzie gościnni i szlachetni; żegnaj ty, świecie maurytański—tajemniczy, pociągający, szeroki..

Na ląd wysiadam w Petrowsku, zkad wciąż już się jedzie kolejami żelaznymi. Na wagonach odnajduję cyfry dalekich dróg zachodnich i odczytuję nazwy miast znanych.

Jedziemy długo, długo—ale najdłuższe są przystanki na stacyach: wieki całe trwają...

Z radością witam nareszcie pierwsze zastępy bohaterskie lasów sosnowych i wyglądające wśród pni czerwonych strzechy słomiane.

Złote są słowa wieszczka:

Litwo! Biały mi wdzięczniej twe szumiące lasy,
Niż słowiki Bajdaru, Sahiry dziewice,
I weselszy deptałem twoje trzęsawice,
Niż rubinowe morwy, złote ananasy...

K O N I E C.